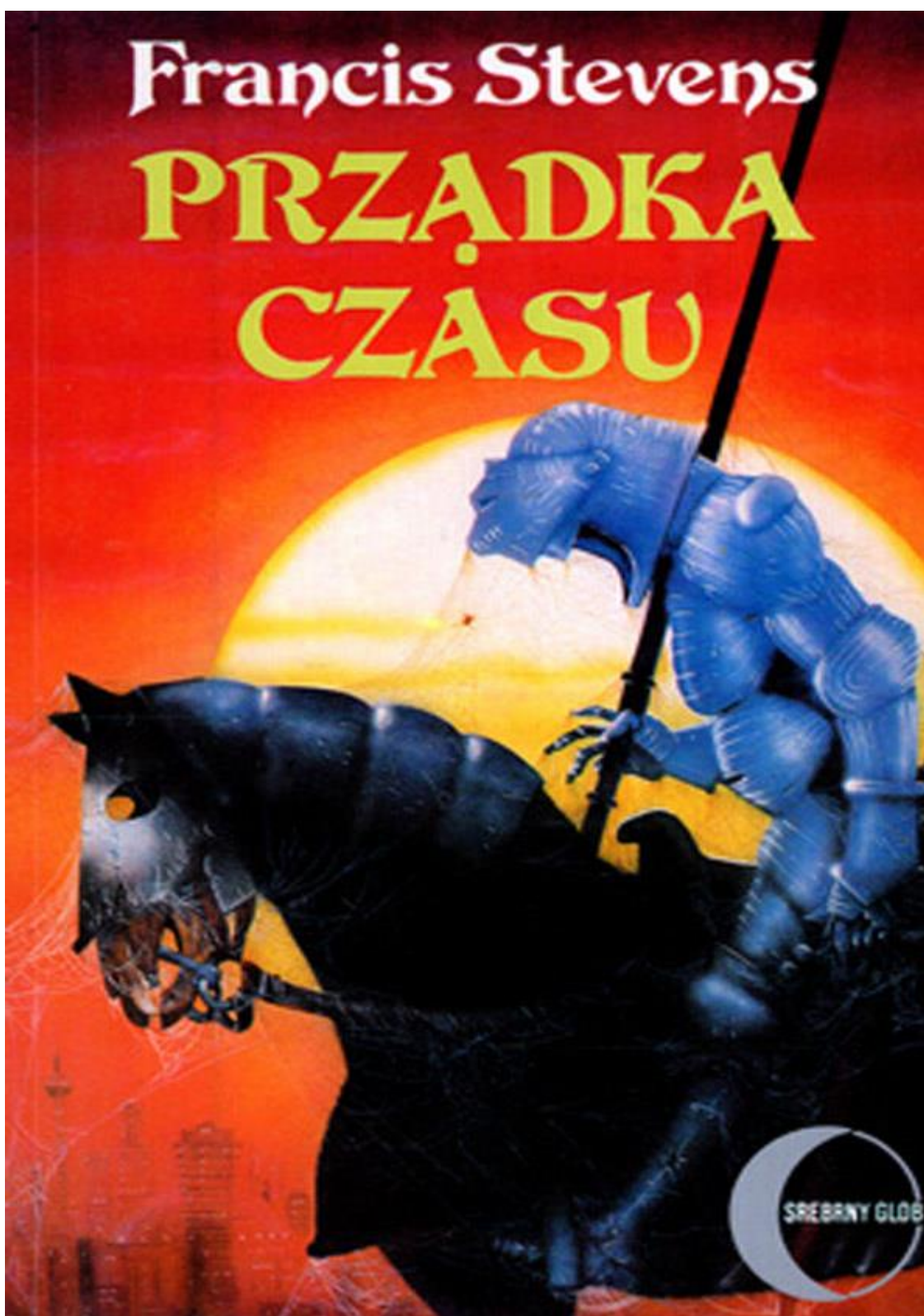


Francis Stevens

PRZĄDKA  
CZASU



SREBRNY GLOB

# **Francis Stevens**

## Przędka czasu

Przełożyła Bogumiła Nawrot

Tytuł oryginału: The Heads of Cerberus

Wydanie oryginalne 1984 (1919)

Wydanie polskie 1994

*Ta charakteryzująca się wątką akcją, pomysłowa powieść jest zapewne pierwszym utworem fantastyki naukowej traktującym o światach równoległych. Pięcioro młodych przyjaciół wciągnęło w płuca Pył Czyścicowy, przekroczyło Księżycowe Wrota, by znaleźć się na innej, pełnej dziwów Ziemi, gdzie czas płynie o wiele szybciej niż u nas.*

*Zdumieni i przerażeni odkrywają nową Filadelfię roku 2118. Czy zdołają uniknąć niebezpieczeństwa, które zagraża ich życiu - oto treść tej niezapomnianej literackiej podróży w nieznane.*

Spis rozdziałów:

Rozdział I. „Witaj, jakkolwiek przybyłeś!” .....	5
Rozdział II. Pył ze skał Czyścica.....	15
Rozdział III. Nowi przybysze i kolejne zniknięcia. ....	28
Rozdział IV. Dokąd prowadził Szary Pył. ....	35
Rozdział V. Prządka czasu.....	43
Rozdział VI. Sprawa guzików.....	56
Rozdział VII. Kilka drobnych zmian. ....	64
Rozdział VIII. Przyspieszone postępowanie sądowe. .	70
Rozdział IX. Loch Przeszłości.....	76
Rozdział X. Czwarta ofiara.....	85
Rozdział XI. Spisek i kontrspisek.....	94
Rozdział XII. Nowe miasto. ....	102
Rozdział XIII. Służba Penna.....	110
Rozdział XIV. Groźba Penna. ....	115
Rozdział XV. Sprawiedliwość Służby Penna.....	128
Rozdział XVI. Katastrofa.....	139
Rozdział XVII. Ostatnia szansa. ....	152
Rozdział XVIII. Miecz i Dzwon.....	163
Rozdział XIX. Trenmore uderza.....	172
Rozdział XX. Powrót do domu.....	179
Rozdział XXI. Koniec Szarego Pyłu.....	184

Rozdział I. „Witaj, jakkolwiek przybyłeś!”.

W szarym świetle poranka majaczyła sylwetka nieprzytomnego mężczyzny. Leżał na łóżku w małym, skromnie umeblowanym pokoiku.

Na jego szczupłej i mimo śladów zniszczenia chłopięcej twarzy malował się spokój tak charakterystyczny dla ludzi martwych lub pozbawionych świadomości. Cały ciężar ciała spoczywał na prawej ręce, zgiętej i naprężonej, podczas gdy druga, szczupła i wypiełgnowana, zwisała bezwładnie poza krawędź łóżka. Na prawej skroni widoczna była głęboka rana, najwyraźniej zadana jakimś ciężkim i tępym narzędziem, skóra bowiem była raczej rozerwana niż przecięta. Jasne włosy sklejała zakrzepła krew, a krwawe smugi na twarzy nadawały łagodnym z natury rysom ponure i tragiczne piętno. Mężczyzna miał na sobie podniszczone niebieskie ubranie. Zarówno jego wygląd jak i pozycja sugerowały, że został rzucony na łóżko i pozostawiony własnemu losowi.

W miarę jak ciemności w pokoju rzedły, oblicze człowieka przybierało coraz żywszą barwę. Pozaziemski spokój kogoś, kto wszystkie cierpienia ma już za sobą, stopniowo ustępował. Twarz wykrzywiła się, a lekko rozchylone usta zacisnęły. Gwałtownie ściągając brwi, mężczyzna otworzył oczy.

Przez kilka chwil leżał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Potem próbował uwolnić prawą rękę, jęknął, w końcu z wysiłkiem uniósł się na łokciu. Rozglądając się po pokoju błędnymi oczami, podniósł dłoń do skroni i przez moment wpatrywał się bezmyślnie w ślady krwi na palcach. Sprawiał wrażenie człowieka, który po zażyciu silnego narkotyku obudził się w całkowicie obcym sobie miejscu.

Gdy jednak ponownie rozejrzał się wokół siebie, na jego twarzy zaszła zmiana, tak jakby wygląd pokoju obudził w nim jakieś wspomnienie, wywołujące zamęt w obolałej głowie.

W kącie pod oknem stała staromodna kasa pancerna z szeroko otwartymi drzwiami. Między leżącymi na podłodze papierzyskami można było gdzieniegdzie dostrzec drobną

biżuterię. Na samym wierzchu leżały rzucone niedbale dwa czy trzy puste puzderka.

Ze wzrokiem utkwionym w bezładną stertę mężczyzna wstał i podszedł chwiejnym krokiem w stronę sejfu, po czym klęknął przy nim. Zanurzył dłoń w papierach i wyciągnął małą broszkę. Obejrzał ją dokładnie, z dziwnym napięciem, następnie powoli upuścił, a ręką dotknął skroni.

Rozejrzał się. W drugim końcu pokoju przy samych drzwiach dostrzegł porcelanową miednicę. Z trudem powłókł się w jej stronę, zmoczył wiszący obok ręcznik i począł przemywać ranę na czole. Zimna woda zmniejszyła dokuczające mu mdłości i zawroty głowy. Wyprostował się i przyjrząwszy się w lustrze swojemu niechlujnemu odbiciu, zaczął delikatnie usuwać najbardziej widoczne ślady napaści. Na szczęście krew zakrzepła i nie wyciekała już z rany. Kiedy skończył się obmywać, obrzucił pokój badawczym spojrzeniem. Na podłodze koło łóżka dostrzegł swój zniszczony kapelusz z miękkiego szarego filcu. Podniósł go i wsadził na głowę, starając się ukryć ranę, co mu się nawet powiodło, choć sprawiło ból.

Nie zwracając uwagi na dokumenty, zaczął wybierać spośród nich biżuterię. Oprócz broszki znalazł masywny złoty sygnet, parę wysadzanych drobnymi perłami spinek do mankietów, srebrną agrafę ozdobioną kamieniem księżycowym i kilka podobnych drobiazgów. Przeszukując papiery twarz miał dziwnie ściągniętą, jakby to, co robił, sprawiało mu przykrość, chociaż równie dobrze przyczyną mógł być ból zranionej głowy. Każdy znaleziony przedmiot machinalnie wkładał do kieszeni, aż nagle, pod małym plikiem polis ubezpieczeniowych, ukazała się pierwsza w całej tej kolekcji rzecz, która miała prawdziwą wartość.

Z okrzykiem zdumienia chwycił znaleziony przedmiot i przyglądał mu się badawczo oczami szerokimi z przerażenia. Klęczał chwilę bez ruchu, a jego blada twarz zaczęła nabierać rumieńców, aż stała się niemal purpurowa.

- Wielki Boże!

Odrzucił przedmiot raptownie, jakby sparzył mu palce. Pospiesznie wyciągnął z kieszeni błyskotki, które włożył tam

zaledwie kilka minut wcześniej, rzucił je na stos papierów i nie oglądając się podbiegł do drzwi. Otworzył je gwałtownie i wypadł na krótki, wąski korytarz. U szczytu schodów prowadzących stromo w dół zatrzymał się, bacznie nasłuchując. Na hol wychodziło jeszcze dwoje innych drzwi. Były zamknięte i nie dochodził spoza nich żaden dźwięk. Również na dole panowała cisza. Jedynie z ulicy, trzy piętra niżej, dobiegał od czasu do czasu turkot przejeżdżającego wozu lub ciężarówki. W całym domu panował absolutny spokój.

Mężczyzna uniósł wzrok ku górze. Pośrodku sufitu znajdował się wylaz na dach. Czubkami palców spróbował unieść drewnianą klapę, ale przekonał się, że jest zamknięta od zewnątrz. Po chwili wahania bardzo ostrożnie zaczął schodzić wąskimi schodami. Stopnie uginały się pod jego ciężarem z głośnym skrzypieniem, brzmiącym w tej ciszy przeraźliwie donośnie.

Był już na drugim piętrze i zamierzał zejść niżej, gdy nagle z parteru doszedł go odgłos otwieranych drzwi. Następnie ktoś szybkim, lekkim krokiem przemierzył salon na dole i zaczął wspinać się po schodach.

Twarz nasłuchującego człowieka oblała się potem. Ruszył biegiem wzdłuż korytarza, próbując po drodze otworzyć mijane drzwi. Pierwsze były zamknięte, za drugimi znajdował się schowek pełen kufrów, waliz i paczek, za trzecimi ukazała się duża sypialnia. Chociaż pościel na łóżku była zmięta, w pokoju nie było widać nikogo.

Mężczyzna wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi. Rozejrzał się za kluczem - nie było go. Stał bez ruchu, przyłożył ucho do drzwi, ściskając mocno klamkę.

Odgłosy kroków były coraz wyraźniejsze. Ktoś, wspiawszy się po schodach, przeszedł korytarzem i zatrzymał się właśnie przy tych drzwiach, za którymi ukrył się nasłuchujący mężczyzna. Rozległo się lekkie pukanie.

Człowiek w pokoju cofnął się z jękiem. Jednocześnie odniósł wrażenie, że jakaś siła ciągnie go gwałtownie w głąb pomieszczenia. Na ramieniu poczuł wielką dłoń. Stwierdził, że należała ona do potężnego mężczyzny, który zaszedł go od

tyłu w czasie, gdy on pochłonięty był całkowicie nasłuchiowaniem odgłosów dobiegających z holu.

Olbrzym ubrany był jedynie w szlafrok, zwisający luźno z jego barczystych ramion. Czarne włosy, wilgotne po kąpieli sterczały niesfornie niczym zmierzwiona grzywa nad ciemną, dziką twarzą. Para niezwykle jasnych niebieskich oczu spoglądała gniewnie na intruza. Nagłe pojawienie się wielkoluda w pozornie pustym pokoju przeraziło ukrywającego się człowieka. Z jego ust wyrwał się cichy, ostry krzyk, w którym było jednak więcej bólu niż strachu.

- To ty? - wymamrotał i zamilkł.

- Na miłość boską... - odpowiedział równie mocno poruszony olbrzym.

Tak jak mroczny krajobraz rozjaśnia się w promieniach słońca, tak jego wzburzona twarz zmieniła się i wypogodziła. Groźna mina zniknęła. Nastroszone brwi uniosły się z wyrazem ogromnego zdziwienia, a usta, dotąd zawzięcie ściśnięte, rozwarły się w pełnym zadowolenia, chociaż zdumionym uśmiechu.

- Kogo ja widzę! - wykrzyknął w końcu. - Toż to Bob Drayton!

Puścił ramię mężczyzny i rozpromieniony wyciągnął do niego dłoń na powitanie.

Przybysz nie uczynił w odpowiedzi żadnego gestu. Cofnął się tylko i oparł o drzwi, z rękami założonymi do tyłu. Gdy się wreszcie odezwał, jego głos pełen był cichej udręki, jak u kogoś, kto znajduje się w rozpaczliwej sytuacji, z której nie widzi wyjścia.

- Tak, Trenmore, to ja - odrzekł. Gdy wymawiał te słowa ktoś stojący za drzwiami ponownie zastukał, tym razem głośniejsze. Klamka poruszyła się, ale ciężar ciała Draytona nie pozwolił uchylić drzwi.

- Wynoś się, Martin! - donośnie zawołał potężny mężczyzna.  
- Zadzwoń, kiedy będziesz mi potrzebny. A teraz zmykaj!  
Jestem zajęty.

- Tak jest, proszę pana - doszła stłumiona i nieco zdumiona odpowiedź.



Mężczyźni w sypialni stali cicho, przypatrując się sobie z powagą, podczas gdy kroki niewidzialnego Martina oddalały się wolno wzdłuż korytarza, a potem schodami w dół.

- A czemuż to nie chcesz się ze mną przywitać? - zapytał wielkolud, marszcząc brwi raczej ze zdziwienia niż ze złości.

Zagadnięty uśmiechnął się z trudem.

- Nie mogę... nie mogę - nie panując nad własnym głosem, zamilkł przygnębiony.

Olbrzym zasępił się. Zrobił krok do tyłu, poprawiając szlafrok na gołych ramionach.

- Co się stało, Bobby? Tak się cieszę, że cię widzę, a ty tymczasem nie chcesz mi nawet podać ręki. Czy dostałeś mój list i chciałeś mi złożyć niespodziewaną wizytę? Witaj, jakkolwiek przybyłeś!

Ale dziwny gość stał bez ruchu, a jego blada twarz przybrała szary odcień.

- Czy... czy pozwolisz mi usiąść? - zapytał zduszonym głosem. Chwiał się jak pijany i ledwo trzymał się na nogach.

- Usiąść? Ależ oczywiście, siadaj! - Trenmore skoczył gwałtownie, aby pomóc mu spocząć na najbliższym krześle. Delikatnie oparł rękę na ramieniu znajomego.

- Powiedz, dostałeś mój list?

- Jaki list?

- A więc nie dostałeś. Chłopie, jesteś blady jak trup. Co się z tobą dzieje? Może jesteś niezdrów, powiedz!

- Nie... tak... Głupstwo. To nie to.

- Więc w końcu jak, jesteś chory, czy nie? Masz, napij się trochę brandy. Tak, każdy głupi by spostrzegł, że coś ci dolega.

Trenmore przemawiał czule, tak jak potrafi przemawiać tylko kobieta lub Irlandczyk, ale Drayton wzdragał się, jakby ta łagodność tylko bardziej go raniła.

- Nie mów takim tonem - wykrzyknął chrapliwie i ukrył twarz w dłoniach.

Zdumiony gospodarz uśmiechnął się i znowu położył swoją rękę na pochylonych plecach gościa.

- A niby dlaczego? - zapytał łagodnie. - Chyba mam prawo wiedzieć, czemu zjawiliś się w moim pokoju o tak wczesnej porze, a teraz odtrącasz moje gościnne przyjęcie. Ale nie musisz się tłumaczyć. Wystarczy mi, że w ogóle tu jesteś. Ty, którego od dawna pragnąłem ujrzeć bardziej niż kogokolwiek innego na świecie.

- Przestań, powiedziałem! - powtórzył Drayton i gwałtownie uniósł głowę. Drgnął, jakby przestraszył się swojego własnego głosu, a jego blada twarz pokryła się rumieńcem. - Nie mogę, rozumiesz, nie mogę przyjąć twojego powitania. Przyszedłem tu jak złodziej! Tylko i wyłącznie jak złodziej.

Irlandczyk otworzył szeroko niebieskie oczy.

- Złodziej? - zaśmiał się krótko. - A powiedz mi proszę, przyjacielu, cóż takiego chciałeś mi ukraść? Tylko powiedz, a będzie to twoje!

- Terry, nie myśl, że zwariowałem. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Mówię ci, że jestem złodziejem.

Pospolitym, wstrętnym złodziejem. Zło-dzie-jem. Zwyczajnie się tu włamałem. Nie wiedziałem, że to jest twój dom.

Nagle Drayton przerwał, jakby coś sobie przypomniał.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Terry, nieomal zapomniałem, że nie byłem jedynym złodziejem, który się tu zakradł tej nocy!

- Jak mam to rozumieć?

- Twój sejf był otwarty...

W tym momencie Trenmore odwrócił się, przeszedł przez pokój i rozsunał długą, jedwabną kotarę, która zasłaniała ścianę obok łóżka. W murze za zasłoną ukazały się kwadratowe drzwiczki z niklowanej stali. Gospodarz przyjrzał się im uważnie, po czym spojrzał w stronę gościa.

- Otwarty? O czym ty mówisz? Biedaku, chyba straciłeś rozum. Naprawdę potrzebujesz lekarza.

- Nie, nie, nie miałem na myśli tego sejfu. Mówiłem o kasie pancernej we frontowym pokoju na górze.

- A jest tam w ogóle jakiś sejf? - zapytał Trenmore. - Nic o tym nie wiedziałem.

- Jak to? Więc to nie jest twój dom?

Olbrzym pokręcił z uśmiechem głową.

- Co cię skłoniło do tego, aby sądzić, że Terry Trenmore związał się z jakimś miejscem na stałe? Ten dom należy do mojego kuzyna ze strony matki. Chętnie bym ci go przedstawił, lecz jest nieobecny. Ale, ale powiedziałaś, że na górze było włamanie?

- Sam już nie wiem. Jest coś dziwnego w tym wszystkim. Zresztą chodź ze mną i sam się przekonaj.

Czy to z powodu brandy, czy też dlatego, że minął pierwszy szok związany z wyznaniem prawdy, Drayton odzyskał siły. Poprowadził Trenmore'a do sypialni na górze i wskazał Irlandczykowi otwarty sejf. Trenmore wpatrywał się zdumionym wzrokiem w rozrzucone papiery i poniewierającą się biżuterię. Stał z rękami w kieszeni szlafroka, ściągawszy chmurnie brwi.

- A jak on wyglądał - spytał - ten niezwykle złodziej, który nie zabrał swojego łupu?

- Nie widziałem go.

- Co takiego?

Chłopięce usta Draytona zadrżały.

- Nie mogę mieć do ciebie pretensji, że trudno ci w to wszystko uwierzyć. Myślę, Terry, że najlepiej będzie, jeśli wezwiesz policję i skończy się cała ta przekłeta historia. Pragnę z całego serca znaleźć się tam, gdzie trafił mój wspólnik, biedny, stary Warren!

- To znaczy gdzie? Skończ wreszcie z tymi zagadkami!

- Najpierw w więzieniu, a potem w grobie - odparł ponuro Drayton.

Irlandczyk potrząsnął ze złością swoją wielką głową.

- Bobby, człowieku, dosyć tego gadania. Ostatnie dwa lata spędziłem w Irlandii i widzę, że stało się tu wiele rzeczy, o których nie mam najmniejszego pojęcia. Za kogo ty mnie masz? Myślisz, że mógłbym wydać w ręce policji człowieka, którego lubię najbardziej, tylko dlatego, że popadł w tarapaty? Powtarzam, potrzebny ci lekarz, a nie policjant. A jeśli chodzi o to - wskazał splądrowany sejf- odnoszę wrażenie, że niezbyt dobrze pamiętasz, co robiłeś ostatniej nocy. Inny złodziej?

Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby dwaj różni złodzieje - o, przepraszam, ale to twoje własne słowa - zaszczylili ten dom w ciągu jednej nocy!

Zamiast odpowiedzi Drayton zdjął kapelusz i po raz pierwszy Trenmore ujrzał ranę, którą dotychczas zakrywało szerokie rondo.

- To pamiątka po nim - powiedział z prostotą. - Wdrapałem się na dach i dostałem tu przez pierwszy otwarty wyłaz, na który się natknąłem. Wszedłem do jakiegoś ciemnego pokoju. Znalazłem sejf, a wtedy ktoś rzucił się na mnie od tyłu i uderzył czymś ciężkim w głowę.

Trenmore popatrzył na niego ze współczuciem.

- Ach, to dlatego jesteś taki blady i stąd ta rana na głowie. Ale powiedz mi, czy sejf był już otwarty?

- Nie. Pewnie otworzył go później. A mnie zostawił nieprzytomnego na łóżku. Lecz muszę ci wyznać, że dziś rano, gdy się ocknąłem i ujrzałem całą tę stertę na podłodze, miałem zamiar... miałem zamiar dokończyć jego dzieło.

- I cóż cię powstrzymało? - Trenmore patrzył na niego badawczo spod zmarszczonych brwi.

- To. - Pochyliwszy się, Drayton podniósł płaską, złotą papierošnicę z platynowym monogramem, którą pół godziny wcześniej odrzucił z taką desperacją.

Trenmore spojrział i wolno pokiwał głową.

- Prezent od ciebie. Właśnie dziś rano o niej myślałem. Ale skąd ona się tu wzięła? Przedwczoraj gdzieś ją zapodziałem. Najpewniej Jim znalazł ją i włożył do sejfu podczas mojego wczorajszego pobytu w Atlantic City. Kiedy wróciłem, Jima już nie było. Dziwne, że nie schował jej do skrytki w moim pokoju, z której pozwolił mi korzystać. Ale to nieważne. Lepiej powiedz, co zrobiłeś potem?

- Próbowałem się wydostać tą samą drogą, którą przyszedłem, lecz kłapa była zamknięta od góry. Ruszyłem więc w kierunku drzwi frontowych. Przeszkodził mi twój służący. Ukryłem się w twoim pokoju, mając nadzieję, że do niego nie zajrzy.

- I to była najlepsza rzecz, jaką mogłeś zrobić! - krzyknął Trenmore. Objawszy Draytona, potrząsnął nim delikatnie jak małym dzieckiem, zresztą Bob rzeczywiście tak wyglądał przy swoim potężnym przyjacielu. - No, nie miej już takiej miny! Mało jest rzeczy na świecie, które mogłyby mnie zdziwić. Jeżeli postanowiłeś zostać złodziejem, widocznie miałeś ku temu ważny powód. I jest mi obojętne, któredy dostałeś się tutaj. Najważniejsze, że znowu cię widzę. Jimmy Burford zostawił mnie i Martinowi swój dom do wyłącznej dyspozycji na kilka dni. Jimmy to poczciwy stary kawaler, który na pewno ci się spodoba. Wolny czas spędza głównie w klubie, dlatego ma tylko jednego służącego. Musiał nagle wyjechać do Nowego Jorku i zabrał go ze sobą. Ale wystarczy nam Martin. Jest geniuszem, jeżeli chodzi o gotowanie.

Ze słów Trenmore'a wynikało, że chce zatrzymać Boba jako swojego gościa, mimo że ten zjawiał się w charakterze złodzieja.

- Czyli rozumiem, że jesteś tu tylko przejazdem? - powiedział Drayton niepewnie.

- Tak, na czas, który Viola spędza ze swymi znajomymi w Atlantic City. Wiesz, że nie przepadam za przyjemnościami życia i nawet dla niej nie potrafię znieść całego tego wielkiego towarzystwa. Pamiętasz chyba z moich opowiadań moją młodszą siostrę Violę, która chodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice niedaleko Los Angeles? Ale przejdźmy lepiej do mojego pokoju. Zajmę się twoją raną, a sam ubiorę się wreszcie jak człowiek. Potem zjemy śniadanie i może opowiesz mi, co cię tak gnębi. Oczywiście, jeżeli nie chcesz, nie musisz mówić...

- Nic mi nie sprawi większej ulgi - przerwał mu Drayton gwałtownie, ujmując wreszcie silną dłoń przyjaciela, na co nie pozwalała mu dotąd jego wrodzona uczciwość, do której sam przed sobą się nie przyznawał.

Trenmore zebrał leżące na podłodze rzeczy i zaniósł do sypialni na dole. Drayton podążył za nim.

- Poradzę Jimmy'emu, żeby sobie kupił nowy sejf - rzekł Trenmore, rzucając wszystko na łóżko. - Kto to widział trzymać cały swój majątek w takiej starej blaszanej puszcze?

Jeżeli miał coś wartościowego, zasłużył, żeby mu to ukradli. Choć może jestem niesprawiedliwy. Nie pomyślałem o tym, że pozwalając mi korzystać ze schowka w ścianie, swoje skarby musiał umieścić gdzie indziej. Od tej chwili będziemy swoje rzeczy trzymali razem, a jeżeli przypadkiem coś zginęło, będę musiał w jakiś sprytny sposób mu to wynagrodzić, bo wiem, że jako człowiek dumny i uparty, a do tego pół-Anglik - jest kuzynem mojej matki ze strony O'Shaughnessy'ów - nie przyjmie ode mnie pieniędzy.

Rozmawiając lekko i swobodnie, jakby nic się nie stało, zadzwonił na Martina. Gdy służący się zjawił, poprosił go o przygotowanie śniadania dla dwóch osób - siebie i swojego gościa. Martin starał się nie okazać zdumienia, w tej sytuacji w pełni zresztą uzasadnionego, chociaż próba zachowania obojętności, jak przystało na prawdziwego angielskiego służącego, nie wypadła najbardziej przekonująco.

Wychodząc, mruczał do siebie:

- Chciałbym wiedzieć, skąd ten człowiek tutaj się wziął. Nie było go wczoraj wieczorem, pan Trenmore nie opuszczał swojego pokoju, bo przecież bym słyszał, a jestem pewny, że nie otwierałem nikomu drzwi.

Nie przyszło mu do głowy - i nie można się było nawet temu specjalnie dziwić - że tajemniczy przyjaciel pana Trenmore'a przyszedł w odwiedzinę przez dach.

## Rozdział II. Pył ze skał Czyścica.

W niecałą godzinę później Robert Drayton, złodziej-amator, dopiero co uciekający przed ludźmi, których próbował obrabować, siedział przy stole w eleganckim filadelfijskim domu, szczęśliwym trafem wybranym na cel pierwszego skoku. Rana na skroni zakryta była kilkoma zgrabnie przyciętymi kawałkami plastra i jeśli nawet mu dokuczwała, to serce miał lżejsze niż w ostatnich dniach. W głębi duszy czuł, że po tym, co zrobił, powinien raczej chować się gdzieś w kacie, ale widząc naprzeciwko promieniejącego szczęściem i tryskającego dobrym humorem Terry'ego Trenmore'a, Drayton po prostu nie potrafiłby skryć się ani umknąć gdzieś ukradkiem.

Śniadanie przygotowane przez Martina wymownie świadczyło o tym, że Trenmore nie przesadzał w ocenie umiejętności służącego. Pod wpływem soczystej szynki, świeżych jajek, chrupiących bułeczek i aromatycznej kawy, wszystkie zmartwienia Draytona zbladły i skryły się gdzieś w głębi świadomości.

Trenmore był starszy od Draytona o dziesięć lat, lecz jeżeli porównać doświadczenie obu mężczyzn, to ze trzy razy tyle. Po raz pierwszy zetknęli się ze sobą w Chicago podczas fali żywiołowych strajków. Drayton, na tyle lekkomyślny, aby bawić się w bezstronnego obserwatora zamieszek, znalazł się w pewnej chwili pomiędzy tłumem muskularnych rzeźników a grupą równie silnych, a przy tym lepiej uzbrojonych policjantów. Miał wspaniałą okazję zginąć z rąk jednych lub zostać aresztowanym przez drugich, bez żadnej szansy wyplątania się z tej sytuacji. Trenmore obserwował całe zajście ze schodów pobliskiego budynku i w pewnej chwili zauważył w ścisku młodego, szczupłego, dobrze ubranego mężczyznę, który na pewno nie powinien tam być. Przyszedł mu z pomocą i utorował drogę przez tłum walczących.

Jakiś czas później spędzili wspólnie długie wakacje w lasach Kanady. Drayton był wtedy dobrze zapowiadającym się młodym prawnikiem, niezależnym finansowo, wrażliwym, nerwowym i z pewną skłonnością do melancholii. W

Irlandczyku, pełnym niewyczerpanej energii i optymizmu, znalazł idealnego towarzysza życia pod gołym niebem. Trenmore, samouk, ale odczytany, szczerze podziwiał inteligencję i charakter młodego prawnika. Należał do tych ludzi, którzy gdy raz komuś zaufają, gotowi są w potrzebie oddać wszystko - zarówno majątek jak i siłę własnego ciała i umysłu.

Gdy urlop dobiegł końca, Drayton powrócił do swojego domu w Cincinnati. Przez jakiś czas utrzymywali nieregularną korespondencję. Fortuna Trenmore'a zdobyta na Jukonie pozwoliła mu wieść wędrowne życie, które najlepiej odpowiadało jego niespokojnej naturze. Adres zmieniał tak często, że Drayton miał kłopoty z ustalaniem aktualnego miejsca jego pobytu. Jednocześnie Trenmore był coraz bardziej zaabsorbowany własnymi sprawami, które zaczęły się niebezpiecznie komplikować. To spowodowało, że w pewnym momencie korespondencja między nimi ustała.

Po zaspokojeniu głodu przyjaciele zapalili cygara i przeszli do biblioteki. Usadowili się wygodnie, aby spokojnie porozmawiać.

- Powiedziałeś, że byłeś w Irlandii - zaczął Drayton, ale Trenmore przerwał mu uniesieniem ręki.

- Zaczekajmy z tym. Chcę się przede wszystkim dowiedzieć, co u ciebie słyhać. No, no, nie rób takiej miny, bo gdy patrzę na ciebie, chce mi się płakać! Powiedz tylko, co to za drań doprowadził cię do takiego stanu, a ja... a ja nic pozwolę mu się zestarzeć. Ale nie zachowuj się tak, jakby nadszedł koniec świata, a ty jesteś świadkiem swojego własnego pogrzebu. Wierz mi, że żadne zmartwienia nie są tego warte! No więc, mów, co złego cię spotkało?

Drayton uśmiechnął się mimo woli, dobry nastrój towarzysza był zaraźliwy. Za chwilę jednak twarz Bobby'ego znów przybrała nieszczęśliwy wyraz.

- Postaram się opowiedzieć to jak najkrócej - zaczął. - Wiesz, że razem z Simonem Warrenem prowadziliśmy kancelarię adwokacką. Obawiam się, że moje listy pełne były opisów pierwszych zmagają pary niedoświadczonych prawników. Właściwie wszystko zdobyliśmy dzięki niemu. Biedny Warren!



Tuż przed katastrofą ożenił się. Jego młoda żona zmarła trzy dni po skazaniu Simona na dziesięć lat więzienia.

- No, no. A cóż zrobił twój współnik, że zasłużył na taki wyrok?

- To cała historia. Zdobyliśmy dobrą klientelę wśród handlarzy nieruchomościami i przedsiębiorców budowlanych w Cincinnati. Simon specjalizował się w kontraktach budowlanych, a ja w nieruchomościach. Dobrze nam szło i cieszyliśmy się dobrą opinią. Wtedy to Warren odkrył w Interstate General Merchandise coś, co mogłoby się skończyć wsadzeniem za kratki przynajmniej pięciu ludzi. Na nasze nieszczęście były to grube ryby. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że zbyt grube jak dla nas. Próbowali zatuszować całą sprawę, kupić nas. Powiedzieli, że potrzebują właśnie takich jak my. Zaoferowali pracę, która przynosiłaby nam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie. Oczywiście lubiliśmy pieniądze, kto ich nie lubi, byliśmy jednak zbyt dumni, żeby się sprzedać. Simon postawił na swoim i wniósł sprawę do prokuratora okręgowego. Zanim zdążyliśmy cokolwiek zrobić, Interstate Merchandise załatwiło nas. Wrobili Warrena w sprawę, której normalnie nie tknąłby za nic w świecie. Na dodatek podrzucili mu sfałszowane dokumenty. Oczywiście wpadliśmy obaj. Hańba zabiła żonę Warrena, a on zmarł trzy tygodnie temu w więzieniu. Gruźlica a może rozpacz... A ja, cóż, wywinąłem się bez wyroku, ale zostałem skreślony z listy adwokatów za niedopuszczalne praktyki. Podczas procesu straciłem wszystkie pieniądze. Na domiar złego, te dranie z Interstate pozbawiali mnie każdej pracy, którą udało mi się znaleźć, nie wiem, z zemsty czy ze strachu. Niszczyli mnie tak długo, aż w końcu się załamalem. Wczoraj wylądowałem w Filadelfii bez grosza przy duszy, głodny, pozbawiony wiary i nadziei. Ostatniej nocy powiedziałem sobie: „No tak, Simona zabili, mnie nie pozwalają żyć uczciwie. Ale ja, na Boga, muszę przecież jakoś żyć”. I tak właśnie rodzą się przestępcy. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Drayton umilkł. Jego jasne, uczciwe oczy błyszczały na wspomnienie desperackiej decyzji, tak sprzecznej z jego naturą. Długie, wrażliwe palce zaciskały się rytmicznie.

Trenmore wpatrywał się przez moment w swego przyjaciela, a po chwili, odrzuciwszy głowę do tyłu, wybuchnął potężnym śmiechem, zakłócającym ciszę panującą w tym spokojnym domu.

Drayton poderwał się.

- Na litość boską, Terry, chciałbym wiedzieć, co cię tak rozśmieszyło? Niech mnie diabli, jeżeli jest coś zabawnego w tym, co przeszedłem!

Trenmore przestał się śmiać równie gwałtownie, jak zaczął i zmusił swoją twarz do powagi. Ale w jego niebieskich oczach ciągle jeszcze błyskały wesołe ogniki.

- Siadaj, siadaj, człowieku i wybacz głupiemu Irlandczykowi! Byłbyś usprawiedliwiony, gdybyś chciał mnie zabić za ten śmiech. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy dostanę tych twoich prześladowców w swoje ręce. Najszybciej jak to będzie możliwe pojedziemy do ciebie i zobaczymy na miejscu, co się da z tym wszystkim zrobić. Ale przyznaj, że jesteś najbardziej oryginalnym złodziejem, który kiedykolwiek dokonał włamania! Zakradłeś się, znalazłeś kasę - nazwałeś to kasą, prawda? - wszystko zgodnie z reguła mi. A tak na marginesie, czy zamierzałeś wynieść sejf w kieszeni? A może miałeś pod ręką laskę dynamitu? Zresztą nieważne, bo oto zjawia się jakiś uczynny zawodowiec, łamie szyfr i odchodzi, zostawiając otwarte drzwi kasy. Ty budzisz się z przyjemnej drzemki i znajdujesz wszystko lub prawie wszystko, co było w sejfie, u swych własnych stóp. I co robisz? Uciekasz, jakbyś zobaczył samego diabła, i gdybym cię nie zatrzymał, błąkałbyś się teraz po mieście, bliski śmierci głodowej!

Słuchając dobrotliwych kpin przyjaciela Drayton zmusił się do uśmiechu. Nie mógł mieć żalu o drwiny, które w tak oczywisty sposób miały na celu powstrzymanie jego samopotępienia.

- Nie mogłem dopuścić do tego, aby ofiarą mojego pierwszego włamania stał się przyjaciel - powiedział - u którego teraz zaznaję większej gościnności, niż mam do tego

prawo. Jestem wyleczony ze złodziejstwa, Terry, ale to nie znaczy, że zamierzam być ci ciężarem...

Potężny Irlandczyk zerwał się ze swoją zwykłą gwałtownością i nie pozwolił Draytonowi wstać.

- Ależ siedź na swoim miejscu! Sądysz, że zważyłeś swoje troski na moje barki? Jesteś w błędzie, to właśnie ja chcę znaleźć u ciebie pomoc! Czy wiesz, że ktoś dybał na moje życie?

- Proszę, przestań żartować, Terry - zaprotestował Bob znużonym głosem. - Nie wdawałem się w szczegóły, ale w ciągu ostatniego roku straciłem całą radość życia.

- I powinieneś się tego wstydzić! Ale ja nie żartuję. Sam się przekonasz, kiedy wszystko usłyszysz. Poczekaj, muszę ci coś pokazać.

Drayton słuchał już nieco zaintrygowany. Tymczasem Trenmore opuścił pokój i poszedł na górę do swojej sypialni. Gdy po chwili wrócił, przysunął fotel blisko Draytona, usiadł i pokazał przyjacielowi, co przyniósł. Była to szklana fiolka. Miała około sześciu cali długości, z jednej strony zakończona była szpicem, a z drugiej zamknięta srebrnym wieczkiem, precyzyjnie wyrzeźbionym w kształcie trzech psich głów. Głowy te, ze złowrogo wyszczerzonymi kłami, objęte były jedną obrożą, wysadzaną pięcioma małymi, błyszczącymi rubinami. Fiolkę wypełniała po brzegi jakaś ciemnoszara substancja.

- Oryginalny drobiazg - zauważył Drayton.

- Tak, oryginalny drobiazg - przytaknął Trenmore, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w przedmiot. - Jak myślisz, co to może być?

- Trudno mi powiedzieć. Wygląda jak flakonik na sole trzeźwiące. Co jest tam w środku?

- Aha, zaintrygowało cię, widzę! A co sądzisz o tej eleganckiej srebrnej przykrywce?

- Doprawdy, Terry - odpowiedział zniecierpliwiony Drayton - wiesz, że nie znam się na tym. Przypuszczam, że przedstawia Cerbera, psa o trzech głowach, który według wierzeń

starożytnych Greków pilnował bram do królestwa boga Hadesa. Piękna robota.

Trenmore kiwnął głową.

- Rzeczywiście. A teraz ci opowiem, jak na nią trafiłem. Wiesz, że jestem prostym człowiekiem, ale gdzieś głęboko we mnie tkwi wielka miłość do małych, delikatnych rzeczy. I chociaż brak mi porządnego wykształcenia, jakie ty posiadasz, natykam się od czasu do czasu na ciekawe drobiazgi. A jeżeli na dodatek mają one jakąś swoją osobliwą historię, nie mogę się oprzeć, żeby ich nie zdobyć na własność. Za stalowymi drzwiczkami w moim pokoju znajduje się kilka takich interesujących cacek, z którymi za nic nie chciałbym się rozstać. Pokażę ci je później, jeśli zechcesz, i opowiem historie z nimi związane. Czytałeś w gazetach miesiąc temu, że zmarł Thaddeus B. Crane i jego wielka kolekcja została wystawiona na sprzedaż?

- Nie zwróciłem uwagi.

- Nie dziwię się, miałeś większe zmartwienia na głowie. Ale ja czytałem, pamiętałem też o jednym szczególnie słynnym przedmiocie w jego kolekcji. Trzy dni pod rząd chodziłem na aukcję, aż wreszcie wystawili to, o co mi chodziło: „Głowy Cerbera”, właśnie tak jak przed chwilą powiedziałaś, mój mądry chłopcze. Mówi się, że zostały zrobione we Florencji przed wiekami. Ale przeczytam ci fragment opisu, sporządzonego przez Crane'a.

Wyciągnął kawałek pożółkłego ze starości papieru.

- Głowy Cerbera - przeczytał. - Wykonane podobno przez Benvenuto Celliniego dla jego protektora, księcia Florencji. Zawartość nigdy nie była badana. Według legendy szary proszek został zebrany ze skał u bram Czyścica przez Dantego. Książę chciał mieć fiołkę specjalnie do przechowywania tego pyłu. Według współczesnych specjalistów jest to jakaś trucizna, którą książę Florencji nosił przy sobie dla własnego bezpieczeństwa lub na zgubę swoich wrogów.

Sama fiołka wykonana jest z kryształu górskiego, a przytwierdzone klejem wieczko szczególnie pięknym przykładem szesnastowiecznego rękodziela.

Najprawdopodobniej jest to oryginalny Cellini. Flakonik trafił w ręce... Ale reszty nie będę ci już czytał. Podane są tu nazwiska kolejnych właścicieli, z których zadziwiająco wielu umarło gwałtowną śmiercią lub zniknęło z powierzchni ziemi, a wszelki ślad po nich zaginął.

Usta Draytona wykrzywiły się w mimowolnym uśmiechu.

- Niezwykła historia - zauważył. - Dante, Benvenuto Cellini i Pył Ze Skał Czyścica! Czy mogę wiedzieć, ile za to zapłaciłeś?

- Zaledwie pięćset dolarów. Rozeszła się pogłoska, że Crane nie był znawcą i że w jego kolekcji było więcej falsyfikatów niż oryginałów. Prawdziwi zbieracze licytowali nieśmiało i wątpię, czy wdowa po Crane'em zdawała sobie choć w części sprawę, ile jej mąż wydał na swoje zbiory. Na ten drobiazg nie było wielu chętnych. Historia była zbyt nieprawdopodobna i większość kolekcjonerów nie wierzyła, że to praca Celliniego. Tym niemniej, jak tylko go kupiłem i opuściłem salę aukcyjną, jakiś siwowłosy jegomość podbiegł i chwycił mnie za rękaw. „Czy to pan kupił Cerbera?” - zapytał. „Tak” - potwierdziłem. „Czy odsprzeda mi go pan?”, „Nie” - odparłem. „Nawet za podwójną cenę?” - dopytywał się z przebiegłością, która mi się nie spodobała. „Nie” - powiedziałem. - „Ani za podwójną, ani za poczwórną cenę. Jestem kolekcjonerem, a nie handlarzem. Kupiłem to dla siebie i nie zamierzam odsprzedać. Żegnam pana” - rzekłem i oddaliłem się. Ale czy myślisz, że zaakceptowałem moją grzeczną odmowę? Skądże! Biegł obok mnie, robiąc trzy kroki na mój jeden i mówił: „Będziesz żałował, że się tego nie chcesz pozbyć. To powinno należeć do mnie. Gdy jechałem na aukcję, mój szofer potracił człowieka na Broadwayu. Niech go diabli! Policja zatrzymała nas i spóźniłem się na licytację. Miałbym Cerbera, nawet gdybym musiał zapłacić za niego pięć tysięcy i właśnie tyle ci teraz proponuję”. Zaczął mnie drażnić upór nieznanomego i jego świdrujący wzrok. Powiedziałem, że jeżeli nie przestanie iść za mną, za chwilę wezwę ambulans, bo będzie mu potrzebny. „Znajdziesz się w szpitalu razem z tym biednym głupcem, potraconym przez twój samochód” - rzekłem. Facet spojrzał na mnie z ukosa, zbladł i zatrzymał się. Biedny karzelek! Nie tknąłbym go nawet małym palcem z obawy, że

zrobię mu krzywdę, a on mimo to miał tyle odwagi, że potrzęsnał pięścią i krzyknął za mną: „Będiesz jeszcze tego żałował! Nie wiesz, co kupiłeś. Ale ja wiem, co to jest i odbiorę ci!” Cóż, tego dnia nie myślałem już więcej o dziwnym szaleńcu, ale nazajutrz otrzymałem list, zaadresowany do hotelu, w którym zatrzymałem się z Violą. W liście było napisane, że jeśli nie sprzedam teraz fiolki za dziesięć tysięcy, to kiedyś sprzedam ją za bezcen, i żebym zamieścił ogłoszenie w gazecie, jeśli zmienię decyzję. Oczywiście nic nie zrobiłem. Jednak od tego dnia nie miałem spokoju. Dwa razy ginał mój bagaż, a w ubiegłym tygodniu dwóch opryszków próbowało zatrzymać mnie w Jersey City. Biedacy, są w tej chwili w szpitalu, ale za nic nie chcieli podać nazwiska człowieka, który ich wynajął do tej roboty. Dostałem jeszcze dwa listy, które ci zaraz pokażę. Drugi był adresowany tutaj, co świadczy, jak bacznie jestem śledzony. Autor listu oświadcza, że musi zdobyć Cerbera, nawet gdyby miał mnie zabić. Jestem człowiekiem spokojnym, ale zaczyna mnie to wyprowadzać z równowagi. Ostatniej nocy widocznie znowu próbowali i cud prawdziwy, że nie zostałem zamordowany we własnym łóżku! Zjawili się w samą porę, aby mnie uchronić przed załamaniem nerwowym. Nareszcie jestem spokojny, bo przeciwko nam dwóm, twojemu rozumowi i mojej sile, nic nie będą mogli zdziałać.

Teraz z kolei roześmiał się Drayton. Wyobraził sobie Terence'a Trenmore'a cierpiącego na skutek załamania nerwowego lub przejmującego się jakimiś szaleńcami czy oszustami i ogarnęła go niepohamowana wesołość. Widok Irlandczyka, obserwującego go z urażoną miną, jeszcze potęgował jego śmiech.

- A czemuż to - zapytał wreszcie Trenmore z oburzeniem - czemuż to nie miałbym pomyśleć o tobie, gdy potrzebuję pomocy? Jimmy, mój gospodarz, jest uroczym człowiekiem, ale absolutnie nie nadaje się na konsultanta w tak tajemniczej sprawie. Dla niego liczą się tylko interesy i klub, gdzie może się odprężyć. I gdyby nie był dalekim krewnym ze strony mojej rodzonej matki, nigdy byśmy się pewnie nie spotkali. Czyż nie zamierzałem jechać w przyszłym tygodniu

do Cincinnati, żeby cię prosić o radę? A czy ta lista facetów, którzy mieli pecha przez Cerbera, czy to nic nie znaczy? Bobby, mówię ci, że potrzebuję twojej rady i pomocy, i cieszę się, że jesteś tu i możesz mi nimi służyć!

Drayton nagle zdał sobie sprawę, że Irlandczyk mówił zupełnie serio. Historia ta wcale nie była, jak mu się z początku wydawało, wymyślona jedynie po to, aby wzbudzić w nim jako w sprzymierzeńcu poczucie wartości. W głębi serca jego wielki przyjaciel był małym, zupełnie naiwnym dzieckiem, o bujnej wyobraźni. Pył Ze Skał Czyścica! Właśnie to tak zafascynowało Trenmore'a i bardziej niż strach przed nocnymi napadami skłoniło do szukania pomocy u znajomego prawnika. Potrzebował moralnego, a nie fizycznego wsparcia.

- Ale Terry - powiedział Drayton poważnie, ujęty niezwykle prośbą Trenmore'a - jeżeli tak cię to dręczy, dlaczego nie sprzedasz flakonika? W ten sposób pozbędziesz się całego kłopotu.

Usta Trenmore'a zacisnęły się z uporem.

- Za nic - oświadczył. - Nikt nie zmusi mnie do niczego wbrew mojej własnej woli. Viola też jest tego zdania. Ale gdybym mógł, dobrałbym się do tego starego łotra i dałbym mu taką nauczkę, że już nigdy nikomu by nie szkodził!

- Czy kontaktowałeś się z policją?

- Naturalnie.

- A czy próbowałeś w domu aukcyjnym, w którym kupiłeś Cerbera? Jeśli twój prześladowca jest kolekcjonerem, mogą go rozpoznać na podstawie rysopisu.

- Poszedłem tam, zanim zwróciłem się do policji. Jeden z pracowników przypomniał sobie tego łobuza. Pamiętał też, że wypytywał o moje nazwisko. W hali aukcyjnej są rejestry, ale gdy chciałem się dowiedzieć, jak się nazywa ten niktzemnik, nikt nic nie potrafił mi powiedzieć.

- A więc to tak - Drayton zaczął coś rozważać, gdy nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. - A propos, Terry, czy otwierałeś fiolkę i poddałeś zawartość analizie?

Trenmore otworzył szeroko swoje niebieskie oczy.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął energicznie. - Czemu miałbym to robić? Z pewnością tam, skąd pochodzi Pył, nie spodobałaby się taka ciekawość!

Drayton z trudem powstrzymał uśmiech. Tolerancja jest podstawą przyjaźni, zbyt lubił Irlandczyka i był zbyt wdzięczny, aby z niego drwić.

- Jestem przekonany - powiedział poważnie - że nawet jeśli część legendy, ta mówiąca o Czyścucu, jest prawdziwa, to Pył znalazł się tak daleko od swojego źródła i upłynęło już tyle czasu, że mało prawdopodobne, aby groziło nam jakieś realne niebezpieczeństwo. A kto wie? Może w proszku ukryte są brylanty lub jakieś inne klejnoty? Jeżeli autentyczność fiołki jest kwestionowana, w takim razie nie za nią ten tajemniczy kolekcjoner jest gotów zapłacić dziesięć tysięcy. Czemu jej nie otworzyć i nie przekonać się, o co tu właściwie chodzi?

Irlandczyk podrapał się w głowę; był wyraźnie niezdecydowany. Strach był uczuciem całkowicie mu obcym, ale przejawiał silną niechęć do wtrącania się w jakiegokolwiek sprawy, mające związek z siłami nadprzyrodzonymi. Flakonik kupił skuszony nazwiskiem twórcy, potem uwagę jego przyciągnęła tajemnicza zawartość i niesamowita aura ją otaczająca. Wrodzona przekora powodowała, że wszelkie próby zmuszenia go do pozbycia się buteleczki wywierały odwrotny skutek, mimo że zaczynały go już męczyć kłopoty związane z jej posiadaniem. Gdyby nikt nie zakwestionował jego praw do Cerbera, prawdopodobnie dawno już by się go pozbył.

- Słuchaj - powiedział w końcu - jeżeli uważasz, że jest to jedyne rozsądne wyjście, otworzymy flakonik i będzie po sprawie. Boję się jednak, że lekkomyślnie igramy z siłami, o których potędze mało wiemy!

- Nonsens! - zaśmiał się Drayton. - Ta historia o Dantem i Czyścucu działa na twoją wyobraźnię! Nie w tym rzecz - dodał pospiesznie - żebym stroił sobie żarty z całej tej sprawy, ale sam przyznasz, że jest ona trochę, no, może troszeczkę nieprawdopodobna. Bierzmy się do roboty!

Wziął leżącą na stole gazetę i rozpostarł ją na podłodze.



- Daj mi tę fiolkę, zobaczę, czy można otworzyć wieczko, nie uszkadzając buteleczki. Nie powinniśmy jej zniszczyć. Bez względu na to, czy jest to dzieło Celliniego czy nie, jest to ładna rzecz.

Pomacał w kieszeni i wyciągnął zgrabny scyzoryk. Otworzył większe ostrze i wziął fiolkę z ręki wciąż nieprzekonanego Trenmore'a. Zgodnie z opisem przykrywka miała zawiasy, a mała zapinka obejmowała wysadzaną kamieniami obrozę. Oprócz tego wieczko było przyklejone. Wyraźnie widoczna była cienka, czerwona kreska między srebrem i kryształem. Dolne fragmenty zapięcia i zawiasów były przynitowane do flakonika.

Drayton ostrożnie przesunął czubkiem ostrza wzdłuż czerwonej linii.

- Twarde jak stal - zauważył. - Obawiam się, że nie uda nam się jej otworzyć.

Na twarzy Trenmore'a pojawił się wyraz ulgi. Szybko wyciągnął rękę, aby odzyskać fiolkę, ale Drayton cofnął się. Otworzył teraz cienki, mały nożyk i spróbował podważać pod innym kątem.

- Aha! - powiedział triumfująco. - Tak będzie dobrze. To stare spoiwo. Nie da rady go przeciąć, ale spójrz, jak łatwo oddziela się od kryształu, gdy wsuwam ostrze od spodu. Ostrożnie... Już! A teraz sprawdzimy, jak działa zapięcie.

Po chwili rozległ się cichy trzask i pokrywka odskoczyła, jakby zadziałała sprężynka. Jednocześnie z otwartego flakonika uniosła się chmurka drobnych, szarych cząsteczek. W promieniach słońca błyszczały niby diamentowy pył.

Gwałtownie łapiąc powietrze, Trenmore odchylił się do tyłu. I chociaż w pokoju było zimno, jego twarz pokryła się perlistym potem. Zaciekawiony Drayton nie zwracał na niego uwagi. Bez wahania przechylił fiolkę, ostrożnie wysypał całą jej zawartość na leżącą na podłodze gazetę. Pył był tak mialki, że musiał robić to bardzo ostrożnie, aby zapobiec unoszeniu się drobinek w powietrzu. W buteleczce nie było nic poza szarym proszkiem, przypominającym mąkę lub talk.

- Myliłem się - zauważył Bob, prostując się. - Nie było w niej nic prócz Pyłu.

To, co teraz zrobił Trenmore, było niezwykle, zwłaszcza, że jeszcze przed chwilą okazywał zabobonny wprost lęk przed Pyłem. Być może widząc, że Drayton nie odniósł żadnej szkody podczas wysypywania Pyłu, Terry przestał się bać, mógł to być także rezultat jego zwykłej beztroski i impulsywnego charakteru. Jak by nie tłumaczyć, istotne jest, że nagle pochylił się, rozmyślnie zanurzył dwa palce w proszku i zaczął go przesypywać, sprawdzając jego doskonałą mialkość.

I wtedy zdarzył się pierwszy z serii niezwykłych wypadków, które wciągnęły ich obu w przygody tak niesamowite, tak niewytłumaczalne, że przez jakiś czas nawet Drayton zaczął podzielać wiarę swego przyjaciela w nadnaturalną moc substancji, pilnowanej przez Cerbera.

Obaj przyjaciele znajdowali się w zalanej światłem słonecznym bibliotece Burforda. Z zewnątrz dobiegał pisk opon i turkot przejeżdżających wozów, dobitnie świadcząc o tym, że spokojna niegdyś Walnut Street stała się ulicą śródmiejską, chociaż Jimmy Burford i kilku innych upartych mieszkańców okolicy udawali, że tego nie dostrzegają. Siedzieli tak, a miasto wokół pulsowało życiem - zwyczajnym, ruchliwym, niecierpliwym i nie wierzącym w cuda, podobnie jak Drayton. Gdzieś na tyłach domu Martin pogwizdywał wesoło przy pracy.

Drayton siedzący wygodnie w fotelu obserwował Trenmore'a pochylającego się nad Pyłem, oświetlonego promieniami słońca. Patrzył, jak Terry palcami miesza Pył i zauważył, że chmura proszku uniosła się na wysokość jego twarzy niczym obłok szarego, lekkiego dymu.

Wtem Drayton krzyknął głośno. Gwałtownie odsunął fotel, odskoczył od gazety i znajdującego się na niej Pyłu.

Nad podłogą wciąż unosił się szary, cienki tuman, rzednący z każdą chwilą, w miarę jak cząsteczki opadały w nieruchomym powietrzu. Ale co się stało z Trenmore'em?

W pewnej chwili jego potężna sylwetka zaczęła drżeć i chwiać się, jakby obserwowana z za słupa gorącego powietrza.

I nagle olbrzymi Irlandczyk rozplynął się, niby smuga dymu z cygara.

### Rozdział III. Nowi przybysze i kolejne zniknięcia.

W pierwszej chwili oszołomionemu i zaskoczonemu Draytonowi wydawało się, że nadszedł koniec świata. Najbardziej szalone i nieprawdopodobne przypuszczenia kłębiły się w jego głowie. Nie zdziwiłby go chyba nawet widok samego Lucyfera, wyłaniającego się w oparach płonącej siarki ze środka kopczyka tajemniczego pyłu. Gdyby stoły i krzesła zaczęły chodzić na własnych nogach, uważałby to tylko za naturalne następstwo tego, co już się wydarzyło. Byłoby wręcz dziwne, gdyby nic więcej nie miało już zajść, gdyby Natura, złamawszy swoje najświętsze prawo - niezniszczalności materii - nie posunęła się dalej w swoich poczynaniach.

Ale czy rzeczywiście to najświętsze prawo zostało złamane? Czy było prawdopodobne, aby szary proszek posiadał tajemnicze właściwości i mógł bezgłośnie, bez wstrząsu czy widocznej eksplozji obrócić wielką postać Irlandczyka w atomy, w które cała materia tak czy inaczej da się przekształcić? A może po prostu on, Robert Drayton, kompletnie zwariował i całe to absurdalne, okropne zajście było tylko częścią jakiegoś sennego koszmaru?

Wszystko wokół było jednak całkowicie realne. Kryształowa fiolka leżała na podłodze tam, gdzie ją rzucił w pierwszym odruchu przerażenia. Gazeta, na której znajdował się proszek, reklamowała sezonowe wyprzedaże. Nagle Drayton uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu rozlega się w bibliotece uporczywy i monotony dzwonek telefonu.

Półprzytomnie przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę.

- Halo! Słucham? Tak, to dom Jamesa Burforda. Co takiego? Pan... pan Trenmore? Tak, jest. Nie, chciałem... chciałem powiedzieć, że był tu przed chwilą. Nie, nie wiem, gdzie jest ani kiedy wróci. Sam chciałbym wiedzieć! Co takiego? Pani jest... powiedziała pani, że jest... O, mój Boże!

Mężczyzna wypuścił słuchawkę z ręki i stał osłupiały. Po chwili, nie zwracając uwagi na zwisającą słuchawkę, obrócił się i podszedł wolno do fotela, na którego szerokiej poręczy pod coraz grubszą warstwą popiołu tliło się cygaro Terence'a Trenmore'a. Lekko drżąc zmusił się do przesunięcia dłońmi

po wewnętrznej powierzchni siedzenia, poręczy i oparcia. Skóra wyściełająca fotel zachowała jeszcze ciepło siedzącej dopiero co osoby. Teraz niewątpliwie nie było tu nikogo.

Draytona ogarnęła zgroza i beznadziejność całej sytuacji, wypierając chwilowo z pamięci telefon i osobę, z którą właśnie przerwał rozmowę. Jego nieprzytomny wzrok padł znowu na szary proszek. Bobby usiadł na swoim fotelu. Miał dziwne uczucie, że padł ofiarą wyjątkowo okrutnego żartu.

A jeśli jednak ta straszna, niewiarygodna historia, związana z pyłem, historia, w którą tak wierzył Trenmore, była prawdziwa?

Drayton starał się uporządkować wszystkie fakty w logiczną i spójną całość, spostrzegł jednak, że wciąż powraca myślą do jednej sceny: on, Drayton, siedzi naprzeciwko pochylonego nad gazetą Trenmore'a, który znika nagle w szarej chmurze pyłu.

Z odrętwienia wyrwał go dźwięk dzwonka, dobiegający tym razem z drugiego końca domu. Drayton czekał, spodziewając się usłyszeć kroki Martina przechodzącego przez salon w kierunku drzwi frontowych. Tymczasem dzwonienie rozległo się ponownie, długie i natarczywe, jakby ktoś nacisnął guzik zdecydowany nie przerywać, dopóki drzwi nie zostaną otwarte. Martin jednak nie nadchodził. Widocznie wyszedł, być może po zakupy, pomyślał Drayton.

Machinalnie, tak jak wtedy, gdy odbierał telefon, powlókł się w stronę wejścia, przekręcił klucz i otworzył drzwi frontowe. Do środka wtargnęło światło słoneczne, a wraz z nim drobna postać bardzo wzburzonej, młodej panienki.

- Gdzie on jest? Co się stało mojemu bratu? Kto rozmawiał ze mną przez telefon? Proszę mi natychmiast odpowiadać! Gdzie jest mój brat Terry Trenmore?

Grad pytań spowodował, że Drayton odzyskał swój zwykły spokój.

- Czy pani jest... czy pani jest panną Trenmore? - zapytał, a właściwie stwierdził, bowiem nagle poraziło go niezwykle podobieństwo rodzeństwa. Rozmowę telefoniczną z nią przerwał tak nagle. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna

przyjechała z Atlantic City, aby spotkać się z bratem, zadzwoniła do niego i...

- Jestem Viola Trenmore i chcę się zobaczyć z moim bratem. Gdzie on jest?

Drayton stał naprzeciwko Violi z uczuciem bezradności i lęku, chociaż w samej postaci siostry Trenmore'a nie było nic przerażającego. Wyglądała na mniej niż swoje siedemnaście lat. Była tak mała - jak jej brat - był wielki. Oczy miała - tak jak Terry - lazururowe niczym włoskie niebo. Proste, delikatne brwi i długie rzęsy pięknie i żywo kontrastowały swoją czernią z białą cerą twarzy, zaróżowionej teraz jak u podnieconego dziecka. Nosila mały, modny kapelusik, zgrabne pantofelki i kostium szyty na miarę. Wszystko w jasnym, czystym kolorze jej oczu. Widok Violi Trenmore wywołał u Draytona taki sam dreszcz naglej radości, jak widok modraszka na wiosnę. Przypominała błękitnego motyla trzepoczącego w słońcu. Przez jego wzburzony umysł ledwie przemknęła ta myśl, potem jednak ich pierwsze spotkanie zawsze kojarzyło mu się z blaskiem skrzydeł modraszka.

- Co pan mu zrobił? - spytała ostro, a w niebieskich oczach pojawiły się błyski identyczne jak u Terence'a Trenmore'a - Terence'a impulsywnego, rozzłoszczonego i lekceważącego niebezpieczeństwo.

- Nie wiem, co pani powiedzieć, panno Trenmore - zaczął Drayton z wahaniem. - Pani brata nie ma tutaj. Zniknął... A ja sam nie bardzo wiem, co się stało. Nie wiem nawet, czy jestem normalny czy szalony. Proszę wejść, panno Trenmore, i... przynajmniej wysłuchać tej historii.

Viola zaintrygowana posłuchała. Idąc do biblioteki obserwowała Draytona z rodzajem czujnej ostrożności. Urywającymi zdaniem Robert opisał całe nieprawdopodobne zdarzenie. Pokazał dziewczynie pył na gazecie, pustą kryształową fiolkę i do połowy wypalone cygaro, jako ostatni widoczny ślad po człowieku, który je zapalił.

W trakcie opowiadania Drayton zdał sobie sprawę z tego, że wszystko, o czym mówił, naprawdę miało miejsce i że Trenmore umarł. Umarł i rozpadł się na atomy, jakby od jego śmierci minęło dziesięć tysięcy lat, a nie ledwie pół godziny.

Żal ścisnął Boba za gardło i dokończył swoją opowieść ochryplym, ledwo słyszalnym szeptem.

- I w ten sposób... odszedł! Właśnie tak. Nie ma po nim najmniejszego śladu. Nic prócz tej diabelskiej substancji, która go zabiła, która zamordowała mojego przyjaciela!

Przez chwilę dziewczyna stała cicho i Draytonowi wydawało się, że jest równie zrozpaczona jak on. Nagle odrzuciła w tył głowę takim samym ruchem jak Trenmore.

- Nie wierzę ci! - krzyknęła gwałtownie. - Nie wierzę! Spodziewałeś się, że ci uwierzę? Uważasz, że jestem dzieckiem? A kim ty jesteś, co robisz w domu mojego kuzyna? Jakim prawem odbierasz jego telefony i otwierasz drzwi? Czemu opowiadasz jakąś niestworzoną historię o Terry'm? Rozpoznaję tę fiolkę! Wiem, że ktoś próbował wykraść ją mojemu bratu. Czy jesteś właśnie tym złodziejem i zamordowałeś Terry'ego, jak groziłeś?

Natarła na niego z bezsilną wściekłością, jej niebieskie oczy były pełne desperacji, ale mężczyzna nic cofnął się.

- Nazywam się Robert Drayton - powiedział.

- Robert Drayton? To niemożliwe. Pan Drayton jest dobrym przyjacielem Terry'ego, chociaż nigdy się z nim nie spotkałam. Dowiedziałaś się o tym i podajesz się za niego. Myślałaś, że mnie oszukasz! Ale pan Drayton nie postąpiłby tak, nie okłamałby mnie. Nie... - szlochając przerwała i zacisnęła swoje małe piąstki. - Ja ci pokażę! - zagroziła. - Pokażę ci, co myślę o tobie i twoich kłamstwach. Zmuszę cię do powiedzenia mi prawdy!

Zanim Drayton, rzucając się naprzód z okrzykiem dzikiego przerażenia, mógł zapobiec wypadkom, Viola klęknęła obok gazety. Jej palce w białych rękawiczkach wznieciły znowu złowrogi, szary тумan.

Drobinki uniosły się, wirując...

Przez sekundę Robert Drayton widział dziewczynę jako niewyraźną, przeświecającą plamę błękitu, przechodzącego w róż na wysokości twarzy. Potem wszystko zamigotało i powietrze stało się przejrzyste. I znów nieszczęśliwy młodzieniec został sam w pozornie przyjemnej bibliotece

Burforda. Tym razem nie było nawet zapalonego cygara, mogącego świadczyć o niedawnym towarzystwie.

Robert Drayton wybuchnął gradem przekleństw. Nigdy dotąd nie używał ordynarnych wyrazów i nawet nie wiedział, że je zna. Wyrzucenie z siebie potoku obelg przyniosło mu dziwną satysfakcję i ulgę. Po paru minutach zamilkł, nadludzkie napięcie minęło i mógł znowu spokojnie pomyśleć.

Zniknięcie, tak gwałtowne i całkowite, że nie pozostawiło nawet zwłok, które mógłby pochować, wzbudziło w nim emocje, jakich nigdy dotąd nie doświadczył. Uświadomił sobie, że nie może myśleć o Trenmorze i jego siostrze jak o umarłych. Czuł wciąż ich żywą obecność w bibliotece, chociaż natarczywa myśl przypominała mu, że na jego oczach ci dwoje zostali przemienieni w nicość.

Zastanawiał się nad tym, co powinien teraz zrobić i nagle odkrył, że jest tylko jedno honorowe wyjście z sytuacji. Gdyby nie traktował z pobłażaniem wiary Trenmore'a w piekielną moc Pyłu, nie zostałby postawiony W obliczu tak upiornej tajemnicy. Zgodnie z tym rozumowaniem był winny całemu zdarzeniu. Sam nawarzył piwa i powinien je teraz wypić.

Zdecydowanym, stanowczym krokiem podszedł do szarego kopczyka. W przeciwieństwie do poprzednich ofiar Pyłu świadomie uwolnił jego śmiertcionośną siłę.

Dziesięć sekund później w bibliotece nie było żywej duszy.

Stojący na kominku zegar wskazywał wpół do dziesiątej. Tykał cicho, miarowo, całkowicie obojętny na jakiegokolwiek cuda poza jedynym wielkim i wiecznym cudem - przemijaniem czasu. Minuta za minutą wskazówki przesuwwały się po tarczy zegara, a na rozległej osnowie Wieczności przybywał wątek za wątkiem, tworząc uniwersalną tkaninę Przeszłości.

O dziesiątej dwadzieścia pięć Martin, robiący zakupy na straganach Reading Terminal Market, spostrzegł niezwykle duże i soczyste pomarańcze. Pan Trenmore bardzo lubił



pomarańcze. Zadowolony Martin dołożył dwa tuziny owoców do wcześniejszych sprawunków i ruszył w kierunku domu.

W bibliotece Cerber wciąż błyszczał tam, gdzie cisnął go Drayton. Pył leżał na gazecie, która z wyższością traktowała o tajemnicach rozwodów i morderstw, o okazyjnych cenach koronkowych bluzek i bielizny, oferowanych ze składów Isaaka Fineheimera.

Gdy Martin w drodze powrotnej przecinał Juniper Street, do pewnego domu na Walnut Street zawitał kolejny gość.

Był to niski, korpulentny mężczyzna. Miał na sobie ciemnozielony garnitur z gustownie dobranymi skarpetkami, krawatem i wstążką przy kapeluszu. Jedyne dysonans w tej stonowanej całości stanowiła para brązowych, zbyt jasnych butów.

Dwa razy minął dom pana Burforda swobodnym krokiem. Za trzecim razem śmiało wspiał się po białych, marmurowych stopniach. Równie pewnym krokiem przekroczył próg, ale w środku jego zachowanie uległo całkowitej zmianie. Nawet kot nie skradałby się ciszej niż on. Żadne czatujące zwierzę nie nasłuchiwałoby czujniej od niego jakiegokolwiek dźwięku.

Ruszył prosto w kierunku schodów, z nogą na pierwszym stopniu nagle przystanął. Przez uchylone drzwi zobaczył duży pokój z rzędami książek. Czy był w nim ktoś?

Po krótkim wahaniu pulchny zielony pan zakradł się i przez nie domknięte drzwi zajrzał ostrożnie do środka.

Chwilę później przemknął przez bibliotekę zadziwiająco cicho i szybko. Uwagę jego przyciągnął błyszczący w słońcu Cerber. Podniósł fiolkę, przyjrzał się jej uważnie, wrzucił do kieszeni, po czym obrócił się w kierunku wyjścia. Na jego pucołowatej twarzy malowało się zaskoczenie, że tak podejrzanie łatwo znalazł to, czego szukał. Uśmiechał się z zadowoleniem, ale trochę niepewnie i gdy szedł cicho w stronę drzwi, jego małe, bystre oczy rzucały wokół szybkie spojrzenia, wypatrując tego, co mogłoby stanowić niebezpieczeństwo.

Na jego nieszczęście jednak to, co było prawdziwym i jedynym niebezpieczeństwem w tym pokoju, nie było wcale

ukryte. Wprost przeciwnie leżało na gazecie, rozpostartej na podłodze między dwoma fotelami.

I kolejny raz okazało się, jak fatalna w skutkach może być nadmierna ciekawość.

Jaki zasięg przybrałaby ta niezwykła afera, ilu przypadkowych mieszkańców Filadelfii weszłoby do biblioteki Burforda i zainteresowałoby się niewinnie wyglądającym szarym proszkiem, gdyby Martin nie był ostrożnym i sumiennym człowiekiem, pozostanie na zawsze tematem do spekulacji. Na szczęście Martin był taki, jaki był. Punktualnie o jedenastej wszedł do biblioteki, szukając swego pracodawcy. Odkrył, że pokój jest pusty i po przeszukaniu reszty pomieszczeń doszedł do prawidłowego wniosku, że pana Trenmore'a nie ma w domu.

Drzwi frontowe były otwarte. Martin zamknął je, po czym powrócił do biblioteki, by ją uporządkować i wysypać popiół z popielniczek.

Nad fatalnym proszkiem zawahał się. Czy ta szara, pylista substancja była pozostawiona na podłodze po to, aby ją wymieść? Arbitralność i działanie bez instrukcji nie leżało w charakterze Martina. Ostrożnie zwinął gazetę, uważając, aby nie rozsypać jej zawartości. Zrobił z niej zgrabną paczuszkę i przewiązał czerwoną taśmą, znaną w szufladzie stołu. Gdyby wiedział, jak niezbędna była ta ostrożność, ogarnąłby go paniczny strach. Pakiecik zaniósł na górę i położył w widocznym miejscu na bielizniarce Trenmore'a, gdzie trudno byłoby go przeoczyć.

Następnie zaczął buszować po dolnych półkach szafek kuchennych, aby przygotować lunch dla Trenmore'a i jego gościa.

W pustej i tak niewinnie wyglądającej bibliotece miarowo tykał zegar.

#### Rozdział IV. Dokąd prowadził Szary Pył.

Czego spodziewał się Robert Drayton, gdy nie oglądając się na świat i sądząc, że go opuszcza na zawsze, podążył w ślady dwójki Trenmore'ów? Najprawdopodobniej śmierci.

Pochylając się nad Pyłem, obojętny już wobec życia, nie odczuwał ani żalu, ani strachu, ani ciekawości. Stał niby przed białym murem, który wyrasta przed człowiekiem w momentach wielkich kryzysów. Niemal fizycznie odczuwał tę króciutką chwilę, dzielącą przeszłość od przyszłości, chwilę trwającą tyle, co mgnienie oka.

Dokładnie naśladowując ruchy swych poprzedników Drayton dotknął Pyłu, najpierw delikatnie, a następnie, chcąc jak najszybciej mieć już wszystko za sobą, energicznie zamieszał proszek palcami.

Gdyby był zwykłym samobójcą pociągającym za spust, rezultat nie nadszedłby prędzej. Już dwukrotnie widział unoszącą się groźną chmurę, ale tym razem uniosła się oznaczając koniec dla niego.

Pył dotarł na wysokość twarzy. Drayton miał go w oczach i nozdrzach. Proszek spowodował zawroty głowy i silne mdłości. W ustach poczuł ostrą gorycz, jak po zażyciu chininy. Wzdrygnął się i wstrzymał na moment oddech. Wszystko widział jak przez szarą mgłę, wypełniającą cały pokój niczym cienkie, koncentryczne koła, obracające się wolno wokół niego. Obręcze stawały się coraz grubsze, coraz gęściejsze, aż w końcu nic już nie mógł przez nie dojrzeć. Nie widział nawet własnej ręki, którą wyciągnął, by chwycić się stołu czy krzesła, a napotkał tylko powietrze.

Gorzki smak i nudności się nasiliły. Oparł się rękoma o podłogę, ale zamiast dywanu poczuł jakąś dziwną materię, nie przypominającą żadnego tworu ludzkich rąk. Na chwilę zapomniał o trapiących go zawrotach głowy i mdłościach, pochłonięty całkowicie myślami o dziwnej substancji. Mógłby przysiąc, że to, czego dotyka ostrożnie palcami, nie było wcale dywanem, lecz trawą. Z pewnością była to trawa o długich, splecionych, kruchych na skutek braku wody źdźbłach.

Wciąż badał jeszcze ten fenomen, gdy otaczająca go szarość zaczęła rzednąć. Wokół niego pojawiły się zarysy pewnych konturów, szarych i zmiennych jak sama mgła, ale jednak były to jakieś kształty. Stopniowo stawały się bardziej spójne i trwałe, aż w jednej chwili szara falująca zasłona opadła.

Jeżeli jego zmysły nie kłamały, kuczał właśnie na ziemi, na wolnym powietrzu. Szare kształty, wyłaniające się stopniowo z mgły, były fragmentami popękanych ścian jakiejś zrujnowanej budowli i leżącymi wśród tej dziwnej trawy odłamkami murów.

Drayton wstał i rozejrzał się zdumiony. Przed nim rozciągała się ogromna, zielona równina, oświetlona promieniami słońca, przenikającymi przez warstwę czerwonych chmur. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Ruiny, w pobliżu których się znajdował, wieńczyły szczyt małego wzgórza, porośniętego suchą, splątaną trawą, która wcześniej tak go intrygowała. Gdzieś między odłamkami murów wyrastały nieduże drzewka, a ich rzadkie, żółtawe liście szeleściły na lekkim wietrze.

Drayton obrócił się wolno i spostrzegł, że wzgórze było jednym z szeregu niewysokich wzniesień, zza których na wschodzie wyłaniały się białe szczyty gór.

Pomijając zdumienie, Drayton odczuwał nieznośną samotność. Pod niebem tego dzikiego, dziwnego świata, w którym się znalazł, nie dostrzegał ani jednego ptaka. Cały roztaczający się przed nim krajobraz pozbawiony był jakiegokolwiek żywej istoty, a poza delikatnym szumem ciepłego wiatru wiejącego od równiny żaden dźwięk nie mącił ciszy.

Mimo to krajobraz był bardzo realny, bardzo prawdziwy i niemal ziemski. W promieniach zachodzącego słońca ruiny rzucały długie i ciemne cienie. Drayton wyciągnął rękę i ostrożnie położył ją na jednym z kamieni zniszczonego muru. Pod palcami poczuł szorstki i gorący granit. Ze skały oderwał kawałek zielonoszarego mchu i stwierdził, że był to najzwyklejszy mech, nic więcej.

Jeżeli umarł, a to był świat czekający na dusze opuszczające ciało, czemu czuł się tak normalnie jak w swym zwykłym,

codziennym, dotychczasowym życiu? Biorąc na zdrowy rozum, jak mógł w ogóle coś czuć?

Był jednak pewien, że żyje. Ziemia ugiwała się pod ciężarem zupełnie materialnego ciała. Nawet jego strój był zaprzeczeniem jakiegokolwiek duchowej istoty zjawiska. Stał z gołą głową, ubrany w ten sam stary, niebieski garnitur, kupiony pięć lat temu w Cincinnati, będący ostatnio całą jego garderobą. Na twarzy czuł ciepło słońca; oddychał czystym i słodkim powietrzem. Na pewno nie był duchem, tylko żywym człowiekiem z krwi i kości.

Jednakże nigdzie wokół niego nie było znaku istnienia innych ludzi. Był sam w krainie całkowicie pustej i tylko zieleń na wzgórzach i równinie tworzyła namiastkę życia. Ruiny świadczyły o obecności człowieka, ale obecności minionej przed wiekami. Kamienie ledwo zachowały ślady obróbki, dokonanej ludzką ręką.

Jakie diabelskie właściwości posiadał ten Pył i gdzie prznosił swoje ludzkie ofiary?

Drayton wyciągnął ramiona w geście rozpaczki. Stał tak przez długą chwilę, aż ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała. Zaczął bez celu wędrować wśród ruin.

Tutaj - myślał ze słabą iskierką zainteresowania - był kiedyś zamek. Wieki temu popadł w ruinę. Pozostały jedynie zwalone kolumny, stosy potrzaskanego granitu i fragmenty grubych murów zewnętrznych. Z ich układu mógł wyobrazić sobie kształt dziedzińca. Miejscami zachowały się nawet płyty kamienne, teraz już popękane.

Nie opodal znajdowały się resztki bramy, której sklepienie dawno runęło. Na jednym z roztrzaskanych kamieni zauważył ślady liter. Obejrzał je z uwagą. Czas jednak dokonał dzieła zniszczenia zbyt dokładnie i jedyne, co było możliwe do odcyfrowania, to kilka pierwszych liter w dwóch liniijkach:

ULIT...

MC...

Nie ułatwiało to w żaden sposób określenia miejsca jego pobytu.

Nie mając nadziei, że dowie się czegoś więcej, snuł się, sam nie wiedząc czemu. Nagle w zmierzwionej trawie dziedzińca, w pobliżu muru, od którego rozpoczął wędrówkę, o coś się potknął.

Spojrzał pod nogi. Słońce stało już bardzo nisko nad horyzontem, mur rzucał głęboki cień i jedyne, co mógł ujrzyć wśród splątanej trawy, to lekkie wzniesienie. Coś go nieprzyjemnie zaniepokoiło w tej kombinacji nieokreślonego kształtu i sprężystej struktury.

Odwrócił się, by wyminąć wybrzuszenie, ale po chwili, zafascynowany, powrócił. Pochylony zaczął nerwowo rozrywać palcami płatanię suchych traw, pokrywających wypukłość. W końcu odkrył coś, co miało wygląd i fakturę tkaniny. Ale jej kolor... jej kolor... W nikłym świetle dostrzegł jasny i czysty błękit, najjaśniejszy i najczystszy ze wszystkich błękitów - błękit skrzydeł modraszka.

Pod trawą spoczywało ciało kobiety. Chociaż twarz była niewidoczna, poznał ją natychmiast. Leżała tu pełna śmiertelnej powagi, porośnięta trawą.

Ile czasu, na Boga, upłynęło od chwili, kiedy rozmawiał z tą dziewczyną w bibliotece Burforda? Wtedy był ranek. Tutaj jest zmierzch. Zmierzch? Ile razy słońce zachodziło od czasu, kiedy wykiełkowała tu trawa i zaczęła swoje dzieło tkania całunu?

Pokonując nagłą i gwałtowną chęć ucieczki, Drayton przewrócił ciało - i zaśmiał się trochę dziko. A jednak trawa kłamała. Dziewczyna być może nie żyła, leżała przecież zupełnie nieruchomo, ale nawet jeżeli była martwa to od niedawna. Twarz miała bladą, słodką i łagodną jak u śpiącego dziecka. Powieki były lekko zamknięte, tak jakby w każdej chwili długie rzęsy mogły zatrzepotać i unieść się.

Wstrzymując oddech Drayton uklęknął i przytknął ucho do piersi dziewczyny. Usłyszał ledwo wyczuwalne, słabe bicie serca. Delikatnie uniósł jej głowę, szukając innych oznak powracającego życia. Nie znalazł nic. Położył dłoń na jej czole.

Było chłodne, ale nie tym śmiertelnym chłodem, którego się obawiał.

Nie sprawdzając dalej Drayton wyprostował się i stanął bez ruchu. Gdzie w tej pustej, bezludnej krainie mógłby znaleźć jakiś środek pobudzający lub chociaż wodę, żeby ją ocucić? Musiał coś zdobyć, musiał ratować ją, póki ta nikła iskierka życia jeszcze się tliła. Sam był niczym. Z małą siostrą Trenmore'a u boku mógłby przeciwstawić się wszystkim tajemnicom wszechświata z radosną beztróską. Pokochał ją nagle nie dlatego, że była najcudowniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział, ale po prostu dlatego, że była istotą ludzką!

Jeśli jednak zostawi ją tutaj, wyruszając na poszukiwanie wody, dziewczyna może w czasie jego nieobecności umrzeć, a wtedy lepiej by było, gdyby jej nigdy nie odnalazł. Nie mając nadziei na znalezienie jakichkolwiek środków cucących, już miał zacząć sprawdzać, czy przyniesie efekt rozcieranie jej palców i skroni, gdy, patrząc w kierunku zachodu, aby ocenić, ile dnia jeszcze mu zostało, zauważył coś, czego zupełnie się nie spodziewał.

Od strony równiny ciągnął się najdłuższy i najwyższy fragment murów zewnętrznych zrujnowanego zamku. Z lewej strony wznosił się on ukośnie na wysokość sześciu czy siedmiu stóp ponad stare fundamenty, biegł poziomo na przestrzeni około czterech jardów, po czym kończył gwałtownym uskokiem, który znalazł się teraz idealnie w połowie tarczy słonecznej, dotykającej właśnie horyzontu. Spoza czarnej sylwetki muru, na tle jasnoróżowego wieczornego nieba unosił się mały kłęb dymu.

Rozwiewał go lekki wietrzyk wiejący od równiny. Gdy tylko pierwszy obłoczek został rozproszony, pojawił się drugi, a potem trzeci. Potem chmurki dymu zniknęły, pozostawiając jedynie cienką smugę tajemniczej mgły.

Kto lub co kryło się za tym murem?

Bezradnego Draytona, stojącego samotnie obok nieprzytomnej dziewczyny, ogarnął strach głębszy i żywszy niż kiedykolwiek w życiu. Dym! Najpowszechniejszy widok dla człowieka. Ale w tym obcym, bezludnym miejscu? Jakiegoż

nieuchwytnego demona mógłby odkryć, gdyby ośmielił się zajrzeć za mur?

Niepokój o dziewczynę kazał mu jednak iść. Zbliżała się noc a wraz z nią ciemność, potęgująca wszelki strach. Musiał natychmiast, póki słońce było jeszcze jego sprzymierzeńcem, sprawdzić, co kryje się za murem.

Zostawiwszy Violę tam, gdzie leżała, Drayton podszedł do muru, potykając się po drodze o ukryte w trawie kamienie. Chwycił rękami za górną krawędź ściany i ostrożnie się podciągnął.

Ale zanim zdołał wysunąć głowę ponad poszarpaną linię muru, usłyszał czyjś głos: głęboki, wibrujący, całkowicie harmonizujący z otoczeniem.

- A więc tak - dobiegły go słowa, wypowiedziane dosyć żalonym tonem - oto moje ostatnie cygaro. Z pewnością mają tutaj piękne zachody słońca, ale nie tak wyobrażałem sobie czyściec. Nic się tu nie dzieje. Chciałbym...

- Terry Trenmore! - wykrzyknął Drayton, spoglądając ponad krawędzią i ledwie wierząc własnym oczom. W tej chwili jego mięśnie osłabły i zsunął się na ziemię.

Przez jakiś czas panowała grobowa cisza. Gdy ponownie rozległ się głos, brzmiała w nim nuta całkowitej rezygnacji.

- No, zaczęło się! Moja wina, sam się prosiłem o rozrywkę! Ale te przekłete diabły przekonają się zaraz, że Terence Trenmore nie da się tak łatwo przestraszyć. Niewidoczne zjawy wykrzykujące moje własne imię! Czyżby nie znały ciekawszych sztuczek? Może byłoby lepiej, gdybym...

- Trenmore, to ja, Bob Drayton!

Gdy Drayton wyłonił się zza muru, Irlandczyk przyjął jego pojawienie się ze stoickim spokojem. - Jestem rozczarowany - powiedział. - Mogłeś przybrać groźniejszą postać. A teraz co masz zamiar zrobić?

Drayton roześmiał się, podszedł i potrząsnął ramię swojego potężnego przyjaciela.

- Ty stary głupcze! Nie poznajesz mnie? Czyżbyś siedział tu przez cały czas, kiedy ja chodziłem niby lunatyk, myśląc, że... Na Boga, Terry, czy wiesz, że Viola też jest tutaj?



- Viola, powiadasz? Posłuchaj mnie, ty zuchu. Jeżeli jesteś tym, za kogo cię uważam, lepiej nie wypowiadaj imienia mojej siostry, bo inaczej będzie o jednego diabła mniej w tych stronach!

- Trenmore, czyś ty zupełnie oszalał? Nie jestem żadnym diabłem! No, dotknij mojej ręki. Czy nie czujesz, że jest z krwi i kości? Powtarzam ci, że Viola jest tutaj. Przyszła do domu po tym... po tym twoim zniknięciu. I zanim mogłem jej przeszkodzić, poruszyła ten diabelski szary proszek.

- Czyżby? W takim razie powiedz mi jeszcze, jak ty się tutaj dostałeś? Może wtedy ci uwierzę.

Drayton wzruszył ramionami.

- Zrobiłem to samo, co wy. To wszystko była moja wina. Myślałem, że oboje nie żyjecie, więc nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko iść w wasze ślady.

Trenmore poderwał się i uściskał rękę Draytona ze swym zwykłym entuzjazmem.

- Teraz ci wierzę - wykrzyknął. - Nie możesz być nikim innym, tylko Bobbym Draytonem, bo postąpiłeś tak, jak według mnie postąpiłby on w takiej sytuacji. Ale biedna mała Viola! Gdzie ona jest? Z pewnością nie może to być czyściec, jak myślałem do tej pory, jeżeli ona jest tutaj!

- Jest tam, wśród ruin i zdaje się, że zemdląca. Znalazłem ją całą pokrytą trawą. Nie wolno jej zostawić samej ani chwili dłużej. Czy masz przy sobie trochę whisky lub brandy?

- Niestety nie mam!

Drayton był trochę zawiedziony, ale nie stracił nadziei. Szedł, wskazując drogę, a za nim podążał Trenmore. Słońce obniżyło się tak, że świeciło już niczym połówka wielkiej, okrągłej, czerwonej latarni, wystającej nad linią horyzontu. Drayton zastanawiał się, co powinni zrobić, gdyby nie udało im się ocucić Violi przed nadejściem nocy, ale jego rozważania okazały się niepotrzebne.

Kiedy przechodzili przez zarośniętą trawą dziedziniec, mała figurka w błękicie wyłoniła się nagle zza potrzaskanej kolumny i rzuciła się w ramiona Trenmore'a.

- Terry, och, mój kochany Terry!

- Viola! No, no, już w porządku. Czyżbyś płakała? A z jakiego to powodu?

- To ze szczęścia, Terry najdroższy. Nie zwracaj na to uwagi. Już więcej nie będę. Obudziłam się, zupełnie sama w półmroku... I wiesz, Terry, śniło mi się, że oboje nie żyjemy!

## Rozdział V. Prządka czasu.

Istnieją trzy warianty zachowania się w sytuacji, gdy dzieje się coś, co wykracza poza granice zdarzeń uważanych powszechnie za normalne i możliwe. Trenmore i jego siostra, po poważnym przedyskutowaniu pewnych aspektów ich aktualnego położenia w świetle religii katolickiej i odrzuceniu tej ewentualności na gruncie tak całkowicie celtyckim i dogmatycznym, że aż niezrozumiałym dla Draytona, wybrali pierwszy wariant. Od tej chwili traktowali każde niezwykle wydarzenie jak normalny fakt, który należy przyjmować bez zbędnych dyskusji.

Drayton, chociaż zawsze w taki właśnie sposób traktował niektóre zjawiska życia codziennego, takie jak elektryczność czy też fenomen życia, w tym wypadku nie mógł zgodzić się z postawą swych irlandzkich przyjaciół. Przyjął drugi z możliwych wariantów postępowania - akceptację warunkową, co można by sformułować następująco: „Widzę coś teraz, ale wcale nie jestem pewien, czy to coś rzeczywiście tam się znajduje i w gruncie rzeczy w to nie wierzę!”

Na szczęście każde z nich miało na tyle giętki umysł, aby nie być zmuszonym do wyboru trzeciego wariantu, którym jest obłąd.

- Teraz należy się zastanowić nie nad tym, w jaki sposób tu się dostaliśmy, ale jak mamy odnaleźć drogę powrotną - oświadczyła Viola.

Była to prawda zbyt oczywista, aby nad nią dyskutować, a mimo to, przynajmniej Draytonowi, wydawało się, że żadne rozmyślania ani czyny nie na wiele się zdadzą. Byli bez wody i jedzenia. Bez broni i busoli. Bez najmniejszej wiedzy o aktualnym miejscu pobytu.

Drayton wyteżonym wzrokiem wpatrywał się we wzgórza purpurowe w ostatnich promieniach słońca. Czy te niegościnne pagórki dawały większą nadzieję od pustej i monotonnej równiny? Ile mil może przejść ta wątro wyglądająca siostrzyczka Trenmore'a, zanim jej eleganckie pantofelki na wysokim obcasie zedrą się w strzępy? Zanim padnie wyczerpana? Ile mil będą mogli na zmianę z

Trenmore'em nieść ją, jeżeli nie znajdą ani jedzenia, ani wody?

- Żywność znajdziemy po drodze - powiedział Terence, jakby czytając w jego myślach. - To nieprawdopodobne, aby w tak zielonej krainie nie było czegoś do jedzenia. Viola, jesteś dzielną dziewczynką. Często ci obiecywałem, że kiedyś zabiorę cię z sobą na wędrowną. A więc ruszajmy. A ty, Bobby, nie bądź taki przygnębiony. Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście i gdzie by ono nie było, jakoś je we trójkę znajdziemy.

Drayton zdał sobie sprawę, że jego posępna mina może deprymująco działać na Violę. Zdecydował, że od tej chwili, za wszelką cenę, będzie wzorem dzielnego poszukiwacza przygód i uśmiechnął się.

- Wcale się nie martwiłem, stary. Po prostu myślałem...

Urwał nagle w pół zdania, a wymuszony uśmiech znikł z jego twarzy. Nigdy się nie dowiedzieli, jakie niewinne kłamstwo wymyślił, aby usprawiedliwić swój brak wiary w powodzenie. Uwagę całej trójki przykuło bowiem dziwne, głębokie buczenie. Trenmore przysunął się bliżej siostry. Stali bez słowa, nasłuchując.

Wydawało się, że odgłos, początkowo cichy i niski, wydobywa się bezpośrednio spod ich stóp. Jednak szybko źródło dźwięku poszerzyło się i rozciągnęło; hałas rozbrzmiewał nad pustą równiną i ponad wzgórzami aż po szczyty gór. W miarę, jak się rozlewał coraz szerzej, stawał się wyższy i donośniejszy, aż w końcu przypominał dźwięk wytwarzany przez ogromnego bąka, obracającego się z kosmiczną prędkością.

Wibracja była tak silna, że aż sprawiała ból. Na próżno zatykali sobie uszy rękami, próbując bronić się przed hałasem. Drayton czuł, że za chwilę albo popękają mu bębny w uszach, albo cała głowa się rozpadnie.

W tym samym momencie, gdy to pomyślał, czerwona tarcza słoneczna ostatecznie zniknęła za horyzontem i potworne buczenie ustało, przechodząc w absolutną ciszę, taką jaką panowała poprzednio. Dzień przemienił się gwałtownie w noc.

Ciemności były tak kompletne jak mrok otaczający niewidomych. Wydawało się, że wszystko wokół przestało istnieć. Stopniowo oczy przyzwyczajały się do nowych warunków i Drayton zaczął rozróżniać niewyraźne sylwetki swoich towarzyszy. Kiedy uniósł głowę, ujrzał niebo usiane gęsto czystymi, jasnymi gwiazdami.

Wciągnął głęboko powietrze i usłyszał, że Trenmore'owie uczynili to samo.

- Mają tutaj oryginalne zachody słońca - zamruczał Trenmore - lecz robią wokół nich straszny hałas!

- Tak - potwierdził Drayton - ale te gwiazdy wyglądają dziwnie znajomo.

- Jak zawsze masz rację. Spójrz, Violo! Tam jest Wielka Niedźwiedzica ze swym małym!

- I Mleczna Droga - dodała Viola.

W jakiś sposób, pomimo wszystkiego co zaszło, widok tych dobrze znanych gwiazdnych konstelacji przyniósł im uczucie prawie bezpieczeństwa, rzeczywistości, tak jakby byli znów w domu.

- To twoje gadanie o czyścucu - zaśmiał się Drayton - i ten piekielny hałas spowodowały, że ciarki przeszły mi po plecach. Ale gwiazdy wyjaśniają wszystko. Na pewno jesteśmy gdzieś na Ziemi. Może na innej długości geograficznej, ale pod tą samą lub zbliżoną szerokością, mimo że noc zapadła tak gwałtownie jak w tropikach. Gdybyśmy byli w strefie zwrotnikowej, gwiazdy miałyby zupełnie inny układ...

Astronomiczne spostrzeżenia Draytona przerwał cichy okrzyk Violi. Ujrzał niewyraźnie jej wyciągniętą rękę, wskazującą coś w oddali.

- Jeżeli to jest nasza Ziemia - krzyknęła - to czy to jest nasz Księżyc? A jeżeli to jest nasz Księżyc, to co on tam robi? Czy możesz mi wytłumaczyć?

Miała słuszność. Dokładnie tam, gdzie pięć minut temu zaszło słońce, wyłaniał się srebrny brzeg wielkiego, białego księżyca. Szeroka równina oświetlana była przez jego czarodziejski blask. Wyglądało to tak, jakby księżyc czekał tylko na zachód słońca, by zająć jego miejsce na niebie.

- Rzeczywiście, osobliwy wschód księżyca - na zachodzie! - mruknął były prawnik. Bardziej zaszokowała go ta zmiana orbity księżycowej niż wszystko inne, co się do tej pory stało. O ile gwiazdy rozproszyły jego wątpliwości, księżyc z pewnością znów je przywrócił...

- Czy ta rzecz to skała czy... zwierzę?

Był to ponownie głos Violi i znowu jej towarzysze spojrzeli tam, gdzie wskazywała. Piętnaście stóp na prawo od nich majaczył duży, ciemny obiekt. Częściowo skryty był w czarnym cieniu zawalonego sklepienia, częściowo oświetlony przez coraz mocniejszy blask księżyca.

- To tylko fragment starej bramy - zaczął Drayton spokojnym, cichym głosem.

Gdy to mówił, wszystkim wydawało się, że ciemny przedmiot trochę się uniósł.

Trenmore zrobił gwałtowny ruch, ale Viola złapała go za ramię.

- Nie idź! Nie zbliżaj się do tego, Terry! To może być jakaś okrutna, dzika bestia, która tam się ukryła!

- Myślisz, że się jej boję? - burknął Irlandczyk.

- Nic wygłupiaj się, Trenmore! - powiedział szorstko przestraszony i zdumiony Drayton. A niesamowita, ledwo widoczna w półmroku rzecz wyciągała się coraz wyżej. - Lepiej pomyśl o swojej siostrze - krzyknął - i pomóż mi wyprowadzić ją z tego ohydneho miejsca zanim będzie za późno. Spójrz, spójrz na tamten mur!

Był to ten sam mur, za którym po raz pierwszy natknął się na Trenmore'a. Z niedowierzaniem patrzyli, jak ożywa, unosi się i rośnie w górę.

- Te kamienie są żywe! One żyją! - krzyczała Viola.

Trenmore nie zwlekał dłużej. Działo się tutaj coś, z czym nawet jego ogromna siła nie mogłaby się zmierzyć. Leżące wokół nich odłamki skalne, mury, nawet płyty kamienne pod ich stopami, falowały, ruszały się, a panująca wokół cisza sprawiała, że ruch ten wydawał się jeszcze bardziej złowieszczy.

Drayton w odruchu rozpaczony chciał chwycić Violę za rękę, ale Terry po prostu podniósł ją z ziemi, jak podnosi się małe dziecko, i wielkimi krokami zaczął uciekać przez dziedziniec. Jednym susem pokonał najbliższy mur i pobiegł w dół po stoku. Drayton podążał za nim prawie z taką samą prędkością i dogonił Irlandczyka u stóp wzgórza, gdzie obaj jednocześnie się zatrzymali i obejrzelili do tyłu.

Podczas ucieczki Drayton był przepelniony śmiertelnym, anormalnym strachem. Bał się, że pokryte liszajem i brudem, straszliwie ożywione ruiny biegną za nim. Ale teraz, gdy spojrzął za siebie, uspokoił się. Nagie wzgórze, prawie białe w świetle księżyca, ciągle zwieńczone było ruinami. Czy jednak na pewno były to ruiny?

- Na Boga, to wygląda na... na...

- Na cud - odpowiedziała Viola, która nagle odzyskała niezwykle zimną krew. - Postaw mnie, Terry. Powiedziałam, żebyś mnie postawił! Chcę lepiej widzieć. Tak szybko się wznosi. Za parę minut zobaczymy zamek w całej okazałości.

Jej spokojna pewność siebie zdziwiła Draytona, ale tylko przez chwilę. Ostatecznie, dlaczego zamek nie miałby rosnać jak kwiat - jak kwiat o magicznej woni? W dole, na równinie trawa była usiana kwiatami, a powietrze pełne ich zapachu. Było w nim coś dziwnie kojącego i uspokajającego.

Drayton przestał odczuwać jakikolwiek strach, a nawet zdumienie, mimo że na szczycie wzgórza działy się dziwne rzeczy.

Rosnąć ciągle w białej poświacie księżyca, stary zamek, który tak niedawno wyglądał na kompletnie zrujnowany, po prostu się odbudowywał. Mury strzelały w górę, ponad nimi, w czystym, srebrnym blasku wyłaniały się baszta za basztą, wieża za wieżą, niczym biała piana unosząca się i zastygająca w doskonałym kształcie na wzbierającej fali. Wreszcie ta wizja czy miraż, czy cud - jakkolwiek nazwać ten fenomen - zakończył się i rozwój ustał. Gdzieniedzie na słabym, nocnym wietrze trzepotały proporce. Z najwyższej wieży zwisał ogromny sztandar, zbyt ciężki, aby taki wietrzyk mógł go rozwinąć.

W pobliżu miejsca, gdzie stali, wiła się wąska, biała droga, prowadząca do bram zamku. W pewnej chwili ciężkie, nabijane ćwiekami wrota otworzyły się. Za nimi panowała ciemność. Nagle z zamku-widma dały się słyszeć odgłosy ciężkiego stapania, szczęku i zgrzytu metalu. Z czeluści bramy wyłonił się ogromny rumak. Na jego grzbiecie siedziała wyprostowana postać w błyszczącej zbroi. Z bramy wyjechało jeszcze pięciu jeźdźców. Potem wrota wolno i cicho zamknęły się. Sześciuosobowy oddział jechał w dół białą drogą.

Drayton odczuł wzbierającą ciekawość - ciekawość tak przemożną, że opuścił swoich towarzyszy i poszedł na skraj ścieżki.

Miał nadzieję, że dowie się czegoś od tajemniczych jeźdźców. Kiedy jednak podjechali bliżej, odwrócił się i szybko powrócił do Trenmore'a i jego siostry.

- Co się stało? - zapytała Viola. - Dlaczego nie spytałeś ich kim są i jak nazywa się ten zamek?

Drayton odpowiedział zdławionym szeptem:

- Spójrzcie na nich, tylko spójrzcie na nich!

Ton jego głosu wyrwał przyjaciół z dziwnej apatii, w której byli pogrążeni od chwili, gdy znaleźli się na równinie.

Stali nie dalej niż osiem- dziesięć metrów od drogi i ujrzeni bardzo wyraźnie to, co Drayton zobaczył już wcześniej. Konie należały do rasy wielkich, ciężkich zwierząt hodowanych wieki temu do celów bojowych. Były narowiste i schodząc w dół drogą podskakiwały i stawały dęba. Ale postacie na ich grzbietach - to nie byli wcale ludzie, to nie były nawet duchy ludzi! Na rumakach jechały tylko puste skorupy błyszczących zbroi.

Wszystkie miały podniesione przyłbice i widać było, jak światło księżyca migocze wewnątrz hełmów.

Pancerze tkwiły prosto, przypominając sześciu dumnych kawalerzystów, a spojenia blach skrzypiały głucho. Konie minęły zdumioną trójkę i na równinie pochłonęło je białe światło księżyca. Zginęły w nim, jak statek ginie w morskiej mgle.



Drayton spojrział w górę, spodziewając się, że zamek rozwieje się i zniknie w podobny sposób; ale nic takiego się nie zdarzyło. Wciąż stał, masywny, solidny, górując nad całą okolicą.

Drżąc lekko, Drayton odwrócił się w kierunku swych towarzyszy.

- Nie wiem czemu - powiedział - ale wcale nie mam ochoty prosić o gościnę w tym zamku.

- Byłoby to szaleństwo! - wykrzyknął Trenmore. - Mieliliśmy szczęście, że udało nam się uciec przed tą budowlą-zjawą zanim mury nie wyrosły zbyt wysoko!

- To prawda - przyznał przyjaciel.

- Jak myślisz, co teraz zrobimy? Czy będziemy tu stali do wschodu słońca, czy też pójdziemy dalej?

Tak naprawdę nie będzie to miało większego znaczenia, pomyślał Drayton. Znowu powracało przyjemne znużenie, z którego wyrwał go widok niesamowitych jeźdźców. Wiedzeni tajemniczą siłą, wszyscy troje posuwali się szeroką, zieloną równiną.

Trawa na wzgórzu była krucha, jakby spieczona długotrwałą suszą. Równina jednak była jak dobrze nawodniona łąka. Unosił się od niej słodki zapach, świadczący o kwiatach, rosnących wszędzie w soczystej zieleni, którą teraz deptali. Były to bardzo wonne, jasne kwiatki. Viola zerwała kilka, ale były tak delikatne, że zwiędły natychmiast w jej dłoni.

Szli wolno, bo noc zamiast chłodu przyniosła raczej ciepłe powietrze o odurzającej woni. Od czasu do czasu któreś z nich oglądało się przez ramię. W księżycowej poświacie, nadającej wszystkiemu wokoło niezupełnie realny wygląd zamek-zjawą wciąż stał na wzgórzu.

Teraz każde z nich zdawało sobie sprawę z tego, że blask księżyca posiada niezwykle właściwości. Tym niemniej wydało im się dziwne - a raczej wydałoby im się, gdyby jeszcze potrafili się dziwić - że początkowo, zanim przejechały i zniknęły puste zbroje, uważali równinę za opuszczoną i pozbawioną jakiegokolwiek ruchu. Teraz zauważyli, że wszędzie wokół nich były albo pojedyncze postacie, albo całe

grupy, poruszające się po bujnej, ukwieconej łące w przedziwnym i bezgłośnym tańcu, bez muzyki czy wyczuwalnego rytmu.

Właśnie znaleźli się w samym środku takiej grupy figur, które sprawiały wrażenie, jakby wyłaniały się z zamglonego światła lub podnosiły z ziemi.

Były to dziwaczne, krępe postacie o niekształtnych ramionach, ubrane w obcisłe stroje z kapturami i rękawicami z gładkiego futra. Przynajmniej taki wygląd miały czarne sylwetki stojące przed nimi na tle księżyca. Rozglądając się dookoła, podróżnicy spostrzegli ze zdziwieniem, że to, co uważali za zakapturzone głowy, to były tylko gładkie, niczym nie różniące się kawałki futra. Tył i przód były identyczne, z wyjątkiem jednego prostego, czarnego nacięcia w miejscu ust.

Chwytając się za ręce, stworzenia zaczęły poruszać się ciężkimi, ale tanecznymi krokami. Wędrowcy znaleźli się w środku koła i nie mogli posuwać się dalej, chyba że użyliby siły, aby przerwać krąg. W koło, w koło, w koło: szybki, wirujący taniec przyprawiał Draytona o zawrót głowy. Dostrzegł, że na równinie jest wiele podobnych kręgów i wszystkie obracają się szybko. Dlaczego wydawało mu się, że taniec jest pozbawiony akompaniamentu? Przecież słychać było cichą muzykę i wszędzie rozlegało się dudnienie niezliczonych stóp, doskonale zgodne z jej rytmem, wypełniającym przestrzeń. Melodia unosiła się z wonnej trawy pośród tupiących nóg; spływała z księżyca z jego czarownym światłem; krążyła i krążyła w rytmicznych pierścieniach. Omotała nogi Draytona srebrną siecią. Ogarnęło go wielkie i namiętne pragnienie - tańczyć i tańczyć, zawsze, od zaraz!

Nagle krąg, w środku którego byli, został przerwany, tworząc miejsce dla kolejnego tancerza, gotowego stać się ogniwem tego mistycznego łańcucha i odpowiedzieć na zew melodii. Prawie bez udziału woli nogi Draytona posłuchały wołania. Jego ręka chwyciła rękę najbliższego potwora. Pamiętał później, że nie poczuł ani zimna, ani ciepła, tylko jakby futrzaną rękawicę, wypchaną wełną. Inna ręka chwyciła go gwałtownie za ramię i szarpnęła nim do tyłu.

Drayton krzyknął i chciał się wyrwać, ale Trenmore trzymał go mocno w uścisku swych potężnych ramion. Jeszcze zmagali się ze sobą, gdy w księżycową melodię zakradł się jeden fałszywy dźwięk, potem drugi, aż wreszcie muzyka umilkła. Draytona opuściły wszystkie siły. Oparł się o ramię Irlandczyka, dysząc ciężko.

- Jeżeli tak lubisz tańczyć - powiedział ten ponuro - mogłeś przynajmniej na partnera wybrać Violę albo mnie. Czyś ty oszalał, Bobby, podawać rękę takim kreaturom?

Zanim Drayton mógł odpowiedzieć, krąg tancerzy zatrzymał się w miejscu. Każda z niezdarnych postaci czyniła dziwne, dzikie gesty, jakby gniewu czy rozpacz. Potem figury rozdzieliły się, rozproszyły i poszły tanecznym krokiem przez łąkę.

- Ss-ss-ss!

Z małego rumowiska skał, znajdującego się w pobliżu, wydobył się długi, syczący dźwięk. W czarnym cieniu zobaczyli parę oczu, świecących czerwono niby iskierki.

- Ss-ss-ss! Nie dotykajcie tancerzy, nie zbliżajcie się do nich, nie rozmawiajcie z nimi! Dzieją się tu dziwne rzeczy, a najdziwniejsze - w białym świetle księżycy Ulitii! Ss-ss-ss! Nie zbliżajcie się!

- A kim lub czym ty jesteś? - spytał ostro Trenmore, pochylając się; ale błyszczące oczy zniknęły. W chwilę później pojawiły się znowu, migocząc niewyraźnie poprzez białą nić pajęczą, rozciągniętą między dwoma wysokimi kępami trawy.

- Ss-ss-ss! - znowu ten niby węzowy syk. - Strzeżcie się! Umknęliście przed wiecznym tańcem, strzeżcie się Prządki i jej pieśni!

- Ale kim... czym ty jesteś? - zapytał ponownie Trenmore.

Czerwone iskierki błysnęły i zgasły za srebrną pajęczyną. Dobiegł ich tylko jeszcze słaby głos:

- Jestem Głosem Przestrogi w Krainie Iluzji - strzeżcie się!

Drayton, który już otrząsnął się po swoim wcześniejszym, niezwykłym przeżyciu, zrobił ruch, jakby chciał za nim iść. Znowu Trenmore go powstrzymał.

- Lepiej nie podążajmy za tym głosem - poradził. - Nie ma dla nas miejsca w tym świecie - żadnego miejsca! I najlepsze, co możemy zrobić, to trzymać się razem, aż znajdziemy stąd wyjście.

- Co powiedział ten głos? - dopytywał się Drayton, gdy znalazł się obok przyjaciół. - Ulitia? To brzmi jakoś znajomo...

Trenmore potrząsnął głową.

- Nie dla mnie. Dużo podróżowałem, przeczytałem też w życiu niejedną książkę, ale nigdy dotąd nie spotkałem się z tą nazwą.

- Ani ja - powiedziała Viola.

Drayton zamilkł na chwilę, szukając czegoś w pamięci. Po chwili mina mu zrzedła. - Przypominam sobie teraz, z czym skojarzyła mi się ta nazwa - stwierdził rozczarowany. - Nie na wiele nam się to przyda. Pierwsze litery tego wyrazu były wykute na jednym z roztrzaskanych kamieni ze sklepienia bramy. Odcyfrowałem je, gdy zamek był jeszcze ruiną.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Wraz z pęknięciem kręgu tańczących postaci, który ich otaczał, równina stopniowo opustoszała. Znów byli sami. Towarzyszył im jedynie srebrny blask księżyca. Było tak do czasu, gdy - na długo zanim ujrzeni Białą Prządkę - usłyszeli jej śpiew.

Jej piosenka była zdumiewająca, szemrała jak płytkie letnie strumyki lub łan zbóż na polach. Nie byli zdziwieni, gdy ją wreszcie ujrzeni. Siedziała na trawie, srebrnej w świetle księżyca i przerzucała z ręki do ręki czółenko tkackie. Nie widzieli jednak nigdzie ani warsztatu, ani nici, ani tkaniny, tylko tysiące srebrnych pajęczyn w trawie, od których błyszczła cała równina.

Z piosenki Prządki zapamiętali jedynie ten fragment:

*Nić się snuje u mych stóp,  
Leć, czółenko, leć!  
Kołowrotka słyszać stuk,  
Leć, czółenko, leć!*

Tutaj następowała krótka przerwa, a dalej:

*Od lat przędę nić tajemną,  
W blasku słońca i w noc ciemną.  
Siedzę, śpiewam, nić rozwijam,  
Przędę, śpiewam, a świat mija.  
Czas to zdrajca, trud niezmienny,  
Czas to kłamca, wątek wierny.  
Słuchaj mej pieśni, obserwuj nić,  
leć, czólenko, leć!*

- Ależ proszę pani, przecież tu nie ma żadnej tkaniny! - wtrącił Trenmore. - Nie ma tu nic prócz małego czólenka i to bez nici!

Kobieta przerwała pieśń i uniosła twarz. Była piękna niczym księżycowa bogini o srebrnych włosach i bladej twarzy. Jej czyste, jasne oczy spoglądały poprzez nich w dal.

- Jesteście obcy - powiedziała głosem, który brzmiał, jakby dochodził z daleka, czysto i słodko jak srebrny dzwoneczek. - Ale wasz los jest też w moich rękach. Tak! Należycie do mnie - zaplątani w sieć, której nie widzicie. Odtąd idźcie dalej, idźcie w głąb! Nie zważajcie na zwodniczy taniec Ludzi-Cieni. Nie zwracajcie uwagi na głos mego wroga, który zatrzymałby was na zawsze na manowcach Ulitii! Idźcie dalej, idźcie w głąb, idźcie dalej!

Skończyła mówić i zaczęła znów przerzucać czólenko z ręki do ręki, kontynuując piosenkę od miejsca, w którym przerwała.

Drayton popatrzył na swych towarzyszy z powątpiewaniem.

- Gdyby ta zacna niewiasta sformułowała swoje wskazówki nieco jaśniej, moglibyśmy spróbować z nich skorzystać. Jak sam słyszałeś, Terry, mamy gdzieś iść.

Ale Viola potrząsnęła głową, patrząc na kobietę wrogim, badawczym spojrzeniem.

- Czy już zapomnieliście? - powiedziała. - „Strzeżcie się Przędki i jej pieśni!”

W tej chwili srebrna pani znów przerwała swój śpiew. Jej cienkie usta wykrzywiał uśmiech, a jasnoniebieskie oczy były zimne jak lód.

- Tak - mruknęła - strzeżcie się Przędki, strzeżcie się Białej Przędki Czasu. Ale wasze stopy już tkwią w jej pajęczynie a brama otwiera się przed wami. Nie macie innej drogi, musicie iść przed siebie. Czym dla takich jak wy jest Ulitia, złudne pogranicze życia? Idźcie naprzód, idźcie w głąb, idźcie naprzód!

Trenmore zrobił jeden krok w jej stronę, sam nie wiedząc czemu. Znużony Drayton roześmiał się.

- Wystraszyłeś panią, Terry!

Była to prawda. Kiedy Trenmore skierował się w stronę Białej Przędki, zimnooka kobieta zniknęła, zabierając ze sobą swą pieśń i czólenko. Cała trójka znów ruszyła w drogę. Viola zatoczyła ręką krąg, wskazując równinę, którą przeszli.

- Czy któryś z was zauważył - powiedziała - że za nim zobaczyliśmy tę kobietę, nie było tu tylu białych pajęczyn?

Jej brat i Drayton rozglądali się bezmyślnie i tępo.

- Zanim spotkaliśmy Białą Przędkę - ciągnęła dziewczyna sennym głosem - tylko gdzieś między łądygami traw rozciągały się pajęczyny. Teraz idziemy... idziemy jak przez srebrne morze. A księżyc... Czy ziemski księżyc jest kiedykolwiek taki jak w Ulitii?

- Jeżeli to nawet jest księżyc - powiedział Trenmore bez specjalnego zainteresowania - potrzebuje niezwykle długiego czasu, aby wzejść.

Księżyc, czy też to, co uważali za księżyc, czysty niby srebrna tarcza, ciągle pozostawał na krawędzi równiny. Jego dolna część schowana była za linią horyzontu. Przypominał raczej olbrzymią bramę - rodzaj niebiańskich wrót na skraju firmamentu.

Szli w jego kierunku poprzez morze srebrnych pajęczyn. Rosnące wokół kwiaty wydzielały wciąż nie słabnącą woń, zbyt słodką, aby była przyjemna. Księżyc przybliżał się niby ogromna, półokrągła jak u Maurów, świetlista brama. Wokół niego zaczęła majaczyć niewyraźnie jakaś ciemna materia, za

którą sam księżyc był jedynie głęboką i oślepiającą przestrzenią świetlną. Bezwiednie przyspieszyli kroku. Czując zawroty głowy wywołane zapachem kwiatów, w końcu dotarli do wspaniałej bramy.

Wysoko, wysoko nad nimi znajdował się kamienny, czarny jak nie polerowany heban łuk, wmurowany w solidną ścianę z podobnej skały, ginącą po obu stronach w ciemnościach. Przez otwór nie mogli nic dojrzeć, ponieważ wypełniony był lśniąca mgłą czystego, białego światła.

- Spójrzcie! - powiedział oszołomiony Drayton, opierając się o czarną skałę. - Tam, na futrynę. Pokryta jest srebrnymi literami, prawda? Ale litery ruszają się i wiją jak białe płomienie...

Przymykając oczy przed blaskiem, zapragnął, żeby zerwał się wielki, oczyszczający wiatr, który wymiótłby pajęczyny wraz z kwiatami.

- Idźcie naprzód, idźcie w głąb, idźcie naprzód! - dobiegł ich słodki, czysty głos. Draytonowi wydawało się, że to głos Violi, chociaż dochodził z daleka i przypominał dźwięk srebrnego dzwonka. - Jesteście w pajęczynie! W pajęczynie Przędki Czasu. Po cóż marnować życie na manowcach Ulitii? Idźcie naprzód, idźcie w głąb!

- Po cóż marnować życie? - powtórzył Drayton jak echo.

Tkwiał w szerokim, białym morzu, które unosiło go na zewnątrz.

## Rozdział VI. Sprawa guzików.

Przyjaciele przechodzili przez „księżyc” Ulitii w stanie półświadomości. Na przykład Drayton wiedział, że Viola wyciągnęła do niego rękę, że ujął jej dłoń i że z drugiej strony trzymał ją ktoś inny, jakaś niewyraźna postać, której tożsamość nie była istotna i w najmniejszym stopniu go nie interesowała.

Czuli omdlewający zapach miliona kwiatów, zdawali sobie sprawę z oślepiającego blasku przed sobą i z cichej, srebrnej równiny, którą zostawili z tyłu. Trzymając się za ręce przeszli pod czarnym sklepieniem ku świetlistej przestrzeni, którą tak niedawno uważali za księżyc.

Wszystko, co działo się wokół nich, odbierali całkowicie bezwiednie, bez udziału świadomości i bez zainteresowania. Zupełnie nie byli ciekawi, co może znajdować się za tą niezwykłą bramą.

Pełna świadomość powróciła nagle, niczym uderzenie gromu.

Spostrzegli, że znajdują się na chodniku szerokiej, brukowanej ulicy. Wokół nich tłoczył się tłum najzwyklejszych, wyglądających całkiem naturalnie, dokądś spieszących ludzi.

Przez kilka chwil byli bardziej oszołomieni niż wtedy, gdy z normalnego domu przy Walnut Street przenieśli się do tajemniczej, fantastycznej krainy, którą znali jako „Ulitia”. Huk i turkot atakował ich uszy, ogłuszał i oszalał. Ulitia była tak cicha, tak nieziemsko i daleka od wszelkich znajomych skojarzeń, że teraz, po tak niespodziewanym jej opuszczeniu poczuli się bezradni i zagubieni jak ludzie ze wsi, którzy nigdy nie widzieli miasta i dla których jego tłumy były przerażające i na swój sposób wrogie.

Mimo że w miejscu, gdzie się znaleźli, nie było jasnej, oślepiającej mgły, która wypełniała bramę, wszystko tonęło w rześystym świetle licznych latarni. W pewnej chwili, prawie bezpośrednio nad ich głowami, przejechała z ogłuszającym łoskotem kolejka elektryczna.



Ulica pełna była mijających się przechodniów, wielkich ciężarówek, załadowanych towarami i bagażami, przyjeżdżających i odjeżdżających aut i niecierpliwych dzwonek tramwajowych. Nad nimi rozciągały się stalowe filary i dźwigary, podtrzymujące system kolei nadziemnej. Nie opodal wąskie schody ruchome unosiły nieustający strumień pasażerów, zmierzających ku górnemu poziomowi ruchu, gdzie kursowała kolejka elektryczna.

Odwróciwszy się, oszołomieni wędrowcy zobaczyli zamiast rozległego obszaru srebrnego światła Ulitii ścianę długiego, niskiego budynku, z licznymi oknami i kilkoma wejściami. Najwidoczniej trafili tu przez jedno z owych drzwi.

Z pewnym trudem wydostali się z tłumu. Znaleźli stosunkowo spokojne miejsce pod ścianą budynku i stanęli tam, bardzo blisko siebie.

Nagle Viola wydała okrzyk zdziwienia:

- Ależ to... to jest Filadelfia! Tam jest wejście do stacji promu przy Market Street w Filadelfii!

Trenmore klepnął się po udzie.

- I pomyśleć, że nie poznałem miejsca, w którym byłem przynajmniej trzy razy! Ale kto by przypuszczał, że wrócimy do domu tak łatwo, a jeżeli nawet nie do domu, to przynajmniej na drugi kraniec miasta, z którego wyruszyliśmy?

Nagle melancholijny ex-prawnik zachichotał głośno.

- Nigdy bym się nie spodziewał - powiedział - że Filadelfia wyda mi się tak przytulna. Na Boga, dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jakie to czarujące, stare miasto! Terry, czy nie mógłbyś zrezygnować z włóczęgi i osiedlić się na resztę życia właśnie tutaj?

Irlandczyk uśmiechnął się wesoło.

- Mógłbym, gdyby nie było jeszcze paru ciekawych miejsc do zwiedzenia. Violu, umieram z głodu, i wy chyba też. Czy w tym eleganckim budynku dworcowym jest kawiarnia? Czy też może pojedziemy do domu i zdamy się na kulinarny kunszt Martina? Niech go Bóg błogosławi! Nie myślałem, że jeszcze

kiedykolwiek go zobaczą. Możemy być pewni, że Martin nam przygotuje solidny posiłek.

- Rzeczywiście jestem głodna - wyznała szczerze Viola - i wydaje mi się, że powinniśmy iść prosto do domu kuzyna Jima, a nie do restauracji. Pamiętajcie, że ten szary proszek pozostał w bibliotece...

Trenmore drgnął i uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Ten piekielny Pył - wybuchnął - leżał przez cały czas na wierzchu, przez nikogo nie strzeżony! Na Boga, może się jeszcze okazać, że biedny Martin wcale nas nie powita w domu!

- I wszystko przeze mnie - powiedział Drayton ponuro. - Jeżeli cokolwiek stało się Martinowi, to tylko z mojej winy. Zgodnie z własnym sumieniem powinienem iść za nim...

Trenmore odwrócił się, mrużąc.

- Nie pójdziesz za nim! Czy chcesz stworzyć nie kończący się korowód ludzi, krążących pomiędzy naszym światem i tamtym dzikim, z którego dopiero co się uratowaliśmy? Ty za Martinem, ja za tobą, przypuszczam, że Viola za mną... i znowu będziemy tam wszyscy, bez jedzenia, otoczeni jedynie przez zjawy! Nie, jeżeli Martin jest w tej chwili w Ulitii, niech jego własny rozum i szczęście wyprowadzą go stamtąd. Ostatecznie, ma takie same szanse, jakie i my mieliśmy.

- Zawołaj taksówkę - powiedziała Viola roztropnie. - Możliwe, że Martin nie wpadł jeszcze w pułapkę.

- Bardzo rozsądna propozycja, moja droga - pochwalił ją brat.

Przy krawężniku stała akurat wolna taksówka, jej kierowca snuł się w pobliżu z papierosem w ustach. Był to chudy, niedożywiony człowiek, ubrany w jaskrawą, błękitno-cytrynową liberię, z małymi pozłacanymi insygniami na rękawie. Sprawiał wrażenie kogoś, kto ma nieskończenie dużo wolnego czasu, ale jednocześnie rozglądał się czujnym wzrokiem, z którym chyba już się rodzą wszyscy prawdziwi taksówkarze.

- Walnut Street 1700, mój człowieku - polecił Trenmore - i jedź najszybciej, jak potrafisz.

Drayton zaczął otwierać drzwiczki taksówki, ponieważ szofer nie uczynił żadnego ruchu, żeby to zrobić. Jednak ku jego zdziwieniu, kierowca podskoczył i odsunął jego rękę.

- Pan zaczeka chwileczkę!

- Czy ta taksówka jest zajęta? Przecież ma znak „wolna”.

- Nie, nie jest zajęta, ale proszę chwilę poczekać!

Mężczyzna przyglądał im się z ciekawością, przeradzając się stopniowo w podejrzliwość, jakby zauważył coś niezwykłego w ich wyglądzie. A przecież Viola była wyjątkowo elegancka, poza tym w czasie drogi przez tę niesamowitą równinę nie zaszło nic, co mogłoby zniszczyć ich nienaganne stroje, w których rozpoczęli podróż.

- Czekać? - wykrzyknął Trenmore. - A na co? Czy to nie jest ogólnodostępna taksówka?

- Zgadza się, to jest publiczna taksówka. Ale nie chodzi tu o mnie czy o moją taksówkę. Przyczyną jest państwa wygląd. Dlaczego nie macie swoich guzików?

- Nie mamy swoich guzików?

Terence spojrział wściekle na siebie. Czyżby gwałtowne przejście z jednego świata do drugiego pozbawiło go tych niezbędnych szczegółów garderoby? Ale wszystko wyglądało w porządku. Był już potężnie rozzłoszczony.

- Twierdzisz, że nie mamy guzików? Co chcesz przez to powiedzieć? Czyś się przypadkiem nie upił?

Szofer zmierzył Irlandczyka czujnym wzrokiem i cofnął się.

- Nie waż się! - krzyknął. - Nie waż się mnie uderzyć! Nie obchodzi mnie, kim jesteś, ale nie masz prawa tak się pokazywać. Jeżeli mnie uderzysz, zostaniesz wtrącony do lochu. Wozilem niejednego z samej Służby Państwowej i oni nie pozwolą, żeby ktoś mnie bił!

Drayton powstrzymał uniesioną rękę przyjaciela.

- Uspokój się, Terry - ostrzegł cicho. - Po co zaczynać awanturę z jakimś lunatykiem?

Trenmore otrząsał się. Rozsierdziło go dodatkowo przypuszczenie Draytona, że mógłby zaatakować człowieka, który ważył przynajmniej dwa razy mniej niż on. Przez chwilę

miał ochotę z miejsca pokłócić się z przyjacielem. Nagle uderzyła go absurdalność własnej irytacji i, spostrzegłszy błagalny i zdziwiony wzrok Violi, zaśmiał się zawstydzony.

- Chyba zostawiłem swoje opanowanie za księżycem, Bobby - zażartował.

Ruszyli wzdłuż chodnika w poszukiwaniu innego pojazdu.

- Gdzieś tu jest budka przedsiębiorstwa taksówkowego. Czy to nie tam, za windą?

- Tak - odrzekła Viola. - Pamiętam, że nosiła szyld „Filadelfia”. Spójrzcie, zmienili na „Służba Penna”! W zeszłym tygodniu nazywali się jeszcze Towarzystwo Filadelfijskie.

Nie dane im było jednak wtedy dowiedzieć się, czy „Służba Penna” oznaczała przedsiębiorstwo taksówkowe czy też coś innego. Zanim doszli do drewnianej budki z białym napisem, ciężka ręka chwyciła od tyłu ramię Draytona i obróciła go. Trenmore'owie odwrócili się i zobaczyli przed sobą policjanta. Za nim, w bezpiecznej odległości stał dziwaczny znajomy taksówkarz i przyglądał im się z ironicznym uśmiechem.

- A co to ma znaczyć? - spytał Trenmore surowo.

Drayton nic nie mówił. Strach ścisnął go za gardło jeszcze mocniej niż policjant za ramię. Czy był to dalszy ciąg prześladowań, którymi ostatnio był dręczony? Czy miał zostać aresztowany, tutaj, w obecności Violi Trenmore, na podstawie jakiegoś zmyślnego oskarżenia, tak jak w przypadku jego współnika, zmarłego potem w więzieniu?

Zatopiony w gorzkich myślach, dopiero po chwili zorientował się, co policjant mówi w odpowiedzi na pytanie Trenmore'a.

- ...a jeżeli zgubiliście swoje guziki, dlaczego nie zameldowaliście się w odpowiednim biurze? Mam obowiązek odstawić was bez dalszego tłumaczenia, ale jestem człowiekiem o miękkim sercu. Jeżeli macie jakieś usprawiedliwienie, mówcie szybko!

Drayton zrozumiał, że zastrzeżenia przedstawiciela władzy dotyczyły nie tylko jego osoby. Wyglądało na to, że Trenmore i jego siostra w tym samym stopniu byli obiektem absurdalnego, chociaż oficjalnego zainteresowania policjanta.

W Bobbym obudziła się dusza prawnika. Przyczyną zajścia mógł być jakiś dziwny lokalny przepis, o którym on, nie znający miasta, nic nie słyszał.

- O co chodzi z tym guzikiem? - zapytał. - Czy chce pan powiedzieć, że powinniśmy nosić jakieś guziki jako rodzaj oznaki?

- Czy jesteście wszyscy szaleni? Pytacie się, jakie guziki? Co mógłbym mieć na myśli oprócz guzików identyfikacyjnych? Jakie są wasze numery? Przynajmniej to możecie mi chyba powiedzieć? A może jesteście członkami rodziny?

Zapanowała chwila ciszy. Potem Trenmore, pełen zniechęcenia, zaczął mówić.

- Na Boga, chociaż urodziłem się w okręgu Kerry, do tej pory nie rozumiałem znaczenia słów „szalony Irlandczyk”! Słuchaj, Micky, Pat czy jak tam masz na imię, pochodzimy z tak dobrych rodzin, że w swojej ignorancji nigdy o nich nawet nie słyszałeś! A jeżeli chodzi o numery, nie wątpię, że ty posiadasz jakiś numer! Nie wątpię, że kierowca tej nędznej małej taksówki także ma swój numer! Więźniowie mają numery i być może w domu wariatów, z którego obaj uciekliście, noszą guziki z numerami. Ale ja i ten oto mój przyjaciel, i moja siostra nie mamy żadnych numerów! Mamy nazwiska, mój chłopcze, naz-wis-ka. I jeżeli podam swoje nazwisko twojemu nieszczęsnemu szefowi, przekonasz się, że nie ma potrzeby nadawania numeru Terence'owi Trenmore'owi, aby taki osobnik jak ty, mógł zostać wyrzucony ze służby, którą hańbi swoją głupotą!

W miarę jak Trenmore wygłaszał mowę, zdania stawały się coraz dłuższe, głos coraz donośniejszy, aż w końcu grzmiał niby ryk syreny. Dwóch czy trzech gapiów, którzy wcześniej przystanęli, otoczył gwałtownie rosnący tłum obserwatorów. Ostatnie słowa Trenmore'a wypowiedziane były przed nadzwyczaj zaniepokojonym i licznym audytorium.

Policjant, człowiek o niezbyt okazałej posturze, cofnął się przed usprawiedliwioną złością Irlandczyka, tak jak poprzednio uczynił to taksówkarz. Jednak w przeciwieństwie do niego, mógł liczyć na pomoc, gdy własna siła okazywała się

niewystarczająca. Jediną odpowiedzią na groźby Trenmore'a był ostry dźwięk gwizdka.

- No, i dograłeś się, Terry! - jęknął Drayton. - Zabieraj stąd swoją siostrę, i to szybko! A o mnie się nie martw!

- Terry nie zrobi nic takiego, panie Drayton - wtrąciła wspomniana młoda dama. - Panie policjancie, z pewnością nie aresztuje pan trojga niewinnych ludzi z powodu jakiegoś głupiego nieporozumienia, które może być wyjaśnione w mgnieniu oka?

Policjant popatrzył na nią z zachwytem - w ocenie Draytona ze zbyt wielkim zachwytem.

- Z pewnością, panienko - obiecał. - Jeżeli chodzi o mnie, z ogromną niechęcią sprawiłbym kłopot tak pięknej dziewczynie. Ale co mogę poradzić? Zna panienka przepisy.

- Ależ naprawdę nie znam - zgodnie z prawdą powiedziała Viola.

Zanim ktokolwiek zdołał jeszcze coś dodać, tłum zafalował i ukazali się dwaj kolejni policjanci. Jeden z nich, sądząc po paskach na rękawie, sierżant, wysunął się zaaferowany do przodu. Miał arogancką minę i Drayton modlił się w duchu, by nie kolidowała ona z rosnącym oburzeniem jego potężnego przyjaciela.

- Co się stało? Co się stało, 47? Co to za sprawa z tymi ludźmi? Co? Brak guzików? Jak śmiecie chodzić bez guzików? To jest bardzo poważne i szczególne przewinienie, 47! Chociaż muszę stwierdzić z zadowoleniem, że pierwszy raz spotykam się z nim w tym okręgu. Aresztowani? Oczywiście, że jesteście aresztowani! Radiowóz zaraz tu będzie. Czego się spodziewaliście? Jakie są wasze numery? I co zrobiliście ze swoimi guzikami?

Nie wiadomo, jak długo sierżant kontynuowałby swój monolog, wypowiedany z niezwykłą prędkością i bez chwili przerwy na odpowiedź czy uwagę, gdyby jego wypowiedzi nie przerwał ryk syreny. I znowu tłum zafalował i rozsunał się. Zbliżył się patrol zmotoryzowany. Trzech następnych policjantów wyskoczyło i stanęło na baczność.

Widząc coraz więcej policjantów, Drayton stracił nadzieję, że Trenmore zdoła schwycić swoją siostrę i wyciągnąć ją z tej hańbiącej opresji.

Ale przyczyna, dla której rozgniewany Irlandczyk tego nie czynił, była z jednej strony niechęć pozostawienia przyjaciela w szponach prawa, a z drugiej - gwałtownie wzrastające rozbawienie. Zauważył teraz, że wszyscy stojący w pierwszych rzędach gapiącego się tłumu rzeczywiście mieli umocowane poniżej lewego ramienia duże, żółte guziki, z doskonale czytelnymi, czarnymi numerami.

Dostrzegł również, że numery były w większości pięcio-, sześć-, a nawet siedmiocyfrowe. Ale co znaczyły, dlaczego wszyscy byli nimi oznakowani i co wspólnego z jego wolnością mogła mieć ta wątpliwa ozdoba, było zagadką, wobec której zbladły nawet tajemnice Ulitii.

- Guzik, guzik, kto nosi guzik? - mrucał. - Na Boga, cóż to za dzikie i barbarzyńskie miasto, ta Filadelfia! Sierżancie, czy naprawdę zamierza pan nas zamknąć tylko dlatego, że nie wiemy, o czym pan i cała reszta mówicie?

Sierżant spojrzał z podziwem na potężną postać Irlandczyka.

- Wiesz bardzo dobrze, że muszę. Lecz na Boga, człowieku, nie masz się czym martwić, ponieważ za kilka dni będą zawody. Nie wątpię, że w swym wielkim ciele masz dosyć siły!

Doprowadzony do szaleństwa, Trenmore chwycił się za głowę.

- Zabieraj nas na posterunek! - warknął. - I pospiesz się, jeżeli cenisz swoje nędzne życie! Siła? Mam dosyć siły, żeby cię rozedrzeć na kawałki, i będę zmuszony to zrobić, jeżeli nie zaprowadzisz mnie w tej chwili do jakiegoś sensownego człowieka, z którym można normalnie porozmawiać!

## Rozdział VII. Kilka drobnych zmian.

Radiowóz jechał ulicami i chociaż dla przywykłych do takich przejazdów osób była to normalna i powszednia rzecz, w sercu przynajmniej jednego z zatrzymanych wywoływała uczucia natury niezwykle bolesnej i przykrej. Drayton cierpiał, ale bynajmniej nie ze względu na własne położenie.

W niezbyt odległej przeszłości zbyt mocno został sparzony ogniem niezasłużonego wstydu, aby czuć się dotkniętym takim drobnym wydarzeniem jak obecne, ale to, że Viola Trenmore - o czystych, błękitnych oczach i niewinnej buzi - musiała wsiąść do samochodu policyjnego i była teraz wieziona ulicami miasta jak jakiś kieszonkowiec, sprawiało mu nieznośny ból i powodowało, że na zmianę czerwienił się ze wstydu i bladł z bezsilnej złości.

Potężny Trenmore siedział spokojnie, ale był to pozorny spokój, pod którym krył się gniew, powstrzymywany w oczekiwaniu na lepszą okazję i dla godniejszego przeciwnika. Szkoda byłoby marnować go na zwykłych gliniarzy!

Pokonawszy powoli krótki, stromy odcinek Market Street, wiodący od przystani promowej, radiowóz nabral prędkości. Z przodu, w odległości około jednej mili, na końcu długiej, prostej, jasno oświetlonej alei, wznosił się wielki budynek Ratusza. Jego rozległa, dolna część obwiedziona była szeregiem żarówek, a bladoszara wieża jaśniała na tle czarnego nieba.

Na samym szczycie majaczyła ciemna postać. Była to ogromna statua Williama Penna, wyciągającego rękę i błogosławiącego mieszkańców miasta.

- Czy zabieracie nas do Ratusza? - zapytał Drayton, odwracając się w stronę funkcjonariusza, siedzącego po jego lewej stronie.

Mężczyzna skinął głową.

- Wasze przestępstwo jest zbyt poważne, aby mogła je rozpatrywać niższa instancja.

- Aby co?



- Aby mogła je rozpatrywać niższa instancja - powtórzył policjant niecierpliwie. - Sam Trybunał będzie chciał się tym zająć, prawda, sierżancie?

- Bez wątpienia. Ale dosyć już tego gadania. Pamiętajcie, że wszystko, co powiecie, może zostać użyte przeciwko wam.

- Można by pomyśleć, że jesteście mordercami - zauważył gorzko Drayton. Na czym polegała istota ich wykroczenia? W tym całym absurdalnym zdarzeniu zaczął wyczuwać coś tajemniczego i niebezpiecznego, coś, czego jego umysł jeszcze nie mógł pojąć, ale co już wkrótce mogło wyjść na jaw.

Był piękny wieczór; zegar na wieży ratuszowej wskazywał ósmą trzydzieści, na ulicach było pełno ludzi. Większość sklepów była otwarta, a niezliczone kina, bary i strzelnice wchłaniały i wyrzucały masy ludzi, zapewniając dobrobyt swoim właścicielom.

Hałaśliwe tłumy i rodzaj oferowanych rozrywek przypominały raczej Nowy Jork i nie kojarzyły się Draytonowi ani trochę z Market Street. To spostrzeżenie przemknęło mu przez głowę, nie pobudzając do głębszej refleksji.

Radiowóz rykiem syreny torował sobie drogę przez gładki chodnik, wzbudzając normalną w takich sytuacjach ciekawość i wywołując komentarze, na szczęście niedosłyszalne. Skręcili z Market Street w Juniper i podjechali do Ratusza od wschodu. Ponieważ wjazd był od strony zachodniej, musieli okrążyć połowę budynku, aby do niego dotrzeć.

Kiedy mijali wejście przy Broad Street, Draytonowi udało się spojrzeć w górę. Nad bramą wisiał emblemat z kolorowych świateł. Przedstawiał miecz skrzyżowany z dzwonem. Powyżej jaśniał numer, składający się z czterech czerwono-biało-niebieskich cyfr - 2118.

Dzwon, pomyślał Drayton, może symbolizować stary Dzwon Wolności, najbardziej umiłowany symbol Filadelfii; cyfry jednak mówiły mu tyle samo, co te na żółtych guzikach, których brakiem u nich tak przejęła się policja.

Skrećiwszy jeszcze raz, radiowóz dojechał do Market Street od strony zachodniej. Wkrótce potem przejechał pod portykiem Ratusza.

Urząd Miejski, używając najstarszej nazwy okazałej siedziby filadelfijskiej administracji i wymiaru sprawiedliwości, miał kształt nieregularnego czworoboku, pustego w środku. Na dziedziniec wewnętrzny prowadziły cztery krótkie prześwity, rozmieszczone zgodnie ze stronami świata.

Jak przypominali sobie zatrzymani, czworokątny podwórzec pokryty był szarymi, betonowymi płytami i nie miał zbyt wytwornego czy imponującego wyglądu. Kilka starych dział, reliktyw minionych wojen, stało w rogach placu i po obu stronach północnego wejścia. W północno-wschodnim narożniku wznosił się pawilon, w którym organizowano rozmaite wystawy.

Ponieważ cały kompleks usytuowany był na przecięciu głównych arterii miasta, Broad Street i Market, dwa niekończące się strumienie ludzi przepływały tędy przez cały dzień.

Tak zapamiętali wygląd Ratusza z przeszłości i spodziewali się teraz takim go ujrzeć.

Ale radiowóz zatrzymał się jeszcze w obrębie krótkiego, ciemnego przejazdu. Powstając ze swych miejsc, policjanci wypchnęli więźniów na zewnątrz. Po chwili wszyscy razem stali tuż u wylotu tunelu.

W ciągu ostatnich kilku godzin cała trójka doznała niejednego szoku; teraz przeżyli kolejny wstrząs.

Zamiast pustego, szarego dziedzińca bez dachu, ukazało im się wnętrze, które mogło być żywcem przeniesione z inscenizacji baśni z tysiąca i jednej nocy.

W górze, od poziomu czwartego piętra, wznosiła się złota czasza niezbyt wysokiej, lecz przepięknej kopuły. Wyglądała, jakby była w całości wykuta z tego drogiego, złotego metalu. Cała powierzchnia wewnętrzna była bez śladu spojeń czy ornamentu, wypolerowana tak, że jej blask niemal oślepiał.

Ku górze, z niewidzialnych bocznych źródeł, biło światło; odbijało się w sklepieniu, tworząc poświatę, żółta jak promienie słońca, nadającą dziwny wygląd ogromnej sali w dole. Ze środka kopuły zwieszał się wielki dzwon, umocowany na końcu dwudziestostopowego łańcucha. Dzwon był gładko emaliowany albo odlany z jakiegoś dziwnego metalu.

Miał kolor jaskrawoszarłatny i przypominał olbrzymi egzotyczny kwiat. Był akurat przerabiany lub poddawany remontowi, bo od południowej ściany budynku ciągnęło się w jego stronę wąskie rusztowanie z surowych desek, kończące się platformą tuż obok kielicha dzwonu. Sam dzwon nie posiadał serca i nie można się było domyślić, w jaki sposób wydobywano z niego dźwięk.

Posadzka sali nie była wykonana ze zwykłego, szarego betonu, lecz ze lśniącego, wypolerowanego tworzywa, przypominającego porcelanę. Podobnie jak kopuła nie miała spójń. Krwistoczerwony dzwon i nieokreślonego koloru ściany budynków odbijały się w niej jak w mlecznym jeziorze. Część podłogi od strony północnej pokryta była mozaiką, sporządzoną z drobnych kawałków różnokolorowego marmuru.

Tam, gdzie znajdowały się południowe i wschodnie wejścia, krótkie schody z zielonego marmuru prowadziły do zamkniętych złotych drzwi, rzeźbionych w stylu gotyckim.

Pozbawione okien ściany, również ze złota, pokryte były płaskorzeźbami. W regularnych odstępach widniały panneaux z kolorowej emalii, przedstawiające różne niesamowite postacie, przypominające chińskich bożków i herosów. Cały schemat kolorystyczny - czerwień, złoto, zieleń i biel - był absolutnie pozbawiony smaku i zupełnie nie harmonizował z tak ongiś statecznymi i dystygowanymi murami Urzędu Miejskiego.

Trenmore gapił się, otworzywszy usta ze zdziwienia, zapominając o swym gniewie. Wszyscy mieli możliwość dokładnie obejrzeć wnętrze, bo sierżant, nacisnąwszy guzik dzwonka elektrycznego, znajdującego się w pobliżu drzwi, stanął, najwidoczniej czekając, aż ktoś odpowie na wezwanie.

- Czy tutaj mieści się sąd? - mruknął Trenmore. - Widziałem Tadż Mahal, widziałem wewnątrz Katedry Westminsterskiej i Świętego Pawła, ale nigdy, przenigdy...

- Nie rozumiem - przerwał mu zdesperowany Drayton. Zdumienie ustąpiło miejsca rozpacz, kiedy uświadomił sobie ogrom zmian. - Przecież to jest nieprawdopodobne, absurdalne! Ja...

- No, no! - przerwał im obcesowo sierżant. - Spokój! Co tam mrużycie pod nosem? Macie być cicho. Zaraz ktoś przyjdzie i raz-dwa rozpatrzy waszą sprawę.

Złote drzwi w południowej ścianie otworzyły się, ukazując mężczyznę, który zamknawszy je za sobą, zaczął iść w dół zielonymi marmurowymi schodami. Jego postać nawet z daleka sprawiała wielkie wrażenie. Pod idealnie skrojonym surdudem widoczna była kamizelka w szeroką kratę, spodnie miały delikatny, perłowszary odcień, a na nieskazitelne lakierki wciągnięte były białe getry. Na głowie błyszczał lśniący cylinder.

Gdyby dano mu flagę lub pochodnię, byłby niewątpliwie ozdobą każdego pochodu. Gdyby niósł wielki bukiet kwiatów, wyglądałby jak uczestnik jarmarcznego ślubu. W tym barbarzyńskim splendorze, który go otaczał, był zupełnie nie na miejscu, ale na szczęście nie zdawał sobie z tego sprawy.

Kroczył wolno i dystyngowanie, a wraz z nim podążało jego odwrócone w lśniącej porcelanowej posadzce odbicie. Wreszcie jego majestatyczny chód ustał. Zatrzymał się jakieś sześć kroków przed grupą więźniów i policjantów. Milcząc, obrzucił ich wolno długim, wyniosłym spojrzeniem.

Był to niewysoki mężczyzna, przystojny, chociaż zniszczony hulaszczym trybem życia; postarzały nie na skutek upływu lat, lecz w wyniku folgowania własnym zachciankom. Miał przebiegłe, blisko osadzone, zielonoorzechowe oczy oraz mały, ostro przystrzyżony wąsik. Więźniowie odnieśli wrażenie, że jego impertynenckie maniery są niczym nieuzasadnione.

Drayton kątem oka zauważył, że jego irlandzki przyjaciel znów się najeżył. Cóż, jeżeli już musi dojść do wybuchu, wolałby, żeby doszło do niego teraz i zniszczyło to monstrum

w cylindrze. Nikt, kto patrzył na Violę w taki sposób, nie zasługiwał na dalszy żywot!

Arogant raczył się odezwać.

- A więc, Pięćdziesiąt Trzy - wycedził wolno, zwracając się do sierżanta - czemu przyprowadziłeś ich tutaj? Szef jest na audiencji u Jego Ekscelencji i nie życzy sobie być niepokojony. Przyszedłem, aby cię ostrzec, że Urząd Penna jest zmęczony rozpatrywaniem tych trywialnych spraw, wnoszonych przed Trybunał. Ostatnio traktujecie nas jak rodzaj kolegium dla kieszonkowców!

Trenmore doskoczył do sierżanta.

- Ty nieszczęsny, bezczelny gnojku! - zagrział głosem, który odbił się echem od złotej kopuły.

W tym momencie sześciu policjantów jednocześnie rzuciło się na niego, jakby za pociągnięciem jednego sznurka. Mężczyzna w cylindrze odskoczył zgrabnie do tyłu, usuwając się z drogi. Drayton, nie widząc innego honorowego wyjścia, rzucił się do walki u boku przyjaciela i został natychmiast powalony uderzeniem policyjnej pałki.

## Rozdział VIII. Przyśpieszone postępowanie sądowe.

Kiedy Drayton odzyskał świadomość, siedział na wypolerowanej posadzce, oparty plecami o złoty filar. Uświadomił sobie nieznośny ból głowy i to, że ręce ma skute z tyłu kajdankami. Jego pełen temperamentu irlandzki przyjaciel nie był w lepszym stanie. Mówiąc ściślej, Trenmore leżał w pobliżu, wyciągnięty jak długi. Z twarzą zalaną łzami, Viola czyniła nieskuteczne próby otarcia małą chusteczką jego zakrwawionego oblicza.

Dwaj z szóstki policjantów stali, przyglądając się im bez śladu współczucia. Pozostali leżeli nieprzytomni lub siedzieli, a na ich twarzach malowało się cierpienie. Widocznie zanim Terence Trenmore uległ, dał się im porządnie we znaki.

- Niech jeden z was wezwie karetkę! - rozległ się głos przedstawiciela władzy w cylindrze. - Myślicie, że życzymy sobie, aby świątynia przypominała izbę przyjęć pogotowia ratunkowego? A tych waszych szalonych więźniów zaprowadźcie do Wydziału Spraw Obyczajowych. Jest tam teraz pan Cnota, a dla tego rodzaju ludzi nie jest istotne, jaki sąd rozpatrzy ich sprawę. Tylko się pospieszcie!

Salutując z uszanowaniem, dwaj funkcjonariusze, którzy wyszli cało z bijatyki, gorliwie przystąpili do wykonywania rozkazów człowieka w cylindrze. Jednak aby przenieść Trenmore'a do południowych drzwi, byli zmuszeni pozostawić resztę rannych. Viola ruszyła początkowo za nimi, potem obejrzała się z niepokojem w stronę Draytona. Mężczyzna w cylindrze, idąc za jej wzrokiem, skinął władczo głową.

Drayton wstał z pewnym trudem i chwiejnym krokiem podszedł do dziewczyny. Czuł się podle i był głęboko rozczarowany. Cała ta awantura na nic się nie zdała! Mężczyzna w cylindrze, który go tak irytował, nic nie ucierpiał i nawet nie utracił swojego okropnego cylindra!

- Proszę oprzeć się na moim ramieniu, panie Drayton - usłyszał głos Violi, dziwnie daleki i niewyraźny. Absurdalność tej prośby wywołała gorzki uśmiech; mimo wszystko jednak musiał skorzystać z jej propozycji, w przeciwnym razie

bowiem nigdy nie przeszedłby po tej falującej, kołyszącej się i śliskiej podłodze, nie upadając przy tym z tuzin razy.

W pewnym momencie znów ogarnęła go ciemność i ponownie stracił przytomność. Ocknął się, czując ostry smak i zapach brandy, którą o mało co się nie zadławił.

Policjant trzymał przy ustach Draytona kubek i wydawało się, że jest zdecydowany wlać mu do gardła całą jego zawartość. Więzień podniósł się odwracając głowę. Funkcjonariusz spojrział na niego ze zdumieniem, a następnie sam opróżnił kubek i usiadł.

- Czy czujesz się lepiej? - zapytał.

- Trochę - mruknął Drayton. Siedział w małym pokoju na kanapce pokrytej skórą jedynie w towarzystwie policjanta. - Obawiam się - dodał ponuro - że Trenmore odniósł poważne obrażenia. Gdzie on teraz jest?

Funkcjonariusz zaśmiał się.

- Jeżeli mówisz o swym dużym przyjacielu, to przyszedł do siebie prędzej niż ty. Na Boga, chcielibyśmy mieć tego faceta u nas w policji. Możesz już chodzić?

Drayton wstał niepewnie.

- Myślę, że tak. Czy pozostali są też w celach?

- Wątpię! - policjant popatrzył na niego. - Nie odkładają takich spraw jak wasza. Twój przyjaciel nie pójdzie do celi, zresztą ty też nie. A jeżeli chodzi o dziewczynę... - przerwał, wzruszając ramionami.

- Co z dziewczyną? - powtórzył ostro Drayton.

- Nie wiem. Widział ją pan Łaska i wątpię, aby pozwolił wtrącić taką ślicznotkę do Lochu. Ale chodźmy już, żeby pan Cnota na nas nie czekał.

„Pan Cnota”! Co za dziwaczne nazwisko, pomyślał Drayton, idąc do drzwi wsparty ciężko na swym strażniku. Tak samo zresztą jak i pan Łaska. Czyżby znalazł się na kartach „Wędrówki Pielgrzyma”? Czy też cały świat zwariował, kiedy oni snuli się po Ulitii? I cóż to za tajemniczy Trybunał zawładnął salami Ratusza?

Na zewnątrz, na ulicach, wszystko wyglądało normalnie, z wyjątkiem tych diabelskich guzików. Z pewnością powrócili do Filadelfii. Każdy kto kiedykolwiek był w tym mieście nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Było równie charakterystyczne jak Nowy Jork, chociaż na swój własny sposób. I wszystkie te znajome szczegóły - stacja promu przy Market Street, zewnętrzna architektura Ratusza, Broad Street, a przede wszystkim ta znamienna statua błogosławiącego Williama Penna...

Drzwi otworzyły się, ukazując długi pokój o niskim stropie, pozbawiony okien, oświetlony jedynie lampami ukrytymi za gzymsem. Sufit był barwy różowej i - podobnie jak złota kopuła - nadawał odcień różu całemu wnętrzu pełnemu orientального przepychu. W przeciwieństwie jednak do pustego dziedzińca o białej posadzce, sala była wypełniona po brzegi sprzętami.

Ciemną, lakierowaną podłogę zaścielały miękkie dywany, niezwyklej urody i wartości. Liczne hebanowe krzesła i stoliki, porozstawiane tu i tam, były rzeźbione na chińską modłę, a poduszki i narzuty z różowego aksamitu i jedwabiu połyskiwały wspaniale na tle surowego, ciemnego drewna.

Dominujący różowy odcień był gdzieś złamany odrobiną przytłumionego błękitu oraz żółtym kolorem rzeźbionej kości słoniowej. Kilka wspaniałych obrazów, oprawionych w jednakowe czarne ramy, wiszących na gładkiej, matowozłotej ścianie rzucało się w oczy każdemu wchodzącemu.

Pomieszczenie przypominało raczej salon bogatej, skłonnej do przesady kobiety, niż salę sądową. Jednak w drugim końcu komnaty był rodzaj podium czy trybuny. Tam, na krześle z kości słoniowej, rzeźbionym wspaniale niby tron, siedział mężczyzna.

Ubrany był, tak jak sędziowie angielscy, w czarną togę i wielką białą perukę. Miał orli nos, pyzate policzki, grube i odrażające rysy. Jeżeli to był pan Cnota - a Drayton założył, że nie może to być nikt inny - jego wygląd osobliwie kontrastował z nazwiskiem.



Przed podium stała grupka, składająca się ze współwięźniów Draytona, policjanta oraz małego jegomościa w cylindrze i surducie. Pan Cnota spoglądał na nich z wysoka z zuchwałą pogardą, przy której ospałe lekceważenie mężczyzny w cylindrze wydawało się niemal kurtuazją.

- Idź! - szepnął strażnik do Draytona. - Idź tam i ukłoń się panu sędziemu. Proces już się zaczął. Proces! - pomyślał Drayton. Nie było widać ani świadków, ani ławy przysięgłych, ani obrońców.

Nie mając innego wyjścia posłuchał jednak, stanął obok Violi i skłonił się tak wdzięcznie, jak tylko można było to zrobić, mając ręce w kajdankach. Jako prawnik, chociaż skreślony z listy adwokatów, postanowił przestrzegać przepisów prawa bez względu na to, jak niedorzeczne mogłyby mu się wydawać. Uważał, że jego postępowanie powinno być w każdym wypadku bez zarzutu.

Spojrzał na Trenmore'a i zobaczył, że Irlandczyk nie odniósł wielkich obrażeń w czasie niedawnej bójki. Obserwował teraz sędziego wzrokiem dalekim od skruszonego.

Viola stała z założonymi rękami, z potulnie spuszczoną głową - doskonały wzór strapionego dziewczęcia. Jednak Drayton dostrzegł pod jej długimi rzęsami błękitne błyski, świadczące o tym, że w obojgu Trenmore'ach tkwił taki sam bojowy duch.

Nastąpiła chwila budzącej strach ciszy. Potem sędzia czy urzędnik, czy jakkolwiek go nazwać, odchrząknął złowieszczo.

- Panie Łaska - powiedział - uważam, że nie ma potrzeby zwlekać. Z waszej relacji i z relacji sierżanta Pięćdziesiąt Trzy - à propos, gdzie jest Pięćdziesiąt trzy?

- W szpitalu, Wysoki Sądzie - nastawiają mu rękę.

- Rozumiem. Ale powinien był z tym poczekać do zakończenia procesu. Jednak jego obecność nie jest niezbędna. Jak mówiłem, wnosząc z waszej relacji, nie może być wątpliwości co do werdyktu. Biorąc pod uwagę zachowanie więźniów w tych świętych murach, nie ma potrzeby wyznaczania obrońców lub przedłużania śledztwa. Aby być jednak w zgodzie z literą i duchem prawa i aby

sprawiedliwości stało się zadość, pytam pana teraz, panie Łaska, jako jedyne go wiarygodnego świadka poważnego pogwałcenia prawa, czy może pan przedstawić jakiegokolwiek okoliczności łagodzące, mogące zmniejszyć oczywistą winę oskarżonych i złagodzić surowość wyroku?

Drayton zastanowił się, czy pałka policjanta nie spowodowała u niego utraty resztki zdrowego rozsądku, który mu jeszcze pozostał po opuszczeniu Ulitii. Czy naprawdę dobrze rozumiał to, co słyszał? Wydawało mu się, że od czasu do czasu dobiegał go zwrot, charakterystyczny dla języka prawniczego, jako całość jednak mowa sędziego była absolutnie niezrozumiała. Obecnie skupił uwagę na odpowiedzi pana Łaski.

- Wysoki sędzie, w przypadku więźniów-mężczyzn nie widzę okoliczności łagodzących. Nie tylko pojawili się w miejscu publicznym bez guzików, ale na dodatek pod samą Kopułą Sprawiedliwości, z oczami - że się tak wyrażę - utkwionymi w szkarłat Groźby Penna, napadli i ranili emisariuszy świętego Urzędu Penna. Jednak jeśli chodzi o trzeciego przestępcę, o tę dziewczynę - proszę o łaskę, zgodnie ze swym tytułem! Odseparujmy ją od jej złych towarzyszy i kto wie? Może się stanie równie niewinna w głębi duszy, jak można sądzić obecnie z jej wyglądu!

Pan Łaska wypowiadał swoją obronę z namaszczeniem, ale kończąc - mrugnął znacząco do sędziego i uśmiechnął się do Violi w taki sposób, że Draytonowi krew uderzyła do głowy.

Czy ta cała procedura była choćby w najmniejszym stopniu poważna? Czy też była to część jakiegoś wyszukanego i złośliwego żartu? Obie hipotezy wydawały się równie nieprawdopodobne. Drayton ponownie się skłonił.

- Wysoki Sędzie! - powiedział. - Z pewnością nawet na tym wstępnym przesłuchaniu pozwoli nam...

Ale sędzia przerwał mu.

- Wstępne przesłuchanie? - powtórzył pogardliwie. - Nikt poddany jurysdykcji Urzędu Penna nie wykazywał nigdy podobnej ignorancji prawa, na jaką wskazują twoje słowa. Gdyby był jakiś cień wątpliwości co do waszej winy, my, kierując się poczuciem najwyższej sprawiedliwości,

sądziłibyśmy was na procesie publicznym. Moglibyśmy nawet zezwolić wam na odwołanie się do samego Sędziego Najwyższego. Ale w sytuacji tak oczywistego i ohydneho pogwałcenia prawa jak w waszym wypadku, Urzędnicy Penna odmawiają dalszego zajmowania się tą sprawą!

W świetle powyższego, skazuję ciebie i twojego wielkiego towarzysza - na mą duszę, Łasko, czy kiedykolwiek widział pan większego brutala - skazuję was obu na natychmiastowe wtrącenie do Lochu Przeszłości. I niech Penn zmiłuje się nad waszymi, prawdopodobnie bezwartościowymi, duszami!

Wygłosiwszy ten dosyć osobliwy i surowy wyrok, sędzia wstał ziewając, odrzucił czarną togę i zdjął perukę. Pod togą był ubrany podobnie jak pan Łaska. Schodząc z podium

Cnota zatrzymał się, aby pokiwać bezczelnie ręką w stronę Violi Trenmore.

- Pierwszy zobaczyłeś dziewczynę, Łasko - zwrócił się do kolegi w cylindrze - a więc jest twoja. Zawsze miałeś szczęście!

## Rozdział IX. Loch Przeszłości.

Trójka więźniów znajdowała się pod złotą Kopułą Sprawiedliwości, bezpośrednio pod krwistoczerwonym dzwonem, którego szkarłatne odbicie widniało na mlecznej posadzce. To, że Viola stała z nimi, było wynikiem próśb tak żarliwych, że nawet niemiłosierny Łaska i grubiański Cnota wzruszyli się i wyrazili zgodę.

Czemu się tu znaleźli i co mógł oznaczać dziwny wyrok tego jeszcze dziwniejszego sędziego - jak na razie nie wiedzieli.

Przecież był to ich własny świat, do którego powrócili przez białą księżycową bramę Ulitii - a mimo to w jakiś okropny sposób zostali oszukani. Podczas ich krótkiej nieobecności zaszły jakieś ogromne zmiany. Bo ile mogła trwać ich nieobecność?

Stojący pod dzwonem Drayton i jego towarzysze przynajmniej kilka chwil zostali pozostawieni sami sobie. Nie mieli jednak możliwości ucieczki. Drzwi wielkiej sali były zatrzaśnięte, a wjazd dla patroli od strony zachodniej zamykała krata z ciężkich, złotych sztab.

- Viola, moja droga! - powiedział Trenmore - serce mi się kraje, gdy na ciebie patrzę! Czymkolwiek może być ten Loch, nie zostałeś skazana na wtrącenie do niego razem z nami, ale obawiam się, że oszczędzono cię, kierując się nieuczciwymi zamiarami. Moja własna głupota i gwałtowność przywiodły mnie tu, gdzie nie mogę cię już dłużej bronić, siostrzyczko. Ale chociaż jesteś taka młoda i... miała, należysz do rodziny Trenmore'ów, Violu. Wiesz, co uczynić, gdy odejdę? Och, czy mam rozdzierać własne serce i tłumaczyć ci? Viola potrząsnęła głową i uśmiechnęła się dzielnie.

- Nigdy nie okryję cię hańbą, Terry. Kiedy odejdiesz, mój kochany, życie straci dla mnie wartość i będzie mi obojętne, kiedy je stracę. I myślę, Terry, że ten świat, do którego powróciliśmy, nie jest wcale naszym światem. Nie ma dla nas tutaj miejsca, podobnie jak nie było go w Ulitii.

Drayton drgnął lekko.

- Więc sądzisz, że...

- Musicie już kończyć - rozległ się ospały głos pana Łaska, który niepostrzeżenie zaszedł ich od tyłu. Towarzyszyli mu czterej mężczyźni. Byli ubrani w luźne, źle dopasowane, żółte kombinezony w czarne, szerokie pasy. Mieli głupie i bestialsko okrutne twarze i niekształtne głowy o krótko ostrzyżonych włosach.

- Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam - ciągnął Łaska, leniwie wachlując się złożoną gazetą. - Ale nie możemy pozwolić, żeby Strażnicy Lochu czekali. Nie płacz, maleńka! Zaopiekuję się tobą.

Viola odwróciła się do niego z błyszczącymi, oczami. Gdy wpadała w gniew, była równie gwałtowna jak jej brat.

- Ty nędzny szcurze! - krzyknęła dziko. - Czy myślisz, że zniosłabym twój widok, gdyby nie chodziło mi o mojego brata i pana Draytona? Czy myślisz, że zostanę wśród żywych po ich odejściu?

Łaska spojrzał na nią nieco zdziwiony.

- Wiesz co, moja droga - wycedził - myślę, że jesteś diabelnie niewdzięczna! Gdybyśmy - Cnota i ja - nie mieli tak miękkiego serca, nie byłoby cię teraz tutaj. A zresztą, lubię dziewczyny z odrobiną temperamentu. Przejdzie ci to. Jeżeli naprawdę chcesz zobaczyć ostatnie chwile swojego brata i jego kumpla, chodź z nami.

Obrócił się i przeszedł w kierunku jakiegoś emblematu widocznego na posadzce północnej części sali. Strażnicy otoczyli więźniów i, odprowadziwszy ich kawałek, odsunęli się. Więźniowie w kajdankach znaleźli się na samym skraju mozaiki.

Kolorowe kamyki, ślicznie ułożone, przedstawiały wielkiego orła w kajdanach, przeszytego strzałami, próbującego na próżno dosięgnąć otwartym dziobem gołębia, który trzymał symboliczną gałązkę oliwną. Na wijącej się poniżej wstędze wypisane były szkarłatnymi literami trzy słowa:

*Sic semper tyrannis*

Były to słowa, wypowiedziane przez Bootha w chwili, gdy obdarzał męczeńską koroną Lincolna. Taki los niech zawsze przypada tyranom! Nawiasem mówiąc była to również dewiza

stanu, ale stanu Wirginia, a nie Pensylwania. Co mogły one tu znaczyć? I gdzie był ten „Loch Przeszłości”, do którego mieli być wtrąceni?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie nadeszła natychmiast. Cnota, Łaska i cały ich orszak skupili się na drugim końcu wzoru mozaiki. Teraz Cnota pochylił się niezgrabnie z uwagi na swą tuszę i przycisnął grubym kciukiem okrągłe oko gołębia.

W tym momencie cały emblemat zaczął opadać, jakby był zawieszony na zawiasach u podstawy ślimacznicy. Po chwili w posadzce widniała już tylko dziura w kształcie wzoru, z której unosił się dziwny, czerwony blask.

Zbliżając się ostrożnie, Drayton zajrzał do środka. Viola i jej brat uczynili to samo. Stali bez ruchu, rude światło oświetlało ich zafascynowane, zaszokowane twarze.

Ujrzeni szyb o pionowych ścianach, wyłożonych od góry do dołu elektrycznymi rubinowymi żaróweczkami. Miał około trzydziestu pięciu stóp głębokości. Na samym dnie siedział po turecku jakiś ogromny stwór.

Głowę i ramiona miał odrzucone do tyłu, a twarz skierowaną w stronę więźniów. Z otwartej paszczy o średnicy około sześciu stóp sterczały ostre, stalowe kolce. Język miał kształt wąskiego, wygiętego stalowego ostrza. W szponiastych rękach potwór trzymał dwie dzidy, skierowane ku górze. Z tyłu wznosił się równie spiczasty ogon, a na wąskim czole widoczne były dwa stalowe, ostre rogi.

A więc Loch nie był pusty. Ktokolwiek zostawał do niego wtrącony, ginął przebity ostrymi dzidami i jeśli nawet nie od razu - tym gorzej dla niego.

Trenmore stłumił okrzyk.

- Mordercy - powiedział w końcu - czemu zadajecie sobie tyle trudu? Czemu nie poderżnicie nam gardeł własnymi rękami? Taki czyn byłby zgodny z waszą naturą!

Cnota i Łaska tylko uśmiechali się błogo.

- Przykro nam, że was to nie rozbawiło - wycedził ten drugi.  
- Ale ten mały żart nie został wynaleziony specjalnie dla was. Czy wiecie, co jest tam w dole?

- Pomnik diabła, którego czcicie! - ze złością powiedział Trenmore.

- Ależ skądże! Wprost przeciwnie. Pomnik diabła, którego wy czcicie, mój wojowniczy przyjacielu. To jest Bóg Wojny i ponieważ już nie może włóczyć się po świecie, sprawiamy przyjemność jego zwolennikom i rzucaamy ich prosto w jego objęcia. Innymi słowy - kto zburzy Pokój Penna, będzie miał więcej wojny, niż by sobie kiedykolwiek życzył. Sic semper tyrannis! Każdy, kto atakuje drugiego, jest tyranem, przynajmniej w zamyśle. A więc skaczcie do środka...

- Ależ to ja zostałem zaatakowany przez policję! - gorąco zaprzeczał Trenmore.

Brwi Łaski uniosły się.

- Naprawdę? Zapomniałem. To psuje moją alegorię, co? Ale nie dopuścimy, aby to przeszkodziło wam w niepowtarzalnej okazji oddania czci Bogu Wojny.

- Czy naprawdę wrzucacie ludzi, żywych ludzi, do tej ohydnej pułapki? - zapytał Drayton niedowierzająco. Tak teatralnie, tak tandetnie wyglądał zarówno Loch jak i sztuczny smok, na widok którego można się było przestraszyć, ale nie na długo i nie naprawdę.

- Z całą pewnością - uśmiechnął się Cnota. Kontynuował wypowiedź, ale jego słowa zostały zagłuszone przez donośny turkot, który rozległ się z wnętrza Lochu. Więźniowie odruchowo odskoczyli od krawędzi otworu.

Gdyby ukryty w dole demon z brązu nagle ożył i zgłodniał, właśnie podobny metaliczny łoskot mógłby wydobyć się z jego otwartej gardzieli.

Odgłos zamarł.

- Co to było? - zapytał ostro Trenmore.

Łaska roześmiał się.

- Metro, oczywiście. Pociągi przejeżdżają pod fundamentami Ratusza. Jesteście największymi ignorantami ze wszystkich oszustów, którzy kiedykolwiek tu się znaleźli. Gdzie wy żyliście?

Cnota spojrział na zegarek.

- Łasko, jeżeli interesują cię ich historyjki, czy byłbyś uprzejmy wysłuchać ich później z ust tej młodej damy? Mam bankiet za pół godziny, a jeszcze się nie przebrałem.

- Nie zatrzymuję cię - wzruszył ramionami Łaska. - Możemy dokończyć bez ciebie.

Zmarszczywszy brwi, sędzia pokręcił głową.

- Jego Ekscelencja żąda porządku w tego typu sprawach, a wiesz bardzo dobrze, że obecność sędziego skazującego jest, w takich wypadkach jak ten, nieodzowna. - Następnie dodał ciszej, ale nie na tyle, by go nie usłyszeli skazani:

- Mówię ci szczerze, Łasko, że nie podobała mu się ta historia w zeszłym tygodniu. Zaczynasz zbyt lekceważyć jego osobę, mój drogi przyjacielu.

- Och, to jest stary... Ale spójrz, nadchodzi Prześliczna. Teraz będziemy musieli wstrzymać egzekucję, aż obejrzy więźniów. W przeciwnym razie bardzo się obrazi.

- Akurat się tym przejmuję - zamruczał Cnota. Tym niemniej opuścił wzniesioną rękę.

W drzwiach za Lochem ukazała się wysoka, smukła kobieta. Była to imponująca blondynka o jasnej karnacji. Miała na sobie wieczorową suknię koloru zieleni morskiej, o miękkich, opadających liniach. W głębokim rozcięciu ukazywały się szczupłe nogi w jasnozłotych pończochach.

Z daleka i na pierwszy rzut oka Drayton odniósł wrażenie, że Prześliczna w pełni zasługiwała na swoje imię. Ale gdy podeszła bliżej, rozczarował się z dwóch powodów: róż jej policzków nie był prawdziwy, a złote włosy, zebrane z tyłu pod siatką koloru nefrytu, miały ten podejrzanie słomkowy odcień, łatwo osiągany sztucznie, ale bardzo rzadko występujący w naturze. Miała jednak bardzo regularne rysy i czyste, przepiękne oczy: duże, ładnie wykrojone i prawie w takim samym kolorze, jak jej zielona suknia.

Uśmiechając się słodko do pana Cnoty, dama wyciągnęła dłoń do pana Łaski, a następnie obrzuciła więźniów, stojących nad Lochem, zimnym, obojętnym wzrokiem. Ale kiedy spojrzenie jej spoczęło na Trenmorze, wyraz jej twarzy



uległ zmianie. W zielonych oczach pojawił się nagły blask, a źrenice się rozszerzyły.

- Cóż za wspaniały olbrzym, Cnotko! - wykrzyknęła, zwracając się do sędziego. - Skąd go wzięłeś? Chyba nie masz zamiaru wtrącić go do Lochu?

- Czemu nie? - Sędzia rzucił kolejne, ukradkowe i zirytowane spojrzenie na zegarek.

- Stłukł czterech naszych policjantów - zaśmiał się Łaska.

- Naprawdę? Jak to?

Łaska zrelacjonował krótko incydent, uwzględniając w całej pełni udział w nim Trenmore'a, a nawet dla uzyskania lepszego efektu, nieco wyolbrzymiając jego wyczyny. Dama zaśmiała się wesoło i niefrasobliwie.

- I zamierzaliście wrzucić ich do Lochu! Ależ jesteście lekkomyślni, moi chłopcy. To szczęście, że tu przyszłam. A teraz chciałabym się dowiedzieć następującej rzeczy: czemu przynajmniej w przypadku jednego z nich - wskazała na Trenmore'a - nie postąpiliście zgodnie z przepisami, dopuszczając go pojutrze do zawodów? Czemu, numerze... numerze... jaki jest twój numer?

Trenmore spojrział na nią, zmarszczywszy brwi.

- Proszę pani, mogę jedynie się domyślać, o czym pani mówi. Jeżeli istnieje jednak jakiś sposób, abyśmy moja siostra, mój przyjaciel i ja wydostali się z tego koszmaru, byłibyśmy bardziej niż wdzięczni, gdyby zechciała nam pani go zdradzić.

- Prześliczna - zaprotestował Cnota, zatrzasnąwszy wieczko zegarka - naprawdę muszę natychmiast opuścić to miejsce.

- Jedną chwileczkę - nie zważając na niego, zwróciła się do Trenmore'a. - Chyba znasz przepisy?

Czując, że ich los wisi na cieniutkim włosku, Drayton się wtrącił.

- Jesteśmy tutaj obcy. Nie pozwolono nam się wytłumaczyć ani bronić, ale z pewnością nie znamy waszych praw i nie naruszyliśmy ich świadomie.

- Obcy? Obcy w Filadelfii?

- Jak najbardziej. Ten pan dopiero niedawno przybył z Irlandii. Jego siostra spędziła kilka ostatnich lat na zachodzie, a ja sam pochodzę z Cincinnati.

Kobieta potrząsnęła głową, wyglądając na jeszcze bardziej zdumioną niż przedtem.

- Te nazwy nic mi nie mówią. Jeżeli jesteście naprawdę spoza granic miasta, jak się tu dostaliście?

Drayton zawahał się. Udzielenie w tych okolicznościach wymijającej odpowiedzi na to pytanie nie było łatwe. Zanim zdołał skonstruować wystarczająco oględną wypowiedź, jakiś mężczyzna przedarł się przez policyjne straże i podszedł do kobiety.

Miał około trzydziestu pięciu lat, ostre rysy twarzy, przebiegłe oczy i wąskie, zaciśnięte usta. W przeciwieństwie do Łaski i Cnoty, nowo przybyły był odziany w kompletny strój wieczorowy. Przez ramię miał przewieszony lekki, czarny płaszcz, podbity jedwabiem ognistego koloru.

Nie fatygując się, by pozdrowić jej towarzyszy, i bez najmniejszej oznaki zainteresowania całym otoczeniem zwrócił się do zielono odzianej kobiety.

- Prześliczna - powiedział z ledwo ukrywanym zniecierpliwieniem - zamierzasz wyjść czy nie? Jeżeli nie masz ochoty tańczyć, to, na litość boską, powiedz! Mogę pójść z kimś innym.

Obrzuciła go obojętnym i szyderczym wzrokiem.

- Rób, co chcesz. Przez całe życie szukałam prawdziwego mężczyzny, z którym mogłabym dzielić obowiązki w Urzędzie Penna. Teraz, gdy go znalazłam, myślisz, że pozwolę, aby został stracony w Lochu?

Słyszając to, pan Cnota wydał okrzyk, a Łaska szczerze się roześmiała.

- A więc do tego zmierzasz, Prześliczna! Najzdolniejszy, współczuję ci! Dobranoc państwu!

Wąskie usta „Najzdolniejszego” rozchyliły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Zawsze wiedziałem, że mnie rzucisz przy pierwszej nadarzającej się okazji, Prześliczna. Przypuszczam, że

zamierzasz zaproponować swego protegowanego na Najsilniejszego?

- Oczywiście.

- I wierzysz, że będzie w stanie zająć miejsce tego, który obecnie pracuje na tym stanowisku?

- Jestem tego pewna.

- No cóż, nie będę rozpaczał. Teraz możecie zamknąć Loch, ale po zawodach zostanie ponownie otwarty. A co zrobisz z pozostałą dwójką więźniów?

Kobieta zaśmiała się prowokująco.

- Też będą mieli szansę! Cnotko, nieczęsto kwestionuję twoje decyzje, prawda? Ale teraz chcę, byś zamknął swój wstrętny Loch i - ciągnęła, patrząc pogardliwie - nie sprawiał przyjemności Zdolnemu ponownym jego otwarciem.

Pan Cnota spojrział bardzo niepewnie w stronę mężczyzny o wąskich ustach. Nie wyglądał na uradowanego. Łaska patrzył chmurnie.

- Cnotko, proszę nie zapominaj o mnie! Jestem osobiście zainteresowany tą egzekucją i nawet Prześliczna mi nie przeszkodzi!

- Zamknij się, Łasko! - wtrąciła kobieta niecierpliwie. - Domyślam się, jaki masz interes. Boisz się, że brat dziewczyny pokrzyżuje ci twoje plany względem niej. Ale prawo jest prawem i wiesz, że przysługuje im przywilej uczestniczenia w konkursie. Zawsze myślisz tylko o sobie! Cnotko, uwolnij tych ludzi, a ja będę odpowiedzialna za ich pojawienie się na środowych zawodach.

- Najzdolniejszy, czy zamierzasz się na to zgodzić? - zapytał Łaska ze złością.

Ale Najzdolniejszy, który od jakiegoś czasu obserwował Violę, uśmiechnął się teraz dziwnym, lisim uśmiechem.

- Czemu nie? - spytał po prostu. - Jeżeli Prześliczna przedkłada siłę tego faceta nad moją inteligencję, cóż mogę zrobić innego, jak tylko z wdziękiem się wycofać?

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

- Taka uprzejmość jest naprawdę wzruszająca, Zdolniacho. Zapamiętam to sobie. Ten chudzielec może się zmagać z Najszybszym, a jeżeli chodzi o dziewczynę... - zmarszczyła brwi, patrząc na Violę wzrokiem jednocześnie niechętnym i pełnym podziwu. - Ależ tak - dokończyła - dziewczyna może ubiegać się o tytuł Służącej Doskonałej.

Klepnąwszy się po grubym udzie, Cnota wybuchnął nagle śmiechem.

- Wspaniale, Prześliczna! Wszystko już ustaliłaś, co? Łasko, ty i Najzdolniejszy wypadliście z gry! Zabierz ich, zabierz swych czarujących protegowanych, moja Prześliczna, a wy zamknijcie Loch. Stary Wojownik pójdzie dziś spać głodny. A teraz, wybacz mi, Prześliczna, ale muszę już iść. Przez ciebie straciłem przynajmniej jedno całe danie!

- Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś stracił więcej - odpowiedziała, patrząc wymownie na jego talię. Ale Cnota tylko zachichotał, nie obrażając się, i pospiesznie się oddalił.

## Rozdział X. Czwarta ofiara.

Trójka byłych więźniów siedziała przy stole; właśnie skończyli jeść. Pokój, w którym się znajdowali, nie był urządzony z barbarzyńskim przepychem, ale nie brakowało w nim żadnych wygód, do jakich byli przyzwyczajeni i które powinien zapewniać każdy luksusowy hotel. Prześliczna, a raczej Najślicniejsza, bo taki był oficjalny tytuł damy, okazała się wyjątkowo troskliwą i hojną opiekunką. Przejawszy za nich odpowiedzialność, rozkazała, aby uwolniono Trenmore'a i Draytona, a następnie całą trójkę zawiozła własnym samochodem do wielkiego hotelu na South Broad Street i tam wynajęła dla nich apartament, na który składały się sypialnie z prywatnymi łazienkami i duży salon.

Jej pozycja społeczna w tej nowej Filadelfii, tak podobnej do starej i jednocześnie tak odmiennej, była im jeszcze nieznana. Jak dotąd, jeżeli chodzi o zaspokajanie ich potrzeb, wydawała się posiadać praktycznie nieograniczoną władzę.

Sam hotel nie różnił się w widoczny sposób od innych wielkich, stołecznych przybytków tego rodzaju. Drayton, który kiedyś zatrzymał się właśnie w tym hotelu, mógłby przysiąc, że nawet umeblowanie było takie same jak w czasie jego poprzedniej wizyty. Może tylko recepcjonista był zbyt uniżony jak na zwykłego urzędnika hotelowego. Poza tym ich zakwaterowaniu nie towarzyszyły żadne niezwykle okoliczności. Upewniwszy się, że jest im wygodnie, poinformowała, że mogą zamawiać wszystko, czego tylko będą sobie życzyli, na koszt Urzędu Penna - znowu ten tajemniczy, wszechobecny Urząd! - a następnie ich dziwna protektorka obiecała Trenmore'owi, że zajrzy do nich następnego dnia rano i odjechała.

Zmiana ich położenia była tak gwałtowna, że nie mieli okazji zadać kobiecie żadnych pytań, i chociaż mówiła prawie bez przerwy, jej monolog był mało zrozumiały. Czuli się kompletnie zdezorientowani informacjami, które same w sobie były proste, a jednocześnie tajemnicze z uwagi na brak klucza do ich zrozumienia.

Mimo to pod koniec późnego obiadu, podanego w apartamencie, po raz pierwszy od tej fatalnej chwili, kiedy otworzyli fiolkę z Cerberem, czuli się naprawdę odprężeni. Nawet jeżeli byli ciągle pod nadzorem policyjnym, nie było na to żadnych dowodów. Zgodnie jednak porzucili, przynajmniej na razie, myśl o ucieczce. Choć ich położenie mogło być niepewne, taka próba byłaby z góry skazana na niepowodzenie ze względu na zupełną nieznamość sytuacji.

Kiedy skończyli posiłek i kelner odszedł na dobre, Drayton zadał pytanie, które dręczyło go przez ostatnie dwie godziny.

- Panno Violu, czy mogłaby pani dokończyć to, co zaczęła pani mówić o Ulitii, kiedy staliśmy pod Czerwonym Dzwonem, zanim został otwarty Loch? Przerwał wtedy pani pan Łaska.

- Tak, oczywiście. Ale to było tylko takie moje odczucie, panie Drayton.

- Ale powiedz - nalegał brat.

- Myślę, że dotykając tego dziwnego pyłu - powiedziała cicho dziewczyna - wdarliśmy się do świata, w którym żywi nigdy nie powinni się znaleźć. Powiedziała to Biała Prządka - powiedziała, że nie ma dla nas miejsca w Ulitii. I powiedziała, żebyśmy szli naprzód, szli w głąb, i że drzwi stoją przed nami otworem.

- Rzeczywiście - westchnął Drayton.

- I w ten sposób - ciągnęła dziewczyna - uciekliśmy z Ulitii, ale poszliśmy dalej. Jak daleko - jeszcze nie wiemy.

- A więc sądzi pani - powiedział wolno były prawnik - że jakieś sześć godzin temu, według mojego zegarka, który, nawiasem mówiąc, wciąż chodzi, chociaż nie był nakręcany - wyszliśmy poza nasz czas i przestrzeń w sferę, gdzie te pojęcia mają inne znaczenie? I kiedy przechodziliśmy przez księżycową bramę, wróciliśmy w przestrzeni do prawie tego samego miejsca, z którego wyruszyliśmy, ale w czasie, być może, o wiele lat późniejsze?

- Tak. Wyraził pan to lepiej ode mnie, ale tak właśnie sędzę. Drayton pokręcił głową z uśmiechem.

- Coś podobnego również mnie przemknęło przez myśl, panno Violu, ale im więcej się nad tym zastanawiam, tym mniej wydaje mi się to prawdopodobne.

- Ależ dlaczego, Bobby? - zapytał niecierpliwie Trenmore. - Z pewnością jest to jedyne, w miarę rozsądne, wytłumaczenie całego tego bezsensu, który nas spotkał!

- Dlatego, że jeżeli upłynęła wystarczająca ilość lat, aby tak kompletnie zmieniło się prawo, nawet wartość życia ludzkiego, to czemu Czas pozostawił stroje, język, nawet budynki, z wyjątkiem Ratusza, dokładnie takimi, jakimi je znaleźliśmy? Przecież w tym hotelu od czasu, kiedy tu byłem trzy lata temu, nie zmieniły się nawet liberie boyów!

- Przyznaję, że jest to dziwne - powiedziała Viola. Następnie dodała szybko: - Ależ jestem głupia! Terry, czy nie mógłbyś zadzwonić na jednego z nich i poprosić, żeby nam przyniósł gazetę popołudniową?

Tak oczywiste źródło informacji i tak łatwo dostępne! Drayton i Trenmore podskoczyli jak jeden mąż, by nacisnąć guzik dzwonka. Właśnie, gdy mieli to zrobić, rozległ się głośny trzask, jakby coś ciężkiego i kruchego upadło na gołą podłogę. Dźwięk dobiegł z sypialni, przeznaczonej dla Trenmore'a. W następnej chwili Terry otworzył szeroko drzwi. Pokój był ciemny, oświetlony tylko przez światło padające z salonu. Zaglądając, Trenmore stał przez moment niezdecydowany. Po chwili gwałtownie przekroczył próg. Rozległ się ponownie trzask, tym razem przewracanego krzesła.

Idący za nim Drayton przesunął dłonią po ścianie sypialni i przekreślił kontakt. W świetle lampy ujrzał Irlandczyka, trzymającego w swym potężnym uścisku szamoczącego się mężczyznę. Chociaż facet walczył desperacko, mógł równie dobrze zmagać się z polarnym niedźwiedziem. Trenmore po prostu tak go ścisnął, że schwytyany stracił oddech, po czym bezwładnego rzucił na łóżko.

Teraz i Viola znalazła się w pokoju.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłeś mu krzywdy, Terry - krzyknęła. - To może być policjant w cywilnym ubraniu!

- Jeżeli tak, lepiej by było, gdyby pilnował nas otwarcie - odpowiedział Trenmore. - Hej, ty! Czemu ukrywałeś się w mojej sypialni? Podśluchiwałeś?

Człowiek na łóżku usiadł niezdarnie.

- Mógłbym się założyć o swoje marne życie, że nie byłoby mnie tu, gdybym wiedział, że jesteś w pobliżu, kolego! Czemu nie bierzesz się za kogoś swojej wagi?

Drayton wybuchnął śmiechem, a po chwili przyłączył się do niego Terence.

Mężczyzna na łóżku nie miał więcej niż pięć stóp wzrostu, ale czego mu zbywało na długości, wynagradzał szerokością. Jego okrągła twarz była gładko wygolona i nosiła wyraz obrażonego niewiniątka, co w sam raz pasowałoby do skrzywdzonego aniołka. Ciemnozielony garnitur pochwyconego, chociaż wymięty, był nienagannie skrojony i uszyty z dobrego materiału. Skarpetki i krawat były dobrane pod względem koloru. Jedyną fałszywą nutę kolorystyczną stanowił błyszczący, wielki żółty guzik identyfikacyjny, przypięty jak należy poniżej lewego ramienia i zbyt jasne, brązowe półbuty o grubych zelówkach.

- Pytam jeszcze raz - rzekł Trenmore - co robisz w moim pokoju? A może przyszedłeś jedynie po to, by rozbić szklaną karafkę?

- Przyszedłem tutaj - człowiek na łóżku zawahał się, ale tylko na moment. - Przyszedłem - oświadczył z godnością - ponieważ myślałem, że to jest mój pokój, proszę pana. Numery w korytarzu są takie mylące. Rano porozmawiam o tym z dyrektorem. Jeżeli przeszkodziłem państwu, to najmocniej przepraszam.

Na moment wypowiedź małego człowieczka i jego pełna godności postawa wszystkich zaskoczyła, po chwili jednak Trenmore podszedł do drzwi wyjściowych i spróbował je otworzyć. Były zamknięte na klucz.

- A jak to wytłumaczysz? - spytał z błyskiem w oku.

- Eee... zamknąłem je, gdy wszedłem.

- Czyżby? A gdzie masz klucz?



Człowiek udał, że szuka po kieszeniach, a następnie uśmiechnął się z trudem i podniósł rękę.

- No cóż, złapałeś mnie? Wszedłem przez okno.

- Ach, tak po prostu. Wiesz co, Bobby, jednak to jest ten sam nasz stary świat. Sprawdź zawartość jego kieszeni, dobrze? Może tam być coś interesującego.

Chwycił go za rękę, wykręcił do tyłu i przytrzymał obie jedną dłonią. Tym razem ofiara Trenmore'a nie próbowała walczyć. Stała spokojnie, podczas gdy Drayton przeprowadzał rewizję.

Viola zastanowiła się, czemu twarz prawnika gwałtownie poczerwieniała. Nic nie wiedziała o epizodzie w domu przy Walnut Street, ale Drayton pamiętał o nim i wspomnienie to przyprawiło go o mdłości. Uderzyła go analogia pomiędzy tym zakradającym się złodziejem i nim samym i nie było to przyjemne skojarzenie.

Początkowo przeszukiwania kieszeni nie zapowiadało nic interesującego. Znalazł jedynie jedwabną chusteczkę do nosa, złoty zegarek, parę drobnych monet i pęk dość dziwnie wyglądających kluczy. Ale podczas przeszukiwania prawej kieszeni marynarki Drayton znalazł coś, co go przeraziło nie mniej, niż gdyby to był zwinięty w kłębek żywy grzechotnik.

- Ależ... ależ - zajaknął się, wyciągając nagle drżącą rękę. - Spójrz na to, Terry! Spójrz, co znalazłem w jego kieszeni!

- Przecież to Cerber! Moja fiolka z Cerberem! - powiedział Irlandczyk przerażonym szeptem.

- Skąd to masz? - Drayton zapytał tak gwałtownie, że ujęty aż się skulił. - Skąd? - krzyknął ponownie, wymachując fiolką, jakby chciał nią rozwalić głowę mężczyzny. - Skąd ją masz?

- Nie bij mnie! Nic nie zrobiłem! Znalazłem ją na ulicy.

Trenmore obrócił go dookoła i popatrzył tak szatańskim wzrokiem, że rumiana twarz człowieczka zbladła i przybrała chorobliwy, białozielony odcień.

- Mów prawdę, ty szczurze! Skąd to masz?

- Ja... ja... Puść moją rękę, bo mi ją wyrwiesz! Wszystko powiem.

Terence, który wcale nie zamierzał zrobić krzywdy małemu, kragłemu mężczyźnie, puścił go, lecz nie przestawał się w niego wpatrywać.

- Znalazłem to w pewnym domu przy Walnut Street.

- Kiedy?

Człowiek patrzył to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Jego niewinna twarz przybrała nagle wyraz żalospny jak u dziecka, które ma zamiar się rozplakać.

- No cóż, na ile się orientuję, było to około dwieście lat temu! Ale mógłbym przysiąc, że nie było to dalej, jak tego ranka! Teraz odeślijcie mnie do pudła, jeśli chcecie! Jest mi wszystko jedno!

- Dwieście lat? - powiedział Drayton. - Terry, wydaje mi się, że coś zaczynam rozumieć. Słuchaj no, skąd masz ten żółty guzik przy marynarce?

Mężczyzna spojrział na swoją klapę.

- Zabrałem go jakiemuś pijanemu facetowi. Wszyscy w mieście je noszą i capnęli mnie za jego brak. Ale uciekłem gliniarzowi i skombinowałem guzik - uśmiechnął się niechętnie.

- Podejrzywałem, że został zdobyty w taki sposób. Terry, ten facet jest oszustem, czy też jednym z oszustów, którzy zostali wynajęci przez twojego nieznajomego przyjaciela kolekcjonera, aby wykraść ci Cerbera! Dostał się tutaj tak samo jak my. Czy nie przechodziłeś przypadkiem - zwrócił się do złodzieja - przez rodzaj snu, czy miejsca, czy stanu, zwanego Ulitią?

- Powiedzcie - spytał z kolei włamywacz - czy któryś z was jest właścicielem tej buteleczki? Czy jesteście tymi facetami, którzy zostawili szarą, pylistą substancję na gazecie na podłodze?

- Zgadza się, właśnie nimi jesteśmy - odparł Drayton poważnie.

- Proponuję, abyśmy porównali nasze spostrzeżenia, panie Włamywaczu - odezwała się Viola. - Może będziemy mogli sobie nawzajem pomóc.

Była już trzecia nad ranem, kiedy skończyła się ta zaimprovizowana konferencja. Do tego czasu wszelkie urazy, istniejące wcześniej między rabusiem i jego ofiarami, zostały już pogrzebane w grobie tej bezpowrotnie minionej przeszłości, z której cała czwórka została tak bezlitośnie wyrwana. Od chwili, gdy trójka przybyszy upewniła się, że Arnold Bertram (niezwykle ładne imię - jak zauważył Trenmore) był rzeczywiście człowiekiem z ich starego, utraconego świata, powitali go niemal jak kogoś najbliższego. Opowiedzenie mu swoich ostatnich przeżyć przyniosło im wielką ulgę. O ile się orientowali, Bertram był jedynym człowiekiem, któremu mogli się zwierzyć, nie obawiając się, że uzna ich za niegodziwych kłamców. Bertram rozumiał i wierzył im, i miał ku temu wystarczający powód. Gdy zakończyli swoje opowiadanie, szczerze wyjawili im, co wiedział o fiolce.

- Byłem prawie skończony - powiedział. - Od tygodnia nic nie robiłem, a czego się tknąłem, spalało na panewce. Właśnie wtedy zjawił się ten stary facet i powiedział do mnie i do Tima - Tim to mój współnik - „Chłopaki, jest mała szklana buteleczka z trzema psimi głowami na wieczku. Ukradł mi ją facet nazwiskiem Trenmore. Odbierzecie mu ją, a każdy z was będzie miał w banku po dwa tysiące zielonych!” Oczywiście nie uwierzyliśmy z Timem w tę jego historyjkę o kradzieży. Nie jesteśmy tacy naiwni, ale prawie każdy za dwa patyki wykradłby taki drobiazg. Tym bardziej, że zapewnił nas, że to będzie łatwa robota. Więc jeszcze tej samej nocy spróbowaliśmy, a stary poszedł z nami. Uparł się, by iść, ale później żalowaliśmy, że go wzięliśmy ze sobą. Zamierzaliśmy łomem otworzyć okienko na dachu, ale gdy doszliśmy do pańskiego domu, panie Trenmore, okazało się, że wyłaz był otwarty. Weszliśmy więc do środka, stary narobił przy tym kupę hałasu, ale na szczęście nikt się nie obudził. We frontowej sypialni na górze zauważyliśmy światło latarki. Wślizgnęliśmy się po cichu i zobaczyliśmy jakiegoś faceta, który latarką oświetlał staromodną kasę pancerną, wdzięczną i łatwą zdobycz dla takich fachowców jak my. Więc

wyeliminowaliśmy naszego konkurenta i otworzyliśmy sejf. Było tam trochę śmiecia, ale nie to, o co nam chodziło. Ja i Tim byliśmy zadowoleni z łupu, ale zgadnijcie, co wtedy zrobił ten staruch, który nadał nam całą tę robotę? Spękał i musieliśmy uciekać, zostawiając cały towar na wierzchu!

Tutaj Trenmore spojrział figlarnie na swojego przyjaciela i Drayton znowu się zaczerwienił. Jednak Viola była zbyt pochłonięta opowieścią włamywacza, aby zwrócić na to uwagę.

- To wszystko musiało się zdarzyć, zanim mój brat i pan Drayton utworzyli fiolkę - zauważyła. - Jak to się stało, że...

- Zaraz do tego dojdę, panienko. Nie odnaleźliśmy wtedy fiolki, a stary był zbyt przerażony, żeby jej szukać jeszcze raz tej nocy. Następnego dnia poszedłem tam sam, tylko po to, by rzucić okiem. Okazało się, że frontowe drzwi pańskiego domu, panie Trenmore, były otwarte. Mój Boże, ależ ci ludzie są gościnni - pomyślałem. - Czy chcesz wejść przez dach, czy przez drzwi, nie napotkasz żadnych prze szkód. Więc wszedłem i od razu zauważyłem tę oto buteleczkę na samym środku podłogi. Wydało mi się to dosyć podejrzane, ale wziąłem fiolkę, a potem, jak ostatni dureń, zacząłem przesypywać ten szary proszek na podłodze, zastanawiając się, co też to takiego może być i czy szef będzie chciał go dostać. Mówił, że buteleczka jest pełna szarego pyłu. W następnej chwili pokój zasnuł się mgłą. Potem zorientowałem się, że nie jestem tam, gdzie powinienem być, i niech to diabli - przepraszam, panienko - ale przysięgam, że jeżeli to, przez co przeszedłem, nie spowodowało utraty zmysłów, to już nic nie będzie w stanie tego dokonać.

Wyglądało na to, że prawie dokładnie podążał ich śladem aż do promu przy Market Street. Od tego miejsca jednak jego umiejętność przystosowania się oszczędziła mu powtórzenia ich bardziej bolesnych przygód. Chociaż zaaresztowano go wkrótce po przybyciu, uciekł z łatwością, zalegalizował swoją osobę dzięki „pożyczonemu” guzikowi identyfikacyjnemu, a wkrótce potem gazeta, zwędzona z przygodnej kieszeni, dostarczyła mu danych o czasie. - Trochę mnie to zbiło z

tropu, ale miałem informację, o którą mi chodziło. Gazeta nosiła datę 21 września 2118 roku.

- Dwa wieki - wtrącił Drayton półgłosem.

- Tak jest. 2118! Stary Rip nie jest lepszy od nas, co?

Doszedłszy do siebie po szoku, Bertram postanowił kontynuować swój złodziejski proceder. Stąd naturalnie incydent z wyjściem pożarowym, otwartym oknem i sypialnią hotelową Terence'a Trenmore'a.

- Teraz - zakończył - wszystko już wiecie! Ale do diabła - przepraszam, panienko - intryguje mnie jedno: Co to było za szare paskudztwo, które zostawiliście na podłodze?

- Powiem ci - odpowiedział ponuro Drayton. - To był Pył Ze Skał Czyścica, zebrany przez wielkiego Dantego i umieszczony w tej kryształowej fiołce przez pewnego florenckiego arystokratę. Czy jeszcze coś chciałbyś wiedzieć?

- Chyba już nie! - Oczy włamywacza niemal wylazły z orbit. - Jezu, gdybym wiedział o tym proszku z Czyścica, nie tknąłbym się tej roboty za nic w świecie!

- Nie daj się przestraszyć panu Draytonowi - zaśmiała się Viola. - Wie niewiele więcej niż ty, czym jest, czy był ten proszek. To głupia stara legenda i nawet Terry naprawdę w nią nie wierzy.

Irlandczyk z powątpiewaniem potrząsnął głową.

- Jeśli to nie jest to, w takim razie co to jest, moja droga Violu?

Drayton zerwał się na nogi.

- Jeżeli będziemy ciągle mówić i myśleć o pyłe, wszyscy skończymy w domu wariatów! Jesteśmy w krytycznej sytuacji i musimy z niej jakoś wybrnąć. Zanim uwierzę, że jest rok 2118, ktoś musi mi wytłumaczyć, jakim cudem hotel Belleclaire pozostał przez dwa wieki hotelem Belleclaire, i nawet guziki przy liberjach gońców hotelowych są wciąż takie same? Ale to może poczekać. Tymczasem proponuję iść spać. Może ten z nas - uśmiechnął się ponuro - komu śni się ten koszmar, obudzi się jutro jak gdyby nigdy nic i w ten sposób wydostaniemy się stąd!

## Rozdział XI. Spisek i kontrspisek.

Rano spali długo, a spaliby jeszcze dłużej, gdyby Trenmore'a nie obudził krótko po dziewiątej dzwonek telefonu. Po odłożeniu słuchawki obudził najpierw Violę, a potem Draytona i Bertrama.

- Zaraz nas odwiedzi ten dżentelmen o lisiej twarzy, ten, którego nazywają Najzdolniejszym. Czy moglibyście się ubrać? Ta wizyta bez wątpienia dotyczy nas wszystkich.

Pięć minut później Terence wszedł do salonu, gdzie oczekiwał go już ich znajomy o wąskich ustach i chytrym spojrzeniu.

- Wspaniały ranek - wesoło pozdrowił go Irlandczyk. Po kilku godzinach odpoczynku znowu był sobą, jak zwykle optymistyczny i niefrasobliwy, pewny, że A.D. 2118 jest równie dobrym rokiem jak którykolwiek inny. - Proszę usiąść - zaproponował. - A może zje pan z naszą czwórką śniadanie?

- Nie, dziękuję, już jadłem. Zajmę państwu tylko parę minut. Czy dobrze zrozumiałem, że jest was czworo? Powiedziano mi tylko o trzech osobach.

Krzaczaste brwi Trenmore'a uniosły się z dziecinnym zdziwieniem.

- Czworo - potwierdził po prostu. - Ja i moja siostra, mój przyjaciel Boby Drayton i pan Arnold Bertram. O, właśnie nadchodzą. Violu, kochanie, to jest pan Najzdolniejszy, a...

Mężczyzna przerwał mu, unosząc rękę.

- Nie „pan” Najzdolniejszy, jestem tylko Stopniem Najwyższym - jak na razie. Bardzo mi miło panią poznać... Violu. Cóż to za czarujący tytuł! Czy mogę wiedzieć, co on oznacza w pani ojczystym mieście?

Trenmore zasepił się i podrapał w głowę.

- W tym tempie nigdy do niczego nie dojdziemy! - zauważył. Z pomocą przyszedł mu Drayton.

- Będzie lepiej, proszę pana, jeżeli zaczniemy od wyjaśnienia pewnych zwyczajów, które są absolutnie odmienne tu i tam, skąd pochodzimy. „Viola” to imię. Do pani należy się zwracać „Panno Trenmore”. Ja nazywam się Robert Drayton, ten

dżentelmen to pan Terence Trenmore, a to jest pan Arnold Bertram.

Najzdolniejszy skłonił się, ale wciąż miał zdziwioną minę.

- Muszę przyznać, że nie rozumiem znaczenia waszych tytułów i wydają mi się one trochę przydługie. Jednak jak słusznie stwierdziliście, najlepiej będzie pozostawić dokładniejsze wyjaśnienia na później. Nie ma teraz na to czasu. Proszę mi wybaczyć, że wyciągnąłem państwa tak wcześniej z łóżek, ale jest coś, o czym powinniście wiedzieć, zanim Jej Urodziwość wplącze was w kłopoty. A może się tu lada moment zjawić. Czy mogę prosić państwa o chwilę uwagi?

Mężczyzna czynił wyraźne wysiłki, aby okazać swoją przychylność, ale zachowywał się protekcjonalnie.

- To bardzo ładnie z pana strony - odezwała się Viola po raz pierwszy od chwili przyjścia gościa - że chce nam pan pomóc, panie... Jak chciałby pan, żebyśmy się do pana zwracali?

- Po prostu Najzdolniejszy, dla przyjaciół Zdolny - dodał z wymuszonym uśmiechem na wąskich ustach. - Myślę, że moja obecność tutaj, jak i jej powód, są wystarczającym dowodem na to, że uważam was za przyjaciół. Cieszę się, panie... Trenmore, że przystąpi pan do konkursu na Najsilniejszego. W tym przypadku Prześliczna wie, co robi. Może się pan nie bać przegranej. Ale jeśli chodzi o panią, panno Trenmore, to całkiem inna rzecz. Czy wie pani coś o obowiązkach, związanych z pozycją Służącej Doskonałej?

- Nie mamy pojęcia - wtrącił się Trenmore - o waszym systemie rządów i obyczajów. O wszystkich tych sprawach wiemy tyle co dzieci.

Mężczyzna spojrział na niego niedowierzająco spod przymrużonych powiek.

- To się wydaje nieprawdopodobne - mruknął. - Ale to, że w ogóle tu się znaleźliście, jest wręcz niesłychane. Tym niemniej, wierzę wam na słowo. Jednak musieliście przynajmniej zauważyć, że wszyscy nasi obywatele noszą znaczki identyfikacyjne z numerami?

- Owszem - przytaknął Trenmore ponuro. - Widzę również, że pan ma czerwony guzik bez żadnego numeru.

- Och, ja jestem Stopniem Najwyższym - mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale - My, oficjaliści, podobnie jak Urzędnicy, mamy odrębne insygnia, ale pospółstwo, które nie ma tytułów, a jedynie numery, musi przestrzegać przepisów. W przeciwnym razie mielibyśmy anarchię zamiast praworządności. Z tego, co powiedział mi pan Łaska, domyślam się, że uznaliście karę za wasze przewinienie za zbyt surową. Nasze społeczeństwo jednak musi być trzymane krótko, w przeciwnym razie ludzie ci rzuciliby się na nas jak wilki. Zresztą mają szansę stać się tymi, którzy ustanawiają prawo. Niestety większość z nich jest zbyt leniwa lub zdemoralizowana, aby stawać do zawodów. Teraz parę słów o tych zawodach albo - jak brzmi ich pełna nazwa - Egzaminach do Służby Państwowej, przeprowadzanych według idealnie uczciwych zasad. Jest to system równie demokratyczny, co naturalny i logiczny. Stopnie Najwyższe są wybierane spośród ludzi o odpowiednich predyspozycjach i najwyższych zaletach. I tak nasza prawnicza brać jest kierowana przez Najzdolniejszego - czyli obecnie przeze mnie. Najbystrzejszy dowodzi siłami policyjnymi. Najznakomitszy Śpiewak jest odpowiedzialny za muzykę państwową. I tak kolejno, na tej samej zasadzie, obsadzone są pozostałe stanowiska. Wszyscy oni podlegają Najśliczniejszej Kobiecie, odpowiedzialnej przed Urzędem Penna. Jej małżonkiem - zgodnie z jej wolą - może zostać Najzdolniejszy lub Najsilniejszy z mężczyzn. System ten jest naprawdę idealny i ktokolwiek go zapoczątkował zasługuje na gorące dzięki wszystkich prawych filadelfijczyków. Pan - zwrócił się do Draytona - jeżeli wygra pan jako Najszybszy, będzie miał kontrolę nad Urzędem Posłańców Miejskich.

- A Najlepsza Służąca? - zapytała Viola, uśmiechając się mimo woli z tego dziwnego rozdziału stanowisk.

- No tak, doszliśmy do sprzątanania. Służąca Doskonała jest formalnie przełożoną sprzątaczek i zamiataaczy ulic. W praktyce oczekuje się po niej, że będzie brała bardzo czynny i osobisty udział w zajęciach gospodarskich na Ratuszu,



podczas gdy praca administracyjna w rzeczywistości przypada departamentowi policji. Kiedy dodam, że etat ten jest obecnie nie obsadzony, a ostatnia osoba, piastująca tę godność, umarła jakiś czas temu z przepracowania, zgodzi się pani ze mną, panno Trenmore, że nie nadaje się pani na takie stanowisko. Pani pozycja społeczna byłaby nie do zniesienia. Inne Stopnie Najwyższe ignorowałyby panią, a jeżeli chodzi o pospolite Numery, nigdy bym nawet nie dopuścił myśli o tym, aby stała się pani częścią tego niewychowanego motłochu.

A przecież, pomyślał Drayton, z tego, co mówi, wynika, że sam był kiedyś jednym z Numerów!

- Chciałbym przedstawić państwu - kontynuował Stopień Najwyższy - zupełnie inną i bardziej atrakcyjną propozycję.

- To znaczy jaką?

Najzdolniejszy nachylił się, a jego oczy stały się jeszcze przebieglejsze.

- Proponuję, aby pani, panno Trenmore, zastąpiła samą Najśliczniejszą! To będzie zupełnie łatwe. Zawdzięcza swoje stanowisko... chciałem powiedzieć, nie ma obawy, aby pani przegrała. A tamta kobieta niech idzie do Lochu! Jej uroda dawno już przeminęła. Ale pani... Posłuchajcie tylko: Prześliczna porzuciła mnie dla pana, panie Trenmore, ponieważ jest tak pewna siebie, że uwierzyła, iż jest niezastąpiona. A przecież jest taka jak wszystkie kobiety: jej umiejętności polityczne są ograniczone przez jej własną ambicję i próżność. Flirtuje od lat, odkładając wybór małżonka z tego czy innego powodu, ale w rzeczywistości dlatego, że lubi swoją niezależność i woli zachować nieograniczoną władzę tylko dla siebie. Swego czasu była wielką faworytą Jego Eksceleńcji i dlatego mniej lub bardziej, ale ulegali jej nawet Urzędnicy Penna. Obecnie jej jedynym przyjacielem pozostał pan Cnota, a i jego zaczyna już to męczyć. Nie zdając sobie z tego sprawy, Najśliczniejsza od trzech lat nadużywa cierpliwości Jego Eksceleńcji. Wprawdzie sześć miesięcy temu oświadczyła mi się, co dowodzi, że nie jest jeszcze zupełnie ślepa, ale ja nie zamierzałem nigdy dotrzymać tego zobowiązania. Byłem jednakże zrozpaczony, bo odkryłem, że nie ma żadnej odpowiedniej kandydatki,

która mogłaby zająć jej miejsce. Ostatniej nocy, kiedy spojrzałem w stronę Lochu, ledwo wierzyłem własnym oczom, panno Trenmore. Była pani zbyt piękna, by to mogło być prawdziwe! Naprawdę! Gdyby Najśliczniejszą o tym pomyślała, wiedziałaby, że jej dni są policzone. Pani przyjaciele, panno Trenmore, są moimi przyjaciółmi i jeżeli pani posłucha mojej rady, razem będziemy rządzili całym tym miastem - o, tak!

Uczynił gest miażdżenia, mający sugerować krańcowe okrucieństwo i tyranie przekraczające wszystko, z czym Drayton zetknął się w dotychczasowym życiu.

- Urzędnicy Penna dadzą pani wolną rękę - ciągnął mężczyzna. - Mogę o tym zapewnić jak żaden inny człowiek wśród żyjących, no może poza jednym. Jestem... Ale teraz mniejsza o to. Czy mogę się uważać za waszego przyjaciela?

Viola przypatrywała mu się z zaciekawieniem.

- Powiedział pan, że ta Najśliczniejsza może wybierać małżonka jedynie pomiędzy Najsilniejszym i Najzdolniejszym? A przecież jednym z nich będzie mój brat Terry!

- Ale ja nie jestem pani bratem - powiedział znacząco Najzdolniejszy.

Drayton poderwał się, a Trenmore, który wstał już wcześniej, zrobił gwałtowny ruch do przodu. Lecz ku ich zdumieniu Viola uspokoiła ich gestem dłoni i uśmiechnęła się bardzo słodko do swego konkurenta o lisiej twarzy i zimnym spojrzeniu.

- Dziękujemy panu i akceptujemy pańską propozycję. Jeżeli jest pan tak pewny, że wygram w tym dziwnym konkursie... Zastanawiam się tylko, co robicie z ludźmi, którzy utracą swoje wysokie stanowiska? Przypuszczam, że zostają znowu Numerami?

Mężczyzna zaśmiał się.

- Nigdy by nie zechcieli. A Urzędnicy Penna nie zgodziliby się na to. Ten, kto przegra w zawodach, obojętne czy jest jedynie kandydatem, czy też wcześniej sprawował funkcję, idzie do Lochu!

- Jezu! - mruknął Bertram do siebie. Następnie dodał głośno: - Proszę zaprzeczyć, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że te najwyższe stanowiska nie cieszą się szczególną popularnością!

- Rzeczywiście, nie mamy wielu chętnych - potwierdził Najzdolniejszy. - Ale nie martwimy się z tego powodu. Tym łatwiej przepowiedzieć mi wasze zwycięstwo. A teraz najlepiej będzie, jeżeli odejdę, zanim zużyta Prześliczna przyłapie mnie tutaj. Gotowa jeszcze pokrzyżować nasze plany! Czy mogę na państwu polegać?

Spoglądał po kolei na każdego z nich przebiegłym i przenikliwym wzrokiem.

- Myślę, że tak - powiedziała Viola, uśmiechając się przy tym do niego tak, że Draytona aż coś skreśliło w środku. Jaka ukryta cecha charakteru tej szczerzej, niewinnej, dziecięcej natury wydoszła się teraz na powierzchnię? Czy Viola zdawała sobie sprawę ze znaczenia tego, na co tak słodko się zgadzała? Jej brat stał ponury i milczący, z oczami utkwionymi w podłódze. A Najzdolniejszy, odkrywszy swoje plany i zyskawszy dla nich poparcie, wyciągnął szczupłą, zimną dłoń do dziewczyny.

- Jestem szczęśliwy - oświadczył - że spotkałem umysł bystry i zdolny do podejmowania decyzji połączony z taką urodą!

Viola przyjęła dłoń i niewyszukany komplement z równą serdecznością.

- Czy możemy mieć nadzieję, że wkrótce znów pana ujrzymy?

- Najwcześniej, jak tylko okoliczności na to pozwolą. Nie dajcie Prześlicznej domyślić się, co w trawie piszczy. Pozwólcie jej sądzić, że wszystko idzie zgodnie z jej zamierzeniami. Możecie być pewni, że zadbam o was!

I Stopień Najwyższy opuścił ich, pozostawiając wiszącą w powietrzu burzę, która rozszalała się natychmiast, jak tylko drzwi się za nim zamknęły.

- Violu - krzyknął jej brat, a złość sprawiła, że w jego tonie nie było ani śladu pieszczotliwości - czyś ty oszalała?

Zamierzasz uczynić tego typu moim szwagrem? Czy nie widzisz, że...

- Chwileczkę, Terry! Jaki jest tytuł i stanowisko tego pana o sympatycznej twarzy, który dopiero co stąd wyszedł?

- Najzdolniejszy, oczywiście. To prawdziwy szczur o przebiegłych oczach! I powiedział, że stoi na czele prawników, chyba na ich zgubę, przepraszam cię najmocniej, Bobby, mój chłopcze!

- No właśnie! A czy nie ma wśród nas nikogo, kto by się lepiej nadawał na ten urząd niż ten, który dopiero co tu był? Sam mi mówiłeś, Terry, że jest ktoś, kto jest najmądrzejszym młodzieńcem, jakiego kiedykolwiek spotkałeś, i księciem wszystkich prawników? - Uśmiechnęła się figlarnie do Draytona. - Czemu - ciągnęła - tylko Najśliczniejszą ma w środę spotkać niespodzianka? Niech pan Drayton zmierzy się o stanowisko, do którego jest najlepiej predystynowany. Jestem przekonana, że ten ich Najzdolniejszy z nim nie wygra.

- Mogę spróbować - zaczął Drayton. Naraz, gdy jej propozycja w pełni do niego dotarła, przerwał, patrząc niedowierzająco na siostrę Trenmore'a.

Chociaż delikatny rumieniec okrył jej policzki, wytrzymała jego spojrzenie.

- A czemu nie, panie Drayton? Czy oddałby mnie pan w ręce obecnie piastującego ten urząd? Proszę pana jedynie o ochronę, którą mi zapewnią zaręczyny z panem do czasu, gdy nie uciekniemy od tych niemiłych ludzi. Czyż nie jest pan najbliższym przyjacielem mojego brata, czy ja nie mogę również panu zaufać?

- Na Boga, oczywiście, że może pani, panno Violu - powiedział po prostu Drayton, ale z całą powagą kogoś, kto składa święte śluby. - Terry, czy zgadzasz się na to?

Trenmore skinął głową.

- Bobby, z pewnością wolę ciebie jako ewentualnego szwagra od tamtego kandydata. I nie wątpię, że opłaca się nieco potrudzić, aby ujrzeć minę tego szczwanego lisa, kiedy pozbawisz go jego cennego stanowiska!

- Jeżeli go pozbawię - zauważył Drayton.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Masz więcej rozumu w pięcie niż on w głowie. Ale, ale Bertram, człowieku, co to za zegarek? Jest to niewątpliwie piękny czasomierz, lecz ostatniej nocy na pewno go nie miałeś!

- Mylisz się. -Najświeższy członek ich grupki odwrócił się, jednocześnie wsuwając zegarek do kieszeni.

- Nieprawda! Pokaż mi go. - Irlandczyk wyciągnął dłoń stanowczym gestem.

Chociaż z markotną miną, mały, okrągły człowieczek posłuchał rozkazu. Był to, jak powiedział Trenmore piękny zegarek: niezwykle płaski, miał wygrawerowane „S.N. dla Z., 16 czerwca 2114”. Do zegarka był przymocowany gładki łańcuszek, zakończony oprawionym w platynę rubinem niezwyklej wielkości i blasku. Trenmore uniósł surowy wzrok.

- Kto to jest „Z”? Zresztą, mniejsza o to, chyba już wiem! Pamiętam, jak otarłeś się o niego, idąc otworzyć mu drzwi.

- A jeżeli nawet, no to co? - mruknął Bertram. - Przecież ten Najzdolniejszy nie jest waszym prawdziwym przyjacielem?

Ku zdumieniu Draytona Viola wybuchnęła śmiechem.

- Panie Włamywaczu, powinien pan przynajmniej raz na dwa tysiące lat zmieniać swoje przyzwyczajenia! Gdyby pan, tak jak my, zajrzał do tego ich Lochu, nie podwędziłby pan nic człowiekowi, który może pana do niego wtrącić. Terry, co by było, gdyby pan Bertram stanął w szranki z Najbystrzejszym? Udowodnił, że jest bystry, a na czele policji byłby...

Reszta zdania została zagłuszona głośnym wybuchem radości.

- Masz rację, siostrzyczko! To jest właśnie stanowisko dla niego. Bertram, mój grubasku, czy powstrzymałoby cię to od takich wybryków, jak uważasz?

Bertram uśmiechnął się nieśmiało.

- To chyba nie jest taki zły pomysł - zgodził się. - Mówią, że w policji panuje straszne łapówkarstwo. Myślę, że to byłoby nawet zabawne, rozkazywać gromadzie gliniarzy! Jestem za, panie Trenmore!

## Rozdział XII. Nowe miasto.

W ciągu dnia czterech mimowolnych podróżników w Czasie poznało bliżej miasto, jego dziwne zwyczaje i jeszcze dziwniejsze prawa, tak, że wieczorem wiedzieli znacznie więcej niż podczas porannej wizyty Najzdolniejszego. Najśliczniejsza dotrzymała danego słowa, a nawet uczyniła więcej, niż się spodziewali. Zgodnie z obietnicą przyjechała po nich samochodem, uprzejmie przyjęła ich raczej mętne tłumaczenia na temat obecności Bertrama i nalegała na natychmiastowy wyjazd po zakupy, aby zaspokoić ich najpilniejsze potrzeby jeśli chodzi o odzież i przybory toaletowe.

Przed opuszczeniem hotelu obdarzyła każdego ze swych protegowanych gładkim, zielonym guzikiem. Oznacza on - wyjaśniła - że ten, kto go nosi, należy do najbliższej rodziny Stopnia Najwyższego. Poprosiła „Cnotkę”, aby zrobił wyjątek dla nich i w ten sposób zapewnił bezpieczeństwo jej tymczasowym podopiecznym. Podobne guziki, ale barwy purpurowej nosili członkowie rodzin Sług Penna. Zapewniała, że posiadacze guzików w tych dwóch kolorach nigdy nie mogli być niepokojeni przez policję, chyba że na wyraźne polecenie jednego ze Sług. Początkowo cała czwórka wzięła to za rodzaj immunitetu, który traciło się tylko w razie popełnienia jakiegoś przestępstwa, jednak z czasem nie byli wcale pewni, czy właściwie zrozumieli wyjaśnienia Najśliczniejszej.

Podczas tej krótkiej wyprawy Drayton odniósł dziwne wrażenie, że wszystko, co znajdowało się wokół, było mu dobrze znane, mimo pewnych różnic, których jednak bardziej się domyślał, niż dostrzegał, tak głęboko były ukryte. Sklepy - a przynajmniej większość z nich - były takie same. Ulice również były takie same. Ludzie byli... niezupełnie tacy sami. I kobiety i mężczyźni fizycznie wyglądali dużo gorzej niż ci, których pamiętał. Również wyraz ich oczu był inny.

Zapełniające ulice bezimienne Numery z żółtymi plakietkami miały miny winowajców lub były przygnębione i apatyczne, obojętnie oczekujące tego, co może im przynieść przyszłość.

Najśliczniejszej i jej towarzyszom wszędzie okazywano najgłębszy, niemal pokorny szacunek. Ich opiekunka była najwidoczniej dobrze znana w całym mieście.

Zanim zaczęli załatwiać sprawunki, Najśliczniejsza zaprosiła ich na obiad i tak dobrze grała rolę szczodrej gospodyni, że wszyscy, z wyjątkiem może pana Bertrama, czuli się zawstydzeni swoim sekretnym układem z jej porzuconym narzeczoną - Najzdolniejszym.

Jednak później Najśliczniejsza zrobiła coś, co całkowicie uspokoiło sumienie Violi, mianowicie w jednym z większych domów towarowych nalegała, żeby kupić dla dziewczyny duży zapas fartuszków w kratkę i gładkich, praktycznych podomek.

- Będą ci potrzebne, moja droga - zapewniała z afektacją. - Nie sprzeciwiaj się, proszę! Jeżeli chcesz się ubiegać o pozycję Służącej Doskonałej, będziesz potrzebowała przy najmniej po cztery tuziny każdego rodzaju!

Viola, bardziej rozbawiona niż rozgniewana, pozwoliła kobiecie postawić na swoim.

- Spróbuj sobie mnie wyobrazić - mruknęła tylko do Draytona-małą, biedną, jak sprzątam całe wnętrze Świątyni! Czyż ona nie jest kochana?

Jak się zorientowali, wszystkie wydatki obciążały rachunek tej wspaniałomyślnej instytucji - „Służby Penna”. Trenmore, który miał w zwyczaju nosić zawsze przy sobie dosyć pokaźną ilość pieniędzy, chciał koniecznie płacić za kupowane rzeczy. Kobieta jednak wyśmiała ten pomysł.

- Wkrótce odzwyczaisz się od płacenia za cokolwiek - oświadczyła. - Ale powiedz mi, skąd masz pieniądze? Słyszałam, jak mówiliście, że dopiero co przyjechaliście do miasta. Czy te pieniądze przywieźliście ze sobą? Mogę je zobaczyć?

Trenmore podał jej kilka srebrnych monet i banknot dziesięciodolarowy.

- Ojej, jakie dziwne medale! A jakie piękne! Czy mógłbyś dać mi je na pamiątkę?

- Ależ oczywiście - odpowiedział poważnie Trenmore. Mimo że Najśliczniejsza dokładała wszelkich starań, aby sprawiać mu przyjemność, towarzystwo tej kobiety i jej otwarte oddanie stawały mu się coraz przykrzejsze. Poskarżył się nawet Draytonowi, że nie podobają mu się jej zielone oczy!

- Przypuszczam, że wasze monety są inne? - zagadnął.

- Nie używamy monet - tak to nazwałś? - jako środka płatniczego. Numery dostają certyfikaty pracy, podobne do tego twojego papierka, tylko że nie są zielono-żółte, a czerwone, z wypisaną na czarno liczbą godzin. Mogą wydawać je na co chcą. Ale Słudzy Penna i my, Stopnie Najwyższe, obciążamy wszystkimi kosztami Służbę.

- To znaczy, że płaci miasto?

- Ależ nie. Przecież sklepy muszą mieć swój udział w utrzymaniu władz. Jest to jedyne sprawiedliwe rozwiązanie. Obciążamy wszystkich ludzi jednakowo: kupcy i właściciele oddają nam towary, a robotnicy - swoją pracę, zgodnie z naszymi potrzebami. Słudzy Penna nie czynią wyjątków.

Powiedziała to tonem mentorskim, ale Drayton zauważył:

- Musi to być dosyć uciążliwe dla kupca czy robotnika, którego towary czy pracę specjalnie cenicie, szczególnie, gdy jest on człowiekiem niezbyt bogatym lub obarczonym liczną rodziną.

- To ich trzyma w ryzach - odpowiedziała, a okrutny grymas wykrzywił jej wąskie, czerwone usta.

- Ale - ciągnął Drayton, uparcie powracając do sprawy pieniędzy - jeżeli wasza waluta nie jest oparta na złocie czy srebrze, w jaki sposób zachowuje stabilność?

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Służba Penna ustala wartość różnych rodzajów pracy. Na przykład, jeżeli rachmistrz i zamiatacz ulic przepracują każdy po godzinie, rachmistrz otrzymuje certyfikat na dziesięć godzin, a zamiatacz - na pół godziny. Myślę, że można to nazwać systemem opartym na czasie pracy.

- I jej wartość nie jest ustalana przez pracodawców ani pracowników?

Kobieta szeroko otworzyła oczy.



- Pozwolić Numerom określać, ile jest warta ludzka praca? Któż słyszał coś podobnego! Przecież zniszczyliby się nawzajem.

- Przypuszczam, że mogą przynajmniej pracować lub nic nie robić, jeśli nie mają ochoty?

- Oczywiście! Mają pełną swobodę pod każdym względem. Wszystko też należy do nich, z wyjątkiem Świątyni i prywatnych rezydencji urzędników.

Drayton czuł się zupełnie zagubiony. Czy była to niespotykana tyrania - jak niejasno podejrzewał - czy też najbardziej wolny i praworządny kraj?

- Proszę mi wybaczyć - przeprosił - ale ciągle czegoś nie rozumiem. W miejsce dolara wprowadziliście roboczogodzinę, a następnie ustaliliście określony schemat wartości pracy. Ale przecież praca dwóch ludzi, wykonujących nawet tę samą czynność, na ogół nie ma tej samej wartości. Jak...

- Chwileczkę - przerwała zniecierpliwiona. - Gdyby był pan jednym z nas, zrozumiałby pan to lepiej. Słudzy Penna nie posiadają praktycznie rzecz biorąc niczego, ale zarządzają wszystkim. Są więc całkowicie bezstronni. Praca jednego człowieka jest równie dobra jak drugiego. Każdy, kto odmówi przyjęcia certyfikatu, miałby do czynienia ze Sługami.

- A jednak sami Słudzy nie płacą nigdy za nic, a biorą, co chcą w towarach lub pracy. Zgodnie z tym, co powiedziałaś, cała wasza ludność to zwykli niewolnicy, a ich własność majątkowa to czyste kpiny! Kim są Słudzy Penna, że posiadają taką władzę?

Twardo spojrzała na niego swoimi zielonymi oczami.

- Władcami Miasta - odpowiedziała krótko. - Nie jest teraz odpowiedni czas ani miejsce, aby o tym dyskutować. Poczekajcie do jutra. Wtedy sami zostaniecie, mam nadzieję, Stopniami Najwyższymi i jako tacy uzyskacie wszystkie potrzebne informacje.

Były prawnik przyjął potulnie ostrą odprawę, ale odważył się na jeszcze jedno pytanie.

- Czy Łaska i sędzia Cnota są Sługami Penna?

- Zarówno pan Łaska, jak i pan Cnota, należą do Wyższego Zakonu. Byłoby bardzo dobrze, Drayton, gdybyś nie wchodził im w drogę.

Prawnik nie zrobił już żadnej uwagi, ale postanowił wykorzystać każdą okazję, aby poznać prawdziwą istotę tego szczególnego systemu oraz dowiedzieć się, jak godzą się na niego tak zwane Numery. Czy we wszystkich innych miastach było tak samo? Widocznie tak, pomyślał, bo w przeciwnym razie nikt nie chciałby tutaj żyć.

Sama Najśliczniejsza wydawała się całkowicie nie zainteresowana przeszłością swoich protegowanych. Nawet dwa razy przerwała Trenmore'owi, gdy z własnej woli chciał udzielić tego rodzaju informacji.

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy - stwierdziła. - Nawet nam, Stopniom Najwyższym, nie pozwalają uczyć się o innych miejscach i zwyczajach, nie wolno nam nawet myśleć, że takie istnieją!

Usłyszawszy tak absurdalne stwierdzenie, Bertram, który towarzyszył im dotąd ze znużoną miną, ożywił się.

- Czy chce pani powiedzieć, że wy tutaj nigdy nie podróżujecie?

Przeraziło ją to tak, jakby zasugerował coś wyjątkowo nieprzyzwoitego.

- Wyjeżdżać z Filadelfii? Na szczęście nie! Poza tym, zapewniam was, że na coś tak oburzającego nikt by nie pozwolił.

- Ale przecież musicie mieć jakąś łączność ze światem zewnętrznym? - zapytała Viola. - Widzieliśmy pociągi i pasażerów na stacji. A skąd pochodzą te wszystkie towary, które są w waszych sklepach?

- Moja droga, mamy, oczywiście, wiele lokalnych pociągów, ale handel między stanami jest wyłącznie w rękach Służby Penna. Nasi robotnicy wytwarzają pewne produkty, nasi rolnicy hodują zwierzęta i rośliny. To wszystko przekazywane jest Służbie, która zatrzymuje sobie część na własne potrzeby, resztę zaś wymienia się z zagranicą. Zajmują się tym tajni

agenci. Nigdy nie zaprzętałam sobie tym głowy, gdyż to nie należy do moich kompetencji.

- I jak długo to już trwa? - nie ustępował Drayton.

- Mój drogi panie, czemu zadaje pan takie nedorzeczne pytania? Czy nie może pan zrozumieć, że my, mieszkańcy Filadelfii, nie interesujemy się ani przeszłością, ani niczym, co znajduje się poza granicami miasta? Prawo nakazuje, aby każdy obywatel żył swoim własnym życiem. Kto robi coś ponad to, łamie przepisy.

- Chce nam pani powiedzieć - wysapał Drayton - że nie wiecie nic o historii miasta?

- Oczywiście, że nie. Większość ludzi, usłyszawszy takie pytanie, nie zrozumiałaby nawet, o co wam chodzi. Otrzymałam bardzo staranne wykształcenie, moim nauczycielem był jeden ze Sług Penna - powiedziała to takim tonem, jakby się chwaliła, że została wychowana przez samego króla angielskiego. - Myślę, że potrafię prowadzić inteligentną rozmowę na każdy rozsądny temat, ale nawet ja nigdy nie otrzymałam tak zbędnych wiadomości, jak te, o które mnie pytacie.

- W takim razie... czego uczą się dzieci w szkole?

- Potrzebnych i praktycznych rzeczy: gotowania, stolarki, tkactwa - wszystkich pożytecznych rzemiosł. Jaka korzyść mogłaby przynieść nauka czegoś więcej? Spowodowałoby to tylko frustrację, a już są wystarczająco niezadowoleni i niewdzięczni!

- A więc to tak - westchnął Trenmore. - Ktokolwiek to wymyślił, z pewnością osiągnął kolejny stopień rządów autokratycznych.

Najśliczniejsza pokiwała nieco filuternie głową.

- Słuchaj, mój olbrzymie - zganiała go. - Niezupełnie cię rozumiem, ale uważaj, co mówisz. Zbyt cię lubię i nie chcę patrzeć, jak będziesz umierał! Służba Penna jest święta. Nigdy nie waż się jej krytykować, nawet jeśli jesteś przekonany, że przebywasz sam lub w najbardziej zaufanym towarzystwie. Słudzy Penna mają milion oczu, milion uszu i są wszędzie. A teraz pozwólcie, że was odwiozę z powrotem do Belleclaire.

Pojutrze zostaniecie bardziej odpowiednio zakwaterowani, zgodnie z waszą nową pozycją. Jednak dzisiaj musicie jeszcze najlepiej jak potraficie znieść niewygody i skromne warunki.

Wspomniane „niewygody i skromne warunki” wydawały się tym nieoświeconym wędrowcom z innego wieku pełnym luksusem. Byli bardzo zadowoleni, że mogli spędzić jeszcze jeden wieczór tylko ze sobą. Wyglądało na to, że Najśliczniejsza miała wziąć udział w jakiejś ważnej imprezie publicznej, na którą nie mogła ich zabrać, dopóki nie zdobędą zwycięskich laurów w zbliżających się zawodach.

- Nikt się tutaj nie liczy - powiedziała - z wyjątkiem samych Sług, Stopni Najwyższych i ich rodzin. Mówią, że jest nas tylko trzysta czy czterysta osób, ale jakoś udaje nam się organizować życie towarzyskie. Mogę wam już dziś obiecać szalony karnawał. A teraz, proszę, nie opuszczajcie hotelu.

Trenmore zasepił się.

- Czemu nie? - zapytał. Miał skryty zamiar odwiedzić pewien dom przy Walnut Street. Wiedział, oczywiście, że niemożliwe było, aby dom nic się nie zmienił, a Pył wciąż leżał na podłodze biblioteki, ale chciał przynajmniej rzucić okiem.

- Ponieważ odpowiadam za wasze pojawienie się na jutrzejszych zawodach. Nie czujcie się urażeni. Gdyby cokolwiek wam się przytrafiło, nie tylko wielce by mnie to zasmuciło, ale również mogłoby mi sprawić poważne kłopoty. Zawody odbędą się w Świątyni jutro, w samo południe. Przyjadę po was wcześniej i przypilnuję, żeby wszystko przebiegło, jak należy. Nie masz pojęcia, jaka wspaniała przyszłość cię czeka, mój olbrzymie!

- Czyżby? - mruknął Trenmore, stojąc z innymi w holu i obserwując, jak odchodziła. - Pani Zielonooka, to panią czeka prawdziwa niespodzianka, i chociaż nie lubię, gdy kobiety mają jakieś kłopoty, to wydaje mi się, że zasłużyłaś sobie na to. Poza tym nie mógłbym pozwolić, żeby moja mała siostra Viola stała się twoją niewolnicą. Tak sobie przecież to zaplanowałaś albo nie umiem czytać w tych twoich zielonych oczach!

- Co ty tam mruczysz, Terry? - zapytał Drayton.

- Błogosławie jedynie tę kobietę o dobrym sercu, Bobby. Bertram, a ty gdzie się wybierasz? Słyszałeś przecież, jak pani mówiła, że wszyscy mamy pozostać w hotelu?

- Szefie, myślę, że mnie to nie dotyczy. Ta lala nie poręczyła za mnie i nie przysporzę jej kłopotów swoim wyjściem.

- Tylko uważaj, żebyś sam się nie wpakował w jakąś kabałę - poradził Trenmore i pozwolił mu odejść.

### Rozdział XIII. Służba Penna.

Przez cały dzień byli tak zajęci, że żadne z nich nie znalazło chwili czasu na kupno gazety, tej kopalni najróżniejszych informacji. Wprawdzie teraz, kiedy Drayton pomyślał o tym, nie przypominał sobie, żeby zauważył w mieście choć jednego gazeciarza czy kiosk z prasą. Podzielił się swym spostrzeżeniem z przyjaciółmi, którzy potwierdzili, że oni również nie widzieli nic takiego. A jednak nie ulegało wątpliwości, że prasa była publikowana. Łaska w złotej Świątyni miał gazetę. Bertram zdobył informację o aktualnej dacie dzięki „pożyczonej” popołudniówce.

Drayton podszedł do telefonu i poprosił o przyniesienie najświeższej prasy. Odniósł wrażenie, że na linii wystąpiły jakieś zakłócenia. Chociaż doskonale słyszał panienkę po drugiej stronie słuchawki, wydawało się, że dziewczyna nie rozumie, co do niej mówił. Potem gwałtownie przerwała połączenie i chociaż niecierpliwie naciskał na widełki, w słuchawce panowała cisza.

- Zadzwoń na chłopca hotelowego - zaproponował Trenmore.

Właśnie gdy to mówił, rozległo się pukanie do drzwi. Trenmore otworzył je i ujrzał dystyngowanego pana, który uklonił się grzecznie i wszedł do środka.

- Jestem wicedyrektorem hotelu - wyjaśnił. - Dowiedziałem się, że były jakieś kłopoty z telefonem. Kierownictwo, oczywiście, chciałoby, aby goście Służby Penna mieli najlepszą obsługę. Czego państwo sobie życzyli od tej głupiej telefonistki?

- Nic nadzwyczajnego - uśmiechnął się Drayton.

- Prosiłem o gazetę popołudniową.

- Najmocniej przepraszam, o co?

- O gazetę, gazetę popołudniową - odpowiedział niecierpliwie prawnik.

- Ależ drogi panie! Z pewnością nie miał pan na myśli tak niezwyklej rzeczy! Czy ma pan specjalne zezwolenie?

Zapanowała głęboka cisza.

- Chce nam pan wmówić - wybuchnął Terence - że w tym zapomnianym przez Boga mieście trzeba mieć zezwolenie, aby poznać wydarzenia dnia?

- Wszyscy wiedzą - zaprotestował łagodnie dyrektor - że tylko Słudzy i ich rodziny mogą czytać gazety, drukowane zresztą wyłącznie dla nich.

Trenmore zrobił gwałtowny ruch i Drayton, rzuciwszy okiem na pociemniałą twarz olbrzyma, pospiesznie wypchnął dyrektora na korytarz, zapewnił go, że cofają swoją prośbę i zamknął za nim drzwi.

Nie minęło pięć minut, gdy zapowiedziano ponowną wizytę Najzdolniejszego. Ledwie Drayton zdążył odłożyć słuchawkę, otworzyły się drzwi i wszedł Najzdolniejszy, bardzo blady i z niezadowoloną miną.

- Słuchajcie - zaczął od progu, nie witając się nawet - czy jesteście samobójcami? Jak możecie oczekiwać ochrony, jeżeli bez przerwy łamiecie przepisy, obowiązujące w mieście?

- Cóż jest przyczyną takiego zdenerwowania - zimno zapytał Drayton.

- Zdenerwowanie, jak to nazwałeś, spowodowaliście wy sami. Jak śmiecie próbować wścibiać nos w tajne sprawy Służby Penna?

Drayton potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, co masz na myśli. Odkąd Najślicznieszka przywiozła nas do hotelu, nie wychodziliśmy z apartamentu.

- Być może. Ale próbowaliście przekupić dyrektora, aby dostarczył wam egzemplarz Biuletynu Penna!

Teraz zrozumieli, o co mu chodzi.

- Tylko tyle? - zapytał Trenmore pogardliwie. - Jeżeli chodzi o łapówkę, nie zaproponowaliśmy facetowi ani centa. Czy skarżył się, że próbowaliśmy go przekupić?

- Dał to do zrozumienia. Spotkałem go w drzwiach i, na Boga, dobrze, że tak się stało! Właśnie szedł do Świątyni złożyć na was doniesienie!

- A więc czytanie gazety to ciężkie przestępstwo?

Wciąż z niezadowoloną miną, Najzdolniejszy usiadł w fotelu.

- Potrzebujecie nieco podstawowych wiadomości, inaczej wszyscy za spiskowanie znajdziemy się w lochu. Na początek więc, czy wiecie, że nikt w mieście, poza Sługami Penna i osobami z ich otoczenia, nie ma prawa czytać nic, co zawiera istotniejsze informacje od umieszczanych na znakach drogowych, w broszurach instruktażowych lub spisach telefonicznych? Jedyne książki, jedyne gazety, jedyne rękopisy, które istnieją, są rozpowszechniane tylko i wyłącznie wśród ludzi Świątyni. Tylko Sędzia Najwyższy ma dostęp do ważniejszych dokumentów i książek, chociaż mamy bibliotekę z mniej istotnymi wiadomościami dla urzędników, którzy chcą pogłębiać swoją wiedzę. Co więcej, od chwili osiągnięcia przez Miasto Filadelfia, dzięki dobroczynnemu wpływowi Penna, stanu doskonałości, jego urzędnicy mają za zadanie utrzymanie takiej sytuacji. Za równo postęp, jak i regres, byłyby jednakowo niepożądane. To jest oczywiste i logiczne. Wszystko jest maksymalnie ujednoczone. Zmiana sylaby w wyrazie, szczegółu w ubiorze, architekturze czy urzędzeniu wewnątrz uważana jest za ciężkie przestępstwo. Nikt poza Urzędnikami i ich wysłannikami nie może przekraczać granic miasta. Za mojej pamięci nikt obcy nigdy nie przybył tu z zewnątrz. Jesteście wyjątkami.

- Ale - zapytał zaintrygowany Drayton - w jaki sposób Służba Penna utrzymuje ludność miasta w posłuszeństwie? Pochodzimy z okolic o absolutnie odmiennych obyczajach i nastawieniu społeczeństwa, gdzie niezliczone oddziały uzbrojonych ludzi byłyby potrzebne dla zapewnienia takiego ładu. Wy macie jedynie policję.

Mężczyzna roześmiał się.

- Czują strach silniejszy niż ten przed kulą karabinową. Penn, wszechmocny Penn, nasz ojciec, stoi za swymi urzędnikami i sankcjonuje ich poczynania.

Stopień Najwyższy mówił na pozór z głębokim uszanowaniem, ale w jego tonie wyczuwało się wyraźną kpinę.

- Czy przypominacie sobie - ciągnął - ten wielki Czerwony Dzwon, wiszący pod złotą Kopułą Sprawiedliwości? Kraży takie powiedzenie wśród mieszkańców miasta: „Kiedy rozlegnie się dźwięk dzwonu, zginiemy”. Dzwon nosi nazwę



„Groźby Penna”. Ludzie ślepo wierzą, że jeżeli Urzędnicy zostaną doprowadzeni do ostateczności i uderzą w Dzwon - miasto, ludzie i sama Ziemia zniknie! Sam nie wiem, skąd się wziął ten prze... chciałem powiedzieć ta wiara. Ale jest niezwykle głęboko zakorzeniona i bardzo dla nas wygodna. Czy macie jeszcze jakieś pytania?

- Tylko jedno. W ciągu dnia słyszałem, jak określano Służbę Penna jako nietykalną. Ostatniej nocy sędzia użył zwrotu „te święte mury”. To, co my określamy mianem Ratusza, wy nazywacie Świątynią. Przed chwilą ty sam powiedziałeś „Penn, wszechmocny ojciec”. Czy Służba Penna jest organizacją religijną?

Rozmówca spojrział na nich zdumiony.

- Religijna? Nigdy przedtem nie słyszałem tego słowa. Penn jest ojcem wszystkiego. Numery czczą go i modlą się do niego. Jego łaskawy duch unosi się nad miastem, obojętny wobec naszych codziennych spraw, utrzymując kontakt jedynie ze swymi Sługami. Dzięki jego mądrości dwunastu wielkich Sług Penna jest najwyższą i jedyną władzą - są panami Miasta! Drayton westchnął głęboko.

- Jesteśmy niezwykle zobowiązani za pańską szczerą. W przyszłości będziemy się starali nie sprawiać żadnych kłopotów.

- Mam nadzieję. - Najzdolniejszy wstał i zbierał się do wyjścia. - Wziąłem sobie za punkt honoru pokrzyżowanie planów Najślicniejszej. A propos, gdzie jest wasz towarzysz, ten, którego nazywacie Bertramem?

- Wszedł. Niedługo wróci. Rozważaliśmy, czy nie zaproponować go na Najbystrzejszego - to znaczy, jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Stopień Najwyższy wydawał się zaskoczony tą propozycją, ale po chwili uśmiechnął się dziwnie.

- Ależ oczywiście, nie mam nic przeciwko temu! Życzę wam wszystkim przyjemnego dnia, a przede wszystkim tobie, moja droga pani! Zjawię się pierwszy u twojego boku, kiedy jutro rano przybędziecie do Świątyni.

Wzmianka o Bertramie przypominała o czymś Violi.

- Jeszcze chwileczkę, panie Najzdolniejszy... przepraszam, Najzdolniejszy. Terry, gdzie masz ten zegarek?

- Czyżbym go tu zgubił? - W oczach Najzdolniejszego pojawił się błysk, gdy Trenmore wyciągnął drogi czasomierz.

- Może wypadł ci z kieszeni? - niewinnie zasugerowała Viola.

- Jestem pani tysiącrotnie zobowiązany, panno Trenmore. Ten zegarek podarował mi mój wuj, pan Sędzia Najwyższy. Staruszek nigdy by mi nie wybaczył, gdybym go zgubił.

- Aha, a więc to jest siostrzeniec pana Sędziego Najwyższego  
- mruknęła Viola, kiedy Stopień Najwyższy w końcu wyszedł.  
- Zastanawiam się, czy pokrewieństwo to nie jest właśnie tą kartą, którą chowa w zanadrzu?

- Violu, jeżeli podejrzewasz kolejną tajemnicę, powstrzymaj się z roztrząsaniem jej, dopóki nie ochłonę po tym, czego już się dowiedzieliśmy - zaprotestował Terry. - A teraz lepiej zadzwońmy na kelnera i poprośmy o kolację. Myślę, że jest już na to najwyższa pora!

## Rozdział XIV. Groźba Penna.

Tej nocy Arnold Bertram nie wrócił do hotelu Belleclaire. Na dodatek Cerber znowu zniknął, co niezwykle zirytowało Trenmore'a. Wrzucił fiolkę do kieszeni i potem o niej zapomniał. Teraz buteleczki nie było; albo zgubił ją na ulicy, albo - co bardziej prawdopodobne - znowu została skonfiskowana przez ich pulchnego przyjaciela włamywacza, mającego taką łatwość przystosowywania się do każdych warunków.

Nadszedł ranek, a Bertrama wciąż nie było. Drayton ubrał się pierwszy i czekał już w salonie, kiedy pojawili się pozostali. Po chwili ciszy rozległ się wesoły chichot Trenmore'a i piskliwy śmiech Violi.

- Ależ z was głuptasy! - krzyknęła. - Założyliście to samo, co wczoraj! Nawet nie oddaliście ubrań do prasowania! Terry, twoje spodnie wyglądają, jakbyś w nich spał - ani śladu kantów! Co sobie pomyśli twoja ukochana?

Trenmore odrzucił głowę do tyłu z komiczną i przekorną miną.

- Niech sobie myśli, co chce. Nie mam przekonania do rzeczy kupionych w ten sposób. Dla mnie są one jak kradzione! Albo płacę za swoje ubrania, albo ich nie noszę. Ale Violu, sama nie jesteś lepsza. Gdzie jest ta śliczna nowa sukienka, którą miałaś dzisiaj założyć? Bobby, a co z twoim wspaniałym popielatym garniturem, który tak starannie wczoraj wybierałeś?

- Kiedy go wybierałem, myślałem, że będę go nosił. Jeżeli mielibyśmy dotrzymać słowa damie, która nam dostarczyła te stroje, z pewnością bym go założył. Ale w tej sytuacji... - Drayton wzruszył ramionami.

- A ja - wyznała Viola - nie mogłam zmusić się do dotknięcia czegokolwiek, co dostałam od tej kobiety. Musi nas zaakceptować takimi, jakimi jesteśmy. Już dziesiąta, a oto i telefon. Podejrzewam, że to nasza pani Zielonooka.

Rzeczywiście była to Najśliczniejsza. Wyglądała na rozczarowaną i chyba była dotknięta, kiedy zobaczyła ich

stroje i dowiedziała się, że nie zamierzają się przebrać. Sama oślepiła blaskiem sukni z bladożółtej satyny i doskonale skrojonym płaszczem z irlandzkiej koronki. Trenmore próbował, najlepiej jak umiał, przeprosić ją za ich niezbyt porządny strój. Wciąż rozdrażniona Najśliczniejsza, zmieniając temat, zapytała o nieobecnego Bertrama.

- Nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie może być, proszę pani. Wyszedł wczoraj wieczorem, chociaż się sprzeciwiałem, i od tego czasu go nie widzieliśmy.

Nie przejęła się tym zbytnio.

- Zjawi się najprawdopodobniej w Świątyni - odparła. - Jeżeli zgubił swój zielony guzik i został aresztowany, to na pewno tam będzie. Czy możemy już iść?

Kiedy zeszli do samochodu Najśliczniejszej, ujrzeni, że Broad Street była zatłoczona niezliczoną i w większości nieruchomą cizbą. Policja z trudem utrzymywała jeden pas jezdni wolny dla ruchu samochodów i pieszych. Parę aut, należących - jak ich poinformowano - do rozmaitych urzędników, było zaparkowanych na środku ulicy.

- Na co ci ludzie czekają? - zapytała Viola.

- Na zawody. Normalnie nie przejawiają takiego zainteresowania. Tym razem jednak Numery wystawiły kandydata na dyrektora muzycznego i czekają na ogłoszenie wyników.

Drayton zastanowił się, czemu aż tylu mieszkańców miasta interesowało się obsadą tak nieistotnego stanowiska, ale nic nie powiedział.

Przejazd z hotelu do gmachu byłego Ratusza nie trwał długo. Gdy samochód skręcił na wolny pas ruchu, Drayton spojrzął przed siebie. Majaczyła tam, zamykając krótką perspektywę, ogromna, szara bryła budynku, który jest sercem - centrum - istotą, jeśli można się tak wyrazić, starej Filadelfii.

Od strony ulicy nie było widać złotej kopuły i nie można się było domyślić, jak ogromne zmiany zostały dokonane we wnętrzach. Wysoko w górę wznosiła się wieża, którą wieńczyła, widoczna wiele mil wokół, potężna figura tego

dobrego, starego kwakra, wyciągającego swoją ogromną rękę w szlachetnym geście błogosławieństwa. Stała tam niezmiennie, od wieków, obojętna na upływający czas. Poniżej znajdował się znajomy zegar - smuga białej mgły przesłaniała jego tarczę. Drayton przypomniał sobie, jak w czasie poprzednich wizyt w Filadelfii ta smuga mgły uniemożliwiała mu sprawdzenie, która była godzina. Wiatr bezustannie przesuwiał obłok. A Broad Street... Był tu kiedyś podczas wyborów do władz miejskich. Cała ulica była wypełniona, tak jak teraz, ludźmi, tłoczącymi się przed tablicami z wynikami. Teraz nie było tablic, a jakie jeszcze różnice można było dostrzec?

Przede wszystkim masę żółtych guzików z numerami i... tak, emblemat, umieszczony powyżej południowego wejścia do Urzędu Miejskiego. Kiedyś była to ogromna reprodukcja insygniów Zakonu Templariuszy, z napisem „Witaj, K.T.” z różnokolorowych żarówek. Teraz emblemat przedstawiał dzwon z mieczem. Ponad nim błyszczwały cztery złowieszcze cyfry - 2118. To były jedyne różnice.

Drayton przerwał swoje pełne nostalgii porównania i zorientował się, że samochód zatrzymał się przy krawężniku. Tam, gdzie kiedyś były prześwity, obecnie znajdowały się potężne drzwi, nabijane ćwiekami. Na widok samochodu nadbiegł policjant z drogówki i począł rozpędzać tłum. Chociaż nie oszczędzał przy tym pałki, ludzie nawet nie mruknęli. Draytona przyprawiło to o mdłości - nie tyle uderzenia, co nastawienie, z jakim były przyjmowane. Czy karki tych ludzi zostały całkowicie złamane w ciągu dwóch wieków ucisku? A przecież byli to Amerykanie lub ich potomkowie - jego rodacy. Było to niezwykle bolesne.

Był pewien, że nawet gdyby przywykł do nowych zwyczajów - niesprawiedliwość i ucisk roku 2118 nigdy nie wydadzą mu się bardziej znośne niż tyrania i niesprawiedliwość wieku dwudziestego.

Stalowe drzwi otworzyły się szeroko, po czym zamknęły cicho za przybyłymi. Znaleźli się w długim, sztucznie oświetlonym korytarzu, którego ściany i podłoga wyłożone

były polerowanym czerwonym marmurem. Po obu stronach ciągnął się szereg drzwi o matowych szybach.

- To część wydziału administracyjnego - wyjaśniła Najśliczniejsza, kiedy przechodzili wzdłuż holu. - Mieszczą się tu biura różnych wydziałów. Czy chcielibyście zobaczyć z balkonu tłum pod Kopułą?

Nie czekając na zgodę, poprowadziła ich w górę czerwonymi, marmurowymi schodami. Przeszli pod niskim łukiem i nagle znaleźli się na małym balkonie. Prowadził od niego wąski pomost z surowych desek, biegnący do rusztowania okalającego Czerwony Dzwon.

Spojrzeni w dół. Pod Kopułą Sprawiedliwości widać było nie mlecznobiałą posadzkę, tylko morze głów. Ludzie stali tak stłoczeni, że gdyby nagle wybuchła panika, typowa dla tłumów, wiele osób zostałoby stratowanych. Tylko w północnej części był pusty obszar, odgradzony liną. W samym środku wolnej przestrzeni widniał orzeł i gołąb, pod którymi ukryty był loch. W najdalszym końcu sali, na wysokim podium, udekorowanym jasnoniebieskimi i żółtymi sztandarami, ustawiony był złoty tron, rzeźbiony i wysadzany klejnotami. Na tronie i podium nie było nikogo, ale w pobliżu odgradzonej linami przestrzeni stał kordon umundurowanych policjantów w czapkach. Wszyscy pozostali ludzie mieli odkryte głowy. Pogardliwie traktowane „Numery” stały cicho, cierpliwie, zbyt stłoczone by móc głębiej odetchnąć, i czekały.

Drayton zastanawiał się, co było w tych ludziach, że wydawali się tacy dziwni, tacy nieziemscy. Nagle odgadł. Tłum stał zupełnie cicho. Poza słabym szelestem jakby suchych liści na wietrze, pod złotą kopułą panowała absolutna cisza. Gdyby zamknął oczy, z łatwością wyobraziłby sobie, że jest sam.

- Czy oni wszyscy są niemowami, ci wasi ludzie? - spytał Trenmore.

Chociaż mówił cicho, jego głos odbił się od niskiej kopuły jak od płyty rezonansowej. Ciemne morze głów pokryło się białymi plamkami, gdy „Numery” skierowały twarze w stronę balkonu. Opierając na złotej balustradzie swoje ręce w rękawiczkach, Najśliczniejsza obojętnie spojrzała w dół.

- W obrębie świętych murów nie wolno im mówić. Większość z nich stoi tu od trzech godzin, a czekają ich kolejne dwie. Wszyscy oni są tak leniwi, że nie sądzę, by się tym przejmowali. Wolałoby tłoczyć się tutaj, niż pracować!

- Niektóre kobiety trzymają dzieci na rękach - zauważyła Viola ze współczuciem.

Najsłiczniejsza wzruszyła ramionami.

- Nie pytaj mnie, czemu ci ludzie tu przyszli. To stary, głupi zwyczaj. Z radością muszę przyznać, że sytuacja taka ma miejsce już ostatni raz. Pan Sędzia Najwyższy rozkazał, by w przyszłości zawody rozgrywane były bez udziału publiczności. A teraz najlepiej będzie, gdy przejdziemy do północnego skrzydła. Dowiem się, czy pan S.N. może was już przyjąć. Namówiłam Cnotkę, żeby załatwił waszą prezentację. Pan S.N. jest nieco trudny na stare lata, ale nie będzie się wtrącał.

Wtrącał się - do czego? - pomyślał Drayton. Zapomniał jednak o tym pytaniu, gdyż wzrok jego padł na dziwny przedmiot umocowany z tyłu balkonu.

Był to miecz: ogromny, nieporęczny, długi na całe siedem stóp. Szerokie ostrze było z niebieskiej, polerowanej stali, inkrustowanej złotem po samą gardę. Rękojeść, a raczej widoczny jej fragment, również była złota, wysadzana nieszlifowanymi turkusami. Z pewnością zbyt wielki i ciężki, by mógł nim władać człowiek, miecz umocowany był pionowo w uchwycie w kształcie wielkiej dłoni, której przegub kończył się w ścianie mniej więcej na wysokości piersi stojącego na podłodze mężczyzny.

- A cóż to za broń? - zapytał Trenmore.

- To? Och, to część Groźby. Widzicie rękę, która go dzierży? Jest to tak zwana Ręka Penna. Na wieży, w górze, ręka Penna błogosławi ludzi. Tutaj na dole, trzyma miecz. Jest połączona z rodzajem mechanicznego ramienia, wystarczająco długiego, aby dosięgnąć środka Sali Sprawiedliwości. Ramię biegnie pod tą ścianą, ukryte w stropie nad korytarzem. Jest poruszane przez mechanizm, do którego klucz mają jedynie Słudzy.

- A co się stanie, kiedy ta dziwna machina zostanie wprawiona w ruch? - spytał Trenmore. Na pozór urządzenie wydawało się bezużyteczne.

- Nie jest używana - odpowiedziała rozbawiona kobieta. - Jeżeli kiedykolwiek będzie, dłoń opuści się w ten sposób, że miecz zmieni położenie na poziome, następnie ramię wysunie się i czubek miecza uderzy o brzeg Czerwonego Dzwonu, po czym się cofnie. Oczywiście teraz nie mógłby dosięgnąć wieńca dzwonu z uwagi na rusztowanie. Pan S.N. wpadł na pomysł, że dzwon będzie dobrze wyglądał, jeśli zostanie ozdobiony rzędem czerwonych elektrycznych lampek. Właśnie zakładana jest instalacja.

- A więc miecz jest rodzajem wymyślnego urządzenia do uderzania w dzwon - zauważył Drayton. Przypomniał sobie, jak Najzdolniejszy mówił o Numerach, żyjących w wiecznym strachu przed Czerwonym Dzwonem.

- Co by się stało, gdyby rozległ się jego dźwięk? - spytał z kolei.

- Och, przypuszczam, że spłonęłoby całe miasto - mówiąc to, zaśmiała się. Najwidoczniej sama nie wierzyła zbytnio w ewentualność takiej katastrofy.

- Ale jak wasi ludzie mogą wierzyć w coś takiego?

- Też zadajesz pytania? Przypuszczam, że stałoby się to za zrządzeniem naszego Pana, Penna. Czy zechcielibyście pójść teraz ze mną? W żadnym wypadku nie możemy dopuścić, aby Jego Ekscelencja na nas czekał.

Zawrócili do czerwonego korytarza, a stamtąd podążyli przez długi szereg luksusowych apartamentów mieszkalnych, palarni, świetlic i salonów, umeblowanych z przepychem, na jaki stać jedynie wielkich bogaczy lub korzystających z systemu „kredytowego”, przysługującego Sługom Penna. Minawszy stary wjazd dla patroli, doszli w końcu do tej części Świątyni, która była oddana do użytku Pierwszemu Urzędnikowi, panu Sędziemu Najwyższemu. Chociaż posiadał kilka rezydencji w różnych przyjemnych okolicach, wołał - jak ich poinformowała Najśliczniejsza - mieszkać w Świątyni. Odwiedzającym ta „Świątynia” przypomniała raczej siedzibę klubu dla kochających luksus milionerów.



Czekali w przedpokoju razem ze swoją przewodniczką, która dała wizytówkę z krótką odręczną notatką jednemu z kilku umundurowanych gońców, kręcących się w pobliżu. Chłopak powrócił z ustną odpowiedzią, że pan Sędzia Najwyższy prosi o wybaczenie, ale nie może ich przyjąć.

Prawie jednocześnie w drzwiach, prowadzących do wewnętrznego sanktuarium, ukazał się Najzdolniejszy. Podszedł prosto do nich z uśmiechem powitania, który spowodował, że wyglądał prawie sympatycznie. Tuż za nim ukazał się opasły pan Cnota.

- Oświadczam ci, Cnotko, że tego już za wiele! - zaczęła Najśliczniejsza z oburzeniem. - Obiecałeś mi, że załatwisz audiencję!

Pan Cnota wyglądał na zmartwionego i bardzo zirytowanego.

- Nic na to nie mogę poradzić - potrząsnął głową. - Nawet mnie nie pozwolono się z nim widzieć. Zdolny był z nim przez cały ranek. Spytaj jego, co tu się dzieje!

Najśliczniejsza podejrzliwie spojrzała na swego kolegę.

- Czy masz z tym coś wspólnego, Zdolniacho? Jeżeli tak, to...

- Wspólnego z czym? - zapytał uprzejmie Najzdolniejszy. - Jego Ekscelencja jest trochę niedysponowany i chce zachować siły na ceremonię. Nie ma powodu do niepokoju. Sam mu wszystko wytłumaczyłem. Nie będzie kłopotów. Naprawdę masz wobec mnie dług wdzięczności, Najśliczniejsza. Nasz drogi starszy pan raczej lubił obecnego Najsilniejszego. Nie było łatwo przekonać go, że twój kandydat pod każdym względem jest odpowiedniejszy.

Obserwowała go zakłopotana, zmarszczywszy czoło, ale po chwili jej twarz wypogodziła się, a oczy rozbliły.

- No cóż, Zdolny - rzekła rozpromieniona - jestem ci niezmiernie zobowiązana. Nigdy nie myślałam, że naprawdę... aż tak ci na mnie zależało. To, co uczyniłeś, jest wyjątkowe. Szczególnie w tej sytuacji.

Uśmiechnął się, a jego twarz przybrała wyraz porzuconego, lecz wciąż kochającego mężczyzny. Jego bezczelna mina nie

zwiodłaby nikogo poza najbardziej prózną i pewną siebie kobietą.

- Nigdy nie byłaś wobec mnie sprawiedliwa, Najśliczniejsza. Ale nie dziękuj mi przed końcem zawodów. Dopiero, kiedy będzie po wszystkim, będę się czuł bardziej wart twojej wdzięczności! Tymczasem chodźmy do Zielonej Sali. Są tam już prawie wszyscy.

Zielona Sala okazała się długą, szeroką komnatą z oknami tylko po jednej stronie. Wychodziły na Salę Sprawiedliwości, a między nimi, w samym środku znajdowały się północne drzwi, które różniły się od pozostałych tym, że były tego samego szkarłatnego koloru, co Czerwony Dzwon. Pokój był utrzymany w tonacji zieleni, gruby aksamitny dywan tegoż koloru pokrywał podłogę niczym mech, a jedynym motywem dekoracyjnym ścian były liście. Komnata była po brzegi wypełniona ludźmi. Najprawdopodobniej prawo nakazywało, aby każdy Stopień Najwyższy, który był w stanie chodzić, był obecny na organizowanych co cztery lata Egzaminach do Służby Państwowej. Większość urzędników przyprowadziła najbliższą rodzinę.

Wszyscy mieli zielone lub czerwone guziki; jaskrawość ich ubiorów graniczyła z wulgarnością, a w wielu przypadkach przekraczała tę granicę. Najwidoczniej etykieta nie pozwalała urzędniczkom uczestniczyć w ceremonii, więc trójka gości nie mogła ocenić tych największych z wielkich dam. Tym niemniej, zgromadzeni reprezentowali jeżeli nie śmietankę, to przynajmniej górną warstwę społeczeństwa XXII wieku. Chociaż był ranek, jedynymi obecnymi kobietami, których suknie nie były niemal nieprzyzwoicie wydekoltowane, były Viola Trenmore, Najśliczniejsza i jeszcze dwie czy trzy bardzo młode dziewczyny. Kolory gryzły się ze sobą lub były zagłuszane ogromną ilością klejnotów. Twarze kilku starszych i mniej urodziwych pań były zupełnie ukryte pod grubą warstwą makijażu.

Najśliczniejsza oprowadziła swych protegowanych po pokoju, przedstawiając ich rozmaitym urzędnikom i ich żonom. Wydawała się być w najbardziej przyjacielskich stosunkach z mężczyznami, lecz kobiety, chociaż zwracały się

do niej z oficjalnym uszanowaniem, za jej plecami rzucały spojrzenia nacechowane wszystkimi uczuciami, tylko nie miłością.

Jedynym nieobecnym Stopniem Najwyższym był Najszybszy, szef służb gończych.

- Powalił go kolejny ostry atak reumatyzmu - wyjaśnił ze współczuciem pan Cnota.

- Po tych zawodach powali go coś gorszego - uśmiechnął się Najzdolniejszy, znacząco mrugając do Draytona.

Prawnik automatycznie odpowiedział uśmiechem, zastanowiło go bowiem to, że filadelfijczycy, tak chlubiący się uczciwością i otwartością tych zawodów, jednocześnie mówili o wynikach jak o przesądzonych z góry sprawach. Rozważał, jaką szansę miał na pokonanie bratanka Sędziego Najwyższego, tak pewnego swoich sił w podkopaniu pozycji Najślicniejszej - osoby niewątpliwie wpływowej i o rozległej władzy. Czuł się, jak człowiek kroczący po cienkiej lodowej tafli, kryjącej niezmiernie głębiny. Zdał sobie sprawę z tego, że zbyt mało rozumieli, zbyt dużo wskazywało na istnienie podziemnych sił, które w każdej chwili mogły pochwycić ich i rzucić w otchłań tego koszmarnego, śmiercionośnego lochu, znajdującego się pod mozaiką z Gołębkiem Pokoju.

Znów dobiegł go głos Zielonookiej, przemawiającej najśłodszy tonem.

- A oto, moi przyjaciele, nasz szef Przedsiębiorców Budowlanych, Najsilniejszy. Żyłasty, przedstawiam ci pana Trenmore'a. I pannę Trenmore. Ta panienka spróbuje swych sił w sprawach gospodarstwa domowego. Nie spodziewam się konkurencji - nie na to stanowisko.

Urzędnik, którego tak lekceważąco przezwała Żyłastym, lepiej odpowiadał przezwisku niż swemu właściwemu tytułowi Najsilniejszego. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o niezwykle długich kończynach, czerwonej twarzy i opalonym karku. Z politowaniem popatrzył na Violę, po czym przeniósł niespokojny wzrok na olbrzymiego mężczyznę, z którym wkrótce miał się zmagać nie tylko o stanowisko, ale i o życie. Zaczął coś mówić, przerwał i odwróciwszy się gwałtownie,

pospiesznie się oddalił, gubiąc się w tłumie swych szczęśliwszych kompanów.

- Ktoś poinformował Żylastego - zaśmiał się pan Cnota. - Hej tam, Laseczko, a dokąd to?

Ale milczący pan Łaska wyszarpnął się brutalnie z uścisku próbującego powstrzymać go przyjaciela i, nie patrząc na pozostałych zebranych, minął drzwi, prowadzące do wewnętrznego sanktuarium.

- On także jest zły - burknął Cnota. - Najśliczniejsza, przez ciebie wszystkim się naraziłem.

- Przejdzie mu - odpowiedziała obojętnie. - Zawsze myśli tylko o sobie. Poza tym to poczciwy człowiek. Zaraz po zawodach, Cnotko, uporządkuję twoje sprawy. Co pan mówił, panie Drayton?

- Czy stoi coś na przeszkodzie - powtórzył Drayton - abym trochę się rozejrzał po Ratuszu? Wystrój tych sal jest wyjątkowy. Jako chłopiec interesowałem się trochę tymi zagadnieniami. Nie robi to pani różnicy, jeżeli się oddalę?

- Absolutnie nie. Ale lepiej idź do wschodniej części, z dala od sanktuarium pana S.N. I wróć najdalej za pół godziny.

- Dobrze. Terry, nie masz nic przeciwko temu, że cię opuszczę?

- Nic a nic - przytaknął Irlandczyk, a Viola z roztargnieniem kiwnęła głową. Obserwowała zwarty, milczący tłum w Sali Sprawiedliwości.

Mówiąc szczerze, prawnik szukał samotności, aby móc w spokoju pomyśleć. Im więcej czasu spędzał w tej Świątyni Sprawiedliwości, tym bardziej był przekonany, że ich pomysł był dziecinny i niefrasobliwy.

Gdyby znał myśli Violi, przekonałby się, że były równie posępne jak jego. Dziewczyna posiadała żywy umysł i pewną intuicję, a atmosfera tego miejsca, w połączeniu z zasłyszonymi tu i tam aluzjami, do cna zniszczyły jej wiarę w powodzenie przedsięwzięcia. Nie mogła myśleć o niczym innym jak tylko o niemal pewnej przegranej Draytona i nieuniknionej zapłacie za klęskę... Zostanie wtedy narzeczoną człowieka, którego instynktownie nienawidziła, podczas gdy

Drayton... Ale tu powstrzymała się, nie będąc w stanie rozmyślać nad okrutnym losem, który ponownie mu zagrażał.

Z zadumy wyrwał ją brat. Najśliczniejsza opuściła go na chwilę i była zajęta rozmową ze swymi przyjaciółmi w drugim końcu sali. Dwójka Trenmore'ów rozmawiała jakiś czas, w pewnej chwili Terry wyciągnął swój zegarek.

- Violu, jest 11.45, a Bobby jeszcze nie wrócił. Jak myślisz, gdzie ten chłopak mógł się zawieruszyć?

Zanim dziewczyna zdołała odpowiedzieć, pospieszyła ku nim Najśliczniejsza.

- Mój wielkoludzie, musisz teraz iść do sali. Ty również, moja droga.

- Nie ruszymy się nigdzie bez pana Draytona - stwierdziła stanowczo Viola. - Jeszcze nie wrócił!

Najśliczniejsza zmarszczyła brwi.

- Nie możemy na niego czekać! Uprzedzałam go, aby był z powrotem o wpół do dwunastej.

- Poszukam go - zaofiarował się Trenmore, ale Pani Zielonooka powstrzymała go.

- Mogę posłać policjanta, jeżeli naprawdę nie możecie sobie bez niego poradzić. Na pewno zgubił się gdzieś w korytarzach. A oto nadchodzi pan Sędzia Najwyższy. Mówiłam, że jest późno!

Zielone drzwi w końcu pokoju otworzyły się i ukazało się w nich kilku mężczyzn. Wszyscy odziani byli w takie same surduty, jasne spodnie, lakierki i getry, jakie nosili Cnota i Łaska. Mieli również podobne cylindry i byli, poza policjantami, jedynymi osobami w Świątyni z nakrytymi głowami. Najwidoczniej kapelusze były kolejną oznaką godności, jak biskupia infuła czy korona królewska.

Minąwszy drzwi, stanęli w dwuszeregu, ostatnia para trzymała otwarte skrzydła drzwi. Nastąpiła pauza, podczas której w całej Zielonej Sali zapanowała uroczysta cisza.

Nagle w progu pojawiła się postać zgarbionego, trzęsącego się, zgrzybiałego starca. Był gładko ogolony, a jego ubranie było apoteozą strojności: surdut był wcięty w talii, pantofle jak dwa lustra, a cylinder - jak trzęcie. W butonierce miał

złotą chryzantemę, a z okularów zwisała szeroka, czarna wstążka. Kamizelka była z białego kwiecistego atlasu. Jego gołe dłonie sprawiały wrażenie żółtych szponów. W jednej ręce trzymał hebanową laseczkę o główce z kości słoniowej. Jak ślepiec badał drogę przed sobą i podpierał się nią podczas wolnego, drżącego chodu.

A twarz! Była pokryta zmarszczkami niczym znakami każdego wystętku, o których młodsze oblicze Najzdolniejszego ledwo napomykało. Mrugał złowrogo jasnoniebieskimi, otoczonymi czerwoną obwódką, łzawiącymi oczami, pod którymi wisiały purpurowe worki. Jego usta poruszały się, ukazując żółte zęby i jakby miotając bez przerwy ciche przekleństwa na życie i całą ludzkość.

Nie patrząc w prawo ani w lewo, kuśtykał między szeregami podlegających mu urzędników. Ci, których minał, natychmiast podążali za nim przez Zieloną Salę w kierunku drzwi, prowadzących do wielkiego, złotego tronu, ustawionego w Sali Sprawiedliwości.

Gdy przechodził, ludzie w komnacie kłaniali mu się z pełnym uszanowaniem - kłaniali się i oddychali z ulgą, gdy minał ich, nie mówiąc ani słowa.

Viola i jej brat obserwowali to zafascynowani. Drgnęli przestraszeni na odgłos szeptu za ich plecami.

- Stary S.N. miał złą noc. Wygląda bardziej zrzędlawie niż zwykle!

Była to nieopanowana Najśliczniejsza.

- Podejdźcie do okna - ciągnęła, gdy drzwi zamknęły się za ostatnim z urzędników. - Powiem wam dokładnie, kto jest kto. Widzicie tego człowieka, który pomaga Jego Ekszelencji wejść po schodach na podium? To pan Odwaga, jego prawa ręka. Tuż za nim kroczy pan Dobroć. Ten mały, chudy, to pan Potęga, stary człowiek pociągający nogą, to pan Niewinność. Za nimi idą pan Litość, pan Zadowolenie i pan Miłość. A tam idzie stary, dobry Cnotka, który ma minę, jakby umarł mu ostatni przyjaciel; wygląda tak tylko dlatego, że zranił go Łaska, a wini za to mnie. Oni wszyscy są tacy sami - zawsze myślą tylko o sobie. Podejrzewam, że Laseczka też dąsa się gdzieś w kącie. To są wszyscy urzędnicy dziś tu obecni. W

ogóle jest ich dwunastu. A teraz naprawdę musicie już iść na swoje miejsca. Wysłałam człowieka, aby poszukał waszego przyjaciela i przyprowadził go do was natychmiast, jak tylko go znajdzie. Ja muszę zostać tu ze wszystkimi Stopniami Najwyższymi, zanim moje stanowisko nie zostanie wymienione. Ale to zwykła formalność. Jedynymi kandydatami jesteście wy i ten chłopiec, którego Numery próbują wepchnąć na Dyrektora Muzycznego. Hej, Pięćdziesiąt Trzy - zwróciła się do ich starego znajomego, sierżanta policji - zaopiekuj się mymi przyjaciółmi, dobrze? Ależ on ma nerwy! Spójrzcie na Zdolniachę. Wszedł na podium razem z urzędnikami! Nie obchodzi mnie, że pan S.N. jest jego wujem, Najzdolniejszy nie ma prawa tak się wywyższać - nie, póki jest jedynie Stopniem Najwyższym!

Było oczywiste, że mówiła sama do siebie, nie uważali więc za niegrzeczność opuszczenie jej. Podążyli za sierżantem Pięćdziesiąt Trzy, który zaprowadził ich na puste miejsce w jednym końcu odgradzonej przestrzeni. Nie było tam nikogo prócz szczupłego, pełnego wdzięku chłopca w wieku dziewiętnastu czy dwudziestu lat, kandydata Numerów na Dyrektora Muzycznego. Ubrany skromnie, ale schludnie, miał twarz tak niezwyklej urody, że Viola czuła się naprawdę zaskoczona. Jak powiedziała później, ta twarz dopiero przypomniawszy jej, że gdzieś ciągle jeszcze istnieje Niebo.

## Rozdział XV. Sprawiedliwość Służby Penna.

Tymczasem Najwyższy Zwierzchnik usadowił się już na swym złotym tronie. Jego szlachetni podwładni zajmowali miejsca po jego prawej i lewej stronie, a krzesła u stóp podium, po obu jego stronach, były już w większości zajęte przez małżonki Stopni Najwyższych. Numery ciągle czekały - cicho i cierpliwie. Gdy pan Sędzia Najwyższy zasiadał na tronie, uklękli, a następnie powstali. Było to możliwe jedynie dlatego, że uczynili to jednocześnie. Rozlegający się tu i ówdzie krzyk czy jęk, szybko stłumiony, dowodził jednak, że słabsi przy tym ucierpieli.

Między kandydatami i pierwszymi rzędami tłumu rozciągnięta była pluszowa lina. Na zewnątrz jej stali policjanci, twarzami zwrócenii ku podium. Żaden z Numerów, poza tymi, którzy znajdowali się bezpośrednio za strażnikami, nie mógł mieć nadziei na ujrzenie tego, co będzie się działo przed podium. Mogli jednak słuchać i tylko po to pięć godzin stali w milczeniu.

Trenmore spojrział na zegarek. Była 11.59.

W tym momencie Odwaga, którego Najśliczniejsza nazwała prawą ręką pana Sędziego Najwyższego, powstał i podszedł na skraj platformy. W rękach trzymał dokument, opatrzony czerwonymi wstęgami oficjalnej pieczęci. Bez żadnego wstępu urzędnik zaczął czytać.

- Do wszystkich, do wszystkich, do wszystkich! Ja, Sędzia Najwyższy i Duchowy Przywódca Miasta Filadelfia, zgodnie z wolą naszego drogiego Pana - Penna, niniejszym ogłaszam, że dnia 23 września 2118 roku odbędą się w świętej Świątyni Penna, pod złotą Kopułą Sprawiedliwości, egzaminy na...

Dokument wymieniał wszystkie stanowiska, o które mogli się ubiegać kandydaci, opisywał szczegółowo okrutną karę przewidzianą dla pokonanych i kończył się nagle podpisem i pieczęcią pana Sędziego Najwyższego.

Skończywszy, pan Odwaga powrócił na swoje miejsce. Trenmore pomyślał, że odczytanie tego rodzaju dokumentu, najeżonego odwołaniami się do „tej demokratycznej i błogosławionej instytucji, bastionu naszej wolności!”,



rzeczywiście wymagało nie lada odwagi. Po chwili przerwy miejsce Odwagi na platformie zajął Litość.

- Rozpoczynamy od egzaminu na Stopień Najwyższy w zakresie Dobroci.

Niski, krępy, mocno zbudowany mężczyzna wyłonił się zza podium i zajął swoje miejsce, stając bezpośrednio na mozaice przedstawiającej orła i gołębia, która skrywała loch. Albo jego wygląd, albo tytuł, w opinii Trenmore'a, musiały być zwodnicze. Te wąskie, okrutne usta, blisko osadzone oczy i niskie, nieco wysunięte czoło wskazywały na kilka cech, ale na pewno nie na życzliwość. Tak miło, jak tylko pozwalały na to jego warunki zewnętrzne, mężczyzna uśmiechnął się do pana Litości.

- Czy jest jakiś inny kandydat na to stanowisko? - wysokim, śpiewnym tonem spytał Litość. - Piastujący ten urząd zarządza i kontroluje, pod nadzorem Służby Penna, Biurem Dobroczynności dla Filadelfii i okolic. Czy jest jakiś chętny? Nie widzę innego kandydata na Najłaskawszego! Obecnie sprawujący ten urząd może spocząć.

Doszedłszy do tego, z góry wiadomego, wniosku, Litość uśmiechnął się do Najłaskawszego, który odszedł w kierunku krzeseł i usiadł obok bardzo tęgiej i kwitnąco wyglądającej damy. Była ona, jak Viola zapamiętała, jego żoną.

Wymieniono trzy następne godności: Najmądrzejszego, nadzorującego Zarząd Edukacji; Najdzielniejszego, szefa Biura Elektryczności; Najdowcipniejszego, kierującego dziwnym biurem, którego jedynym zadaniem było organizowanie rozrywek dla Sług Penna. Piastujący te stanowiska wychodzili po kolei, stawali na fatalnym symbolu i odchodzili, gdy ich doskonałość nie zostawała zakwestionowana.

- Piątym walorem na mojej liście jest Słodycz Głosu. Ten przymiot związany jest z zaszczytami, obowiązkami i przywilejami, przysługującymi Dyrektorowi Muzyki Państwowej.

Na symbol orła pewnym, choć kaczkowatym krokiem, wtoczyła się góra mięsa, z głową o falujących, czarnych włosach, których mógłby pozazdrościć Svengali, z brodą

zdumiewających rozmiarów i parą małych, świńskich oczek ukrytych gdzieś między czupryną a zarostem.

- Czy jest jakiś kandydat na ten urząd? - monotonnym i znudzonym głosem odezwał się pan Litość. - Czy jest jakiś inny kandydat na to...

- No, naprzód, mój chłopcze - mruknął Trenmore, popychając przyjacielsko młodzieńca. Czekając na swoją kolej, Terry, podobnie jak Viola, poczuł głęboką sympatię do tego jedyne go kandydata lekceważąco traktowanych Numerów. - Naprzód, mój chłopcze, i pokaż, co umiesz! - zachęcał go Irlandczyk z zagadkowym uśmiechem.

Młodzieniec rzucił mu wdzięczne spojrzenie za te słowa otuchy. Gdy pan Litość wypowiadał swoje wezwanie po raz trzeci i ostatni, chłopiec odważnie wystąpił na arenę.

Przywitał go stłumiony pomruk zadowolenia, który jak fala przepłynął od pierwszych szeregów tłumu po ostatnie. Pan Sędzia Najwyższy uchwycił mocno poręcz tronu i uniósł się nieco.

- Cisza! - burknął. - Cicho, moje dzieci! Popelniacie świętokradztwo! Wiecie, jaka jest za to kara?

Tłum zamarł, a twarze Numerów w pierwszych rzędach poblądły - zajmowane przez nich miejsca były niepokojąco blisko lochu.

- Panie Litość - mruknął starzec, siadając. - Proszę łaskawie kontynuować.

Kłaniając się, mistrz ceremonii zwrócił się ponownie do rywali.

- Kandydacie, jaki jest twój numer, miejsce zamieszkania i pracy oraz wiek? Proszę odpowiadać w tej kolejności i mówić wyraźnie. - Wyciągnął wieczne pióro i uniósł nad listą, trzymaną w dłoni.

- Jestem numer 57403. Mój... mój... mieszkam przy Race Street 709. - Czysty tenor chłopca, początkowo drżący, stał się pewniejszy. - Jestem czeladnikiem stolarskim. W czerwcu skończyłem dziewiętnaście lat.

- 19 lat i 4 miesiące, dziwne - mruknął pan Litość, zapisując dane chłopca. Zakręcił pióro, schował je do kieszonki

kamizelki i uśmiechnął się do młodego stolarza tak przyjaźnie, że serce Violi aż mocniej zabiło z radości. Może, mimo wszystko, walka będzie uczciwa.

- Bardzo dobrze, młody człowieku - w tonie pana Litości była wyraźna nuta aprobaty i zachęty. - Jeżeli masz najlepszy głos w Filadelfii, teraz jest okazja, by to udowodnić. Na nic nie zważaj, śpiewaj najlepiej, jak potrafisz.

Uśmiechnął się złośliwie do grubasa, który nagle stracił swoje opanowanie i patrzył niespokojnym wzrokiem na śmiertelną pułapkę pod własnymi stopami.

- Jak wiesz - ciągnął Litość - musisz śpiewać bez nut i akompaniamentu, tak jak i twój przeciwnik. Jego Ekscelencja czeka. Czcigodny Penn przez jego usta przekaze swoją decyzję w sprawie wyniku tych sprawiedliwych i demokratycznych zawodów! Śpiewaj!

Nastąpiła sekunda przerwy. Potem chłopiec, stojąc na mozaice, kryjącej śmiertelną pułapkę, na wprost Tronu Sprawiedliwości, zaczął śpiewać czystym, młodym głosem. Była to stara ballada ludowa, którą przekazywano sobie od wieków z ust do ust, pełna nieporadnych rymów w rodzaju „kocham” i „szlocham”, „ty” i „my”. Była sentymentalna - przesadnie, prostacko, pospolicie sentymentalna, ale kompensowała to wszystko ptasia wesołość, bijąca z utworu.

Tenor wzniósł się w końcowej, wysokiej nucie, wytrzymał ton i zamarł. Numer 57403 uklonił się, cofnął o krok i złożył ręce. Jego zarumieniona twarz jaśniała, a czyste oczy patrzyły bez strachu w górę, na sędziego. Nie rozległ się okrzyk radości, jedynie wielkie westchnienie ulgi Numerów - jakby wszyscy, mężczyźni i kobiety, wstrzymali oddech podczas tego ostatniego, wysokiego, słodkiego dźwięku.

- Bardzo dobrze! - krzyknął pan Litość, znowu się uśmiechając. - Można by trochę skrytykować wybór utworu, ale to nie należy do mnie. A teraz, po wysłuchaniu tego młodego kandydata śpiewającego pięknym tenorem, oddajmy głos jego rywalowi, obecnemu, powszechnie szanowanemu dyrektorowi muzycznemu - uklonił się w stronę kudłatego olbrzyma. - Jego Ekscelencja czeka, Penn, łaskawy Ojciec Wszystkich, rozstrzygnie poprzez niego ten konkurs. Śpiewaj!

W czarnej brodzie ukazała się szczelina. Błysnęły białe zęby. Nagła fala dźwięku uniosła się ku złotej kopule i odbiła od niej, szturmując uszy zgromadzonego w dole tłumy. Była to basowa kanonada, ryk stada głodnych lwów, wyrwanych nagle ze snu, mieszanina dźwięków, płynących z setki gramofonów o zdartych igłach, nastawionych na niskie tony. Śpiew - beznadziejnie fałszywy, a przy tym zintensyfikowany przez gigantyczną płytę rezonansową kopuły - był nie do zniesienia.

Viola z krzykiem, który zagłuszyła basowa pieśń, zatkała małymi dłońmi swoje wrażliwe i kochające muzykę uszy. Ujrzała, jak sierżant Pięćdziesiąt Trzy uśmiecha się do niej, a widząc jego poruszające się usta domyślała się, że chce coś powiedzieć, ale równie dobrze mógłby mówić podczas gwałtownego huraganu.

Ryk przemienił się w straszliwy, nieharmonijny śmiech. W końcu Viola rozpoznała pieśń, nad którą się znęcał włochacz. Była to aria Mefistofelesa z „Fausta” Gounoda, numer wymagający najbardziej wyrafinowanego, sardonicznego i genialnego głosu, by mógł być znośnie wykonany.

Viola była pewna, że za chwilę upadnie na porcelanową posadzkę i zacznie się wic z bólu. Na szczęście miała więcej siły niż podejrzewała. Końcowy wybuch demonicznego śmiechu zginał gwałtowną śmiercią i wytrzymałość Violi została nagrodzona. Od tej pory mogła delektować się błogą ciszą.

Rozglądając się wokół, dziewczyna spodziewała się ujrzeć całe audytorium powalone jak łan zboża po burzy, ale chociaż nawet policjanci mieli miny dosyć udrećzone, wszyscy stali spokojnie. Spojrzała w kierunku podium. Pan Litość, z bolesnym i nieprzytomnym wyrazem twarzy, bazgrał coś na swej liście. Pan Sędzia Najwyższy, drgnawszy, otworzył oczy, jak człowiek niespodziewanie uwolniony od tortur. Warknął coś niezrozumiale i machnął żółtą ręką w stronę pana Litości. Byk z Basan\* nie cofał się, mrugając oczami, jego broda znowu tworzyła ciemny, nieprzenikniony gąszcz. Jak się później dowiedzieli, jego samozadowolenie nie było bezpodstawne. Jego żona była krewną trzeciego stopnia pana

Sędziego Najwyższego, a on sam był daleko spokrewniony z rodziną pociągającego nogą pana Niewinność.

\* Byki z Basan (Biblia, Psalm 21,13) - prawdopodobnie wymarły gatunek dzikiego wołu z kraju, leżącego za Jordanem (przyp. tłum.)

Rozległ się głos mistrza ceremonii, który po huku gromów brzmiał cienko i przenikliwie niczym dźwięk piszczałki.

- Proszę pana, Jego Ekszelencja dziękuje panu za cudowną interpretację utworu - odwrócił się w stronę tronu.

- Panie Sędzio Najwyższy, zawodnicy pokornie przed stawili swoje zalety i czekają, na ostateczny werdykt naszego Pana i Ojca, Penna!

Stary fircyk z trudem stanął na nogach. Wśród zebranych zapanowała absolutna cisza - wszyscy wstrzymali nawet oddech. Numer 57403 rzucił pełne litości spojrzenie na kudłatą górę i skierował ufny wzrok na sędziego.

- Dzieci Penna - zaczął opryskliwym, starczym głosem - we właściwej i uświęconej formie dwaj konkurenci walczyli ze sobą przed Ojcem i Protektorem nas wszystkich. Jeden z nich jest młody. Powinien był dalej doskonalić swoje umiejętności, by zaprezentować nam w tej świętej Sali swoje pełne mistrzostwo. Usprawiedliwia go młodość, a Penn, nasz Ojciec, jest miłosierny, wybacza nawet arogancję. Jeżeli chodzi o cudowny bas, który mieliśmy zaszczyt właśnie... hm... podziwiać, wykonujący dzieło wielkiego kompozytora, tak przewyższające nieprawdopodobnie sentymentalne brednie drugiego zawodnika... ja... ja... brak mi słów!

Pan Sędzia Najwyższy spoglądał na wychwalanego zawodnika tak niechętnym wzrokiem, że olbrzym aż się skurczył, jeżeli można tak powiedzieć.

- Decyzją Penna - warknął pan Sędzia Najwyższy - Numer 57403 zostaje wtrącony do Lochu Przeszłości. Niech Penn zmiłuje się nad jego nieśmiertelną duszą, ale nie nad zarozumiałym ciałem. A obecny dyrektor muzyczny będzie nadal piastował swoje stanowisko.

Opadając wyczerpany na swój tron, odzyskał nagle dosyć siły, by krzyknąć chrapliwie do zwycięskiego zawodnika:

- Idź! I niech Penn cię błogosławi!

Następnie, z miną kogoś, kto wywiązał się z nudnych, ale koniecznych obowiązków, zamknął swoje łzawiące oczy i pozwolił odprężyć się swemu staremu, wstrętnemu ciału.

Kudłacz ruszył z podejrzaną skwapliwością. Wyraz jego świńskich oczek świadczył, że dyrektor muzyczny cenił sobie „błogosławieństwo Penna” o wiele mniej niż pozwolenie opuszczenia niespodziewanie niebezpiecznego miejsca.

Ale dla biednego Numeru 57403 taki odwrót nie był możliwy. Przez moment wydawało się, że nie wierzył własnym uszom. Poczerwieniał i rozejrzał się niepewnie wokół, jakby szukając zaprzeczenia tej niesprawiedliwej, nieprawdopodobnej decyzji. Potem rumieńce znikły z jego twarzy, chłopak wyprostował się i skłonił sędziemu skazującemu z gracją, której nie powstydziliby się żaden wiecznie młody grecki bóg.

Viola chwyciła ramię Terry'ego z niemą prośbą, ale był tu ktoś potężniejszy nawet od Terence'a Trenmore'a - olbrzym uciskany, oszukiwany, zakuty w kajdany ignorancji, ale mimo wszystko olbrzym. Cichy pomruk był pierwszym znakiem, że się przebudził. Był to głos Numerów, ostrzegawczy protest przed tą najczarniejszą niesprawiedliwością. Tłum zakołysał się do przodu. Był to nieznaczny ruch - pół kroku - ale wystarczył, by policja została wgnieciona w pluszową linę. Zaniepokojeni policjanci zrobili w tył zwrot, grożąc Numerom pałkami. Postać siedząca na tronie otworzyła gwałtownie oczy.

- Cisza! - warknął starzec. - Straże, otworzyć Loch!

Skulona postać w pasiaku podeszła ukradkiem, pochyliła się nad gołębiem i mozaika się opuściła. Ale młody człowiek nie wpadł do Lochu, tak jak rozkazał Sędzia Najwyższy. Zupełnie instynktownie i naturalnie cofnął się przed niebezpieczeństwem.

- Do lochu z nim!

- Nie... nie... nie! - Tym razem był to ryk sprzeciwu z tysięcy gardeł. Nie zważając na to, że popełniają świętokradztwo, Numery znowu ruszyły do przodu. Pluszowa lina naprężyła

się i pękła. W jednej chwili pałki uniosły się i opadły, rażąc zaciekle tłum. Ale policja mogła równie dobrze porwać się z motyką na słońce. Parę Numerów z pierwszych szeregów co prawda padło, ale inni przeszli po ich ciałach, popychani przez niepowstrzymanie pracy tłum.

Wolna przestrzeń zniknęła. W ogólnym zgiełku dały się słyszeć ostre krzyki. Dochodziły gdzieś z dołu i Viola, dygocąc w ramionach brata, wiedziała, że kilku nieszczęśliwców zostało zepchniętych do Lochu Przeszłości.

Pan Litość, ścigany przez niezliczone wrogie spojrzenia, cofnął się w pośpiechu. Ale podium nie zostało zaatakowane... jeszcze nie. Wiele lat ucisku, paraliżujący strach przed bezlitosną władzą Sług Penna, powstrzymał Numery.

- Wchodźcie na podium, na podium! - krzyczał Trenmore, jedną ręką trzymając Violę, a drugą, zwiniętą w pięść, potrząsając z podnieceniem. - Precz z mordercami i łotrami! Oczyszćcie podium z hołoty!

Jego potężny głos zgiął w narastającym ryku. Policjanci leżeli powaleni lub byli tak stłoczeni, że nie mogli uczynić najmniejszego ruchu. Niewiele brakowało, a tłum zalałby platformę, dokonując czynu, do którego wzywał Trenmore. Ale podczas krótkiej chwili wahania ponad wrzawą rozległ się wysoki głos trąbki. Po nim nastąpił głuchy łoskot, zmieszany z krzykami pełnymi nieznośnego bólu i piskiem niewypowiedzianego strachu.

Odwracając oczy od podium, ludzie spostrzegli, że ich chwila triumfu minęła. Wszystkie płyty na ścianach z kolorowymi postaciami dziwnych bożków i demonów zostały przesunięte na bok, ukazując ukryte dotychczas lufy karabinów maszynowych. Trzy automaty już strzelały, plując śmiercionośnymi seriami. W sali były kobiety, a nawet dzieci, ale cóż to obchodziło Służbę Penna. Przecież to były tylko Numery. A Numery, które wznieciły bunt, musiały zostać zmiażdżone, nawet - jeśli zajdzie potrzeba - zmasakrowane.

Ryk olbrzyma zamienił się w żarliwą modlitwę. Znajdujący się bliżej podium rzucili się na kolana i wyciągali błagalnie ręce w kierunku tronu, którego przed chwilą nieomal nie obalili.

Pan Sędzia Najwyższy odczekał chwilę, podczas której nie ustawał terkot karabinów. Następnie uniósł obie ręce i morderczy łoskot wystrzałów ustał. Słowa modlitwy i okrzyki bólu wypełniły całą przestrzeń, odbijając się echem od Kopuły Sprawiedliwości i przechodząc w lament wielkiego miasta, pokonanego i pełnego skrwawionych ofiar.

Starzec znowu uniósł swe żółte, chude ręce, tym razem uspokajającym gestem, i zapanowała cisza. Nawet ranni przestali jęczeć, tak ogromna była siła wielowiekowego poddaństwa. Tylko od czasu do czasu płacz niemowlęcia, zbyt małego, by mogło uznawać nad sobą wyższość bezlitosnej władzy, zakłócał śmiertelną ciszę.

- Moje dzieci - rozpoczął Arcykapłan Zła - ciężko zgrzeszyliście - podniecenie spowodowało, że jego głos stał się donośny i zdecydowany, tak że nie przypominał już warczenia. Brzmiała w nim straszliwa groźba. - Dostałyście małą nauczkę! - krzyczał. - Strzeżcie się, byście nie nadużyli wielkiej i anielskiej cierpliwości Penna. Bo gdy się ona wyczerpie, zostaniecie ukarani tak, że żadna siła nie będzie w stanie was uratować!

Wskazał w górę na Czerwony Dzwon. Przez salę przeszedł stłumiony jęk.

- Zmąciliście świętą ciszę. Strzeżcie się, by nie została zakłócona przez potężniejszy dźwięk! Strzeżcie się, by nie została przerwana przez głos, na którego dźwięk wy, wasi synowie i córki, wasze żony i mężowie, obrócić się w proch, z którego powstaliście! Niewdzięczne dzieci Penna, zabierajcie swoich zabitych i rannych i opuście Świątynię, którą zbeczczyliście. Idźcie do domów i na kolanach dziękujcie starym i wiernym Sługom Penna, którzy wstawili się za wami - za niewdzięcznymi dziećmi dobrego i miłosiernego Ojca! Ale najpierw oddajcie tego młodzieńca, którego próżność i zarozumiałość doprowadziły do rozpaczony was i jego. Powiedziałem, oddajcie go! Gdzie on jest?

Pan Sędzia Najwyższy podszedł chwiejnym krokiem na sam skraj podium. Jak żądny krwi stary lis, goniący bezbronny szaraka, badawczo przyglądał się najbliższym twarzom. Tłum



cofnął się. Tu i tam pojawiły się głowy i ramiona policjantów w niebieskich mundurach. Ale Numeru 57403 nie było.

- Wydajcie go! - wrzasnął starzec. Zapomniawszy o godności, wymachiwał swoją hebanową laską niczym szablą.  
- Wydajcie go, wy... ktokolwiek go ukrywa! Albo przemówią do was karabiny!

Odpowiedział mu cichy pomruk, a następnie zapanowała cisza. Numery stały z zawziętymi, upartymi twarzami, patrząc na swego ciemiężcę.

Trenmore mocniej przycisnął Violę.

- Do diabła! - wyszeptał triumfalnie. - Mimo wszystko mają w sobie coś z mężczyzn! Nie wydadzą go, swojego chłopca o słodkim głosie. Zginą od kul karabinów - mężczyźni, kobiety, dzieci, ale...

- Wydajcie go! - Wysoki głos kapłana zaskrzypiał złowieszczo. - Liczę do trzech! Raz... dwa... trzy! No, bardzo dobrze!

Jego prawa ręka uniosła się wolno do góry. Jeszcze sekunda i karabiny zaczną swój diabelski terkot. Tłum zakołysał się, ktoś przeciskał się z trudem przez ciżbę. Na niewielką, pustą przestrzeń koło lochu wyskoczył śpiewak, w porwanym ubraniu, lecz z triumfującym obliczem.

- Nie strzelać! Nie strzelać! - krzyczał. - przyjaciele, dziękuję wam za wszystko... za to, czego mi życzyliście, co zrobiliście dla mnie i co byliście gotowi jeszcze uczynić, gdybym na to pozwolił! Lecz ty - odwrócił się w stronę Sędziego Najwyższego, patrząc na niego nieustraszonym i pełnym pogardy wzrokiem - ty nawet nie potrafisz nienawidzić! Ty nikczemna karykaturo mężczyzny, jesteś już trupem! Niech twoje nędzne ciało i jeszcze nędzniejsza dusza będą przeklęte! Jeżeli ty jesteś sługą Penna, w takim razie ja jestem jego wrogiem. Idę mu to powiedzieć!

I zanim ktokolwiek zdołał uczynić jakikolwiek ruch, młody chłopiec rzucił się głową do dołu w głąb lochu.

Rozległo się głośnie westchnienie żalu, odbiło się echem i zamarło. Ci, którzy byli najbliżej lochu, odwrócili się i zatkali uszy rękami; ale krzyk, którego się bali, nie rozległ się. Jeden

ze strażników lochu, ukryty za podium, chyłkiem podkradł się spojrzął w dół. Potem uniósł oczy na purpurową z wściekłości twarz pana Sędziego Najwyższego. Arcykapłan zrobił gest laską. Chwilę później symbol orła i gołębia powrócił na swoje zwykłe miejsce.

## Rozdział XVI. Katastrofa.

W ciągu zaledwie trzydziestu minut sala została opróżniona, uprzątnięto gruzy, zmyto krew i ceremonię „egzaminów” wznowiono. Pan Sędzia Najwyższy siedział w tym czasie na tronie i drzemał. Pozostali urzędnicy czekali niecierpliwie, raz po raz zerkając na zegarki i półgłosem narzekając na opóźnienie.

Przygnębione, milczące, pokonane Numery wycofały się, unosząc rannych i zabitych. Kiedy sala opustoszała, jej śliczna, mlecznobiała posadzka przypominała raczej podłogę rzeźni niż świątyni. Poplamiona, śliska od krwi i strzępów ubrań sprawiała nieprzyjemne wrażenie. Jednak świątynne oddziały czyścicieli szybko się z tym uporały. Sprzątacze wyciągnęli kilka gumowych węży, puścili silny strumień wody i nie minęło pięć minut, a krew i brud zostały splukane do trzech ścieków, ku którym nieznacznie pochyłona była posadzka. Mokra podłoga błyszcząca bardziej niż zwykle i Czerwony Dzwon wraz z cudownymi ścianami odbijały się w niej z podwójnym blaskiem. Zespoły sprzątarek na kolanach wycierały i ręcznie polerowały wymytą podłogę, aż Pan Litość, spojrzawszy po raz ostatni na zegarek, wstał i zbliżył się do skraju platformy.

- Następnym walorem na mojej liście - monotennie powiedział mistrz ceremonii, nie biorąc pod uwagę tego, że zwraca się jedynie do pochyłonych pleców pięciu obojętnych sprzątarek - jest Bystrość. Ten Stopień Najwyższy kontroluje i zarządza, pod nadzorem Urzędu Penna, Wydziałem Policji, odpowiedzialnym za utrzymanie spokoju w Filadelfii i okolicach.

Szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, bacznie rozglądający się wokół, podszedł do lochu.

- Czy jest jakiś inny kandydat na to stanowisko? Jakiś inny kandydat?

Dał się słyszeć odgłos szybkich kroków i zza podium wynurzyła się mała, okrągła postać o anielskim, lecz zatroskanym obliczu. Trenmore mruknął niezadowolony.

Myślał, że to Drayton, a nie Bertram. Cóż mogło tak długo zatrzymać jego przyjaciela?

Bertram zjawiał się właśnie w chwili, gdy mistrz ceremonii kończył swą stereotypową formułkę „Brak innego kandydata na to stanowisko. Obecnie piastujący...”

- Proszę zaczekać! - krzyknął Trenmore i popchnął Bertrama do przodu. - Idź, idź, ty tłusty urwisie! - dodał głośnym szeptem. - Właśnie jest konkurs na Najbystrzejszego! Prawie się spóźniłeś. Idź!

Na próżno Bertram opierał się i próbował wycofać, Irlandczyk wciąż go popychał. Nie chciał stracić okazji, by opóźnić moment rozpoczęcia egzaminu, w którym miał wziąć udział jego nieobecny przyjaciel.

- Ja... ja się rozmyśliłem - protestował złodziej.

- Proszę wyjaśnić - wtrącił się pan Litość - czy ten kandydat chce, czy nie chce uczestniczyć w zawodach? Jedną chwileczkę, komendancie. Nie wiem, czy ma pan rywala, czy też nie.

- Na pewno nie! - wybełkotał Bertram.

- Na pewno tak! - potwierdzenie Trenmore'a zagłuszyło ciche zaprzeczenie włamywacza. - Jeżeli się nie zgodzisz - szepnęła mu na ucho - ukreczę ci głowę!

Pan Arnold Bertram uległ. Mając do wyboru dwie możliwości, wybrał loch.

- Dobrze, Panie Sędzio - jękał się. - Myślę... myślę, że spróbuję swych sił!

- A więc podejdź bliżej - wysapał zniecierpliwiony mistrz ceremonii. - Jaki jest twój numer, miejsce zamieszkania, zawód i wiek? Odpowiadaj po kolei i mów, proszę, wyraźnie.

- Mam... chciałem powiedzieć, że nie mam żadnego numeru.

- Co? - Litość spojrzał groźnie na klapę ubrania Bertrama i zobaczył zielony guzik, który dała mu Najślicznieszka. - Z którą rodziną jesteś spokrewniony?

Właśnie wtedy Najzdolniejszy, który dotąd siedział spokojnie pomiędzy urzędnikami, wstał i podszedł do przodu. Obejrzał Bertrama i odwrócił się w stronę tronu.

- Wasza Ekscelencjo, to jest jeden z tej czwórki obcych, o których już informowałem. Czy możemy pominąć zwyczajowe pytania?

Zarówno pan Litość jak i Stopień Najwyższy uznali nieartykułowane burknięcie za zgodę. Najzdolniejszy uśmiechnął się do Violi, chcąc jej w ten sposób dodać otuchy, i - nie spiesząc się - wrócił na swoje miejsce.

- Bardzo dobrze - powiedział Litość. - Ale muszę jakoś się do ciebie zwracać. Czy nie masz żadnego tytułu?

- Nazywam się Bertram - powiedział włamywacz.

- A więc... eee... Bertramie, masz teraz okazję udowodnić, że jesteś najbystrzejszym człowiekiem w mieście. Przynieście tutaj maszynę.

Na te słowa dwóch strażników lochu wtoczyło na porcelanową posadzkę urządzenie, przypominające wagę uruchamianą za pomocą żetonów. Postawili je tuż przed panem Litość. Z tyłu szedł pan Cnota, który odciągnął na bok szefa policji, zaczął coś do niego szeptać, po czym cofnął się. Bertram podejrzliwie obejrzał urządzenie z platformą i ogromną tarczą.

- A teraz, Bertramie, stań na platformie i chwyć za dźwignię z prawej strony. Dobrze! Podnieś lewą rękę i pstryknij palcami dziewięć razy!

Oszołomiony złodziej posłuchał. Wskazówka na tarczy drgnęła, zrobiła obrót, zatrzepotała i zatrzymała się. Zgodnie z instrukcjami urzędnika Bertram wykonał jeszcze kilka podobnych sztuczek - wszystkie były równie bzdurne. Za każdym razem wskazówka robiła tajemniczy zapis. W końcu pan Litość wydawał się być zadowolony.

- Bardzo dobrze. Panie Cnoto, czy mógłby pan zanotować wynik? Możesz zejść, Bertramie.

Ciągle oszołomiony, Bertram znowu posłuchał.

- Teraz pan, szefie. Proszę bardzo!

Tajemniczy rytuał uchwycenia dźwigni i głupio wyglądające sztuczki powtórzyły się.

- Jak wygląda porównanie, panie Cnoto?

Urzędnik liczył przez chwilę na odwrocie koperty.

- 98 dla Bertrama, 95 dla komendanta. Moje gratulacje, Bertramie! Przykro mi komendancie, obawiam się, że się starzejesz!

Mężczyzna, tak bezceremonialnie usunięty ze stanowiska, zszedł z małej platformy. Nie sprawia wrażenia szczególnie przejętego - pomyślał Trenmore. - Zupełnie nie wygląda jak człowiek skazany na śmierć.

- Cóż, takie są zasady gry, panie Cnota - zauważył beztrąsko. - Powiedz chłopcom, by przysłali konwalie. Kiedy będzie pogrzeb?

- Nieprędko, komendancie - odpowiedział Cnota równie wesoło. - Loch nie funkcjonuje dziś prawidłowo.

- Niefrasobliwy błazen! - mruknął Trenmore. - Powiedz mi, Violu, co może znaczyć cała ta komedia?

Dziewczyna, cierpiąca w głębi duszy, uśmiechnęła się smutno.

- Jakie to ma znaczenie? Przynajmniej ani Bertram, ani ten drugi nie zostaną zamordowani. Terry, jeśli pan Drayton wkrótce nie wróci, co zrobimy, gdy przyjdzie nasza kolej?

- Wróci, musi wrócić. Ale co się dzieje z naszym małym grubaskiem?

Wyglądało na to, że Bertram miał jakieś kłopoty. Zdegradowany przed chwilą szef policji trzymał go mocno za kołnierz a pan Cnota patrzył niezwykle wzburzony. Najzdolniejszy podszedł do nich, a na jego twarzy malował się niepokój.

Terence i Viola nie byli w stanie zrozumieć, w jaki sposób Bertram w tak krótkim czasie mógł popaść w niełaskę i zostać skazany na śmierć. Najwidoczniej podczas ich trzyminutowej rozmowy włamywacz zrobił coś tak niewybaczalnego, że nie pomogło mu nawet wstawiennictwo Najzdolniejszego. Ponieważ wszyscy obecni, poza nimi, byli świadkami czynu, oskarżenie nie zostało nawet sformułowane.

- Za trzy godziny wrzucić go do lochu - dobiegł z tronu nieodwołalny wyrok. - Będzie miał czas na rozważenie tego, co zrobił, wyrażenie żalu za swój świętokradczy czyn. Penn jest

sprawiedliwy i łaskawy. Wyprowadzić więźnia! Niech poprzedni komendant podejmie swoje obowiązki.

Komendant uczcił przywrócenie do łaski zwlekając ze sceny swojego tak pewnego siebie następcę, który ciągle bełkotał i tłumaczył się, co jedynie wywołało wyraz szczerego rozbawienia na twarzy Najbystrzejszego.

- I co teraz będzie? - spytała Viola, straciwszy resztkę nadziei.

Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Wyprowadzono skazańca i pan Litość ledwo zdążył spojrzeć na swą listę, kiedy dały się słyszeć odgłosy kroków i podniecone głosy.

- Przeprowadźcie go tutaj - rozkazywał ktoś. - Przywlecźcie świętokradczą bestię przed tron! Niech Jego Ekscelencja sam osądzi tego psa!

Na czele grupki policjantów pojawił się triumfujący pan Łaska. Między nimi szedł z rozwichrzonymi włosami kolejny więzień.

- Przecież to Bobby! - jęknął Irlandczyk.

W sali zjawiała się również Najśliczniejsza. Minęła eskortowanego więźnia i prowokująco zajęła miejsce obok Trenmore'a. Najwidoczniej klęska dwojga spośród jej czterech protegowanych zaniepokoiła kobietę. Ponieważ wraz z usunięciem Numerów nie było już potrzeby przestrzegania formalności, nie zważając na to, że może rozzłościć Sędziego Najwyższego, pospieszyła na pomoc swemu „wielkiemu mężczyźnie”. Pan Sędzia Najwyższy ponownie został wyrwany z drzemki.

- No, no - niezadowolony zwrócił się do Łaski - co to wszystko ma znaczyć? Czy już nigdy nie będzie chwili spokoju, by zakończyć te egzaminy? Kim jest człowiek, którego przyprowadziliście?

Pan Łaska uklonił się z wdziękiem, zdejmując cylinder i przyciskając go triumfująco do piersi. Rzucił spojrzenie pełne zjadliwości w stronę Najśliczniejszej i przemówił:

- Wasza Ekscelencjo, moje oskarżenie przeciwko temu więźniowi jest niemalże nieprawdopodobne. Ze względu na wagę i niewiarygodne zuchwalstwo tej zbrodni i ponieważ

jedna - a właściwie dwie osoby spośród nas były poręczycielami zatrzymanego, odważyłem się przerwać pracę Komisji Egzaminacyjnej, wierząc w to, że...

- Do rzeczy, człowieku, do rzeczy - wtrącił rozdrażniony arcykapłan. - Cóż on takiego zrobił?

Łaska znów się uklonił.

- Wasza Ekscelencjo, mówiąc krótko, człowiek, który teraz z taką cyniczną miną stoi przed tronem, ten zuchwały cudzoziemiec, bezczelnie nadużył gościnności Waszej Ekscelencji i...

- No, no? Panie Łasko, jeżeli nie możesz się wysłowić, odsuń się proszę na bok i pozwól, że sam przesłucham oskarżonego!

- Ten człowiek wdarł się do świętej biblioteki Penna - odpowiedział Łaska - i studiował święte księgi!

Słowa te wywołały wśród znudzonych urzędników ogólne poruszenie. Kilka kobiet uniosło się z krzeseł i podeszło bliżej, aby lepiej przyjrzeć się więźniowi. Nawet jego Ekscelencja wydawał się być niezwykle wzburzony. Twarz poczerwieniała mu ze złości, większej nawet od tej, którą wzbudziły zuchwałę Numery. Poruszał bezgłośnie ustami i minęło kilka chwil, zanim na tyle zapanował nad swym głosem, aby móc przemówić.

- Skąd to wiesz? - wychrypiał w końcu.

- Ponieważ sam go na tym przyłapałem - odpowiedział nieostrożnie Łaska.

- Ty? Ty go przyłapałeś? A coż ty robiłeś w bibliotece?

Pan Łaska drgnął i stracił na moment oddech, widząc, że zastawił sam na siebie pułapkę. - No... ja... ja... przechodziłem korytarzem i zobaczyłem otwarte drzwi. Zajrzałem do środka i... i...

- Wasza Ekscelencjo, czy mogę coś powiedzieć? - przerwał jeden z funkcjonariuszy, trzymających Draytona. Łaska odwrócił się do policjanta nie kryjąc wściekłości, ale Sędzia Najwyższy nakazał mu ciszę.

- Panie Łaska, to ja prowadzę śledztwo. Proszę powstrzymać się od zastraszania świadka. Słucham cię, Czterdzieści pięć!



- Wasza Ekscelencjo, mniej więcej dwie godziny temu pan Łaska przyszedł do mnie i powiedział: „Czterdzieści pięć, czy drzwi biblioteki są dziś zamknięte?” Odpowiedziałem, że nie, chyba nie, ponieważ Wasza Ekscelencja akurat tam jest. W te dni, kiedy Wasza Ekscelencja korzysta z biblioteki, na ogół nie jest ona zamykana. Przecież i tak nikt nie śmiałyby tam wejść. Wtedy on powiedział...

- Poczekaj chwilę! - rozległ się od strony tronu głos pełen ledwo powstrzymanej złości. - Panie Litość, czy mógłby pan to zapisać?

Litość wyciągnął wieczne pióro i mały, nie zapisany notes i zaczął coś w nim z furją bazgrać.

- ...wtedy on powiedział „Czy drzwi są teraz otwarte?”

Nie wydawało mi się to możliwe, ale poszedłem do korytarza numer dwadzieścia siedem by rzucić okiem. Drzwi były oczywiście zamknięte. Pan Łaska szedł tuż za mną. „Na twoim miejscu - powiedział - otworzyłbym drzwi i włączył wiatrak w końcu korytarza. Jego Ekscelencja skarżył mi się, że w bibliotece jest tak duszno, że aż się źle poczuł.” Pomyślałem sobie, że to dziwne, że Wasza Ekscelencja sam mi nie powiedział, że chce, aby przewietrzyć bibliotekę. Ale ponieważ pan Łaska jest członkiem ścisłego prezydium i ma tak dużą władzę...

- Rozumiem - warknął arcykapłan. - Mów dalej. Otworzyłeś drzwi?

- Tak, Wasza Ekscelencjo, w obecności pana Łaski. Potem poszedłem włączyć wiatrak, a pan Łaska odszedł. Udałem się za nim, wcale nie mając zamiaru go śledzić. Moje gumowe podeszwy nie robią żadnego hałasu i podejrzewam, że nie słyszał moich kroków. Skreślił za róg. Zanim tam doszedłem, usłyszałem, że coś mówi. Bałem się, że jeżeli mnie teraz ujrzy, pomyśli, że go szpieguję i ukarze mnie, zatrzymałem się więc tam, gdzie byłem. Jak się zorientowałem, rozmawiał z tym oto więźniem. Najpierw spytał go „Czy szuka pan kogoś, panie Drayton?”. Więzień odpowiedział, że nie, że po prostu spacerował i zgubił się, i nie może odnaleźć drogi powrotnej do Zielonej Sali. „Sam cię tam odprowadzę” powiedział pan Łaska. „Ale czy byłeś już w bibliotece?”

W tej chwili Łaska zaczął gwałtownie łapać powietrze i zachwiał się nieco. Nie śmiał jednak przerywać i policjant kontynuował.

- Ten pan powiedział, że nie, nie był tam, ale byłby bardzo zadowolony, gdyby mógł zobaczyć bibliotekę, że, mówiąc szczerze, właśnie to najbardziej go interesuje. Więc pan Łaska powiedział „Skręć tutaj i idź wzdłuż korytarza, to do niej trafisz. Drzwi są otwarte i możesz wejść”. Na to pan Drayton odpowiedział, że myślał, iż obcym nie wolno tam wchodzić. Pan Łaska odparł „Och, jesteś już prawie Stopniem Najwyższym, a biblioteka jest dostępna dla urzędników.” Dżentelmen podziękował mu, skręcił w korytarz i minął mnie, a pan Łaska poszedł w drugą stronę.

Pan Sędzia Najwyższy przerwał policjantowi.

- Czemu nie zatrzymałeś tego człowieka? Czy chcesz powiedzieć, że pozwoliłeś mu wejść do środka, nie próbując nawet go powstrzymać?

- Tak, Wasza Ekscelencjo. Pan Łaska jest moim przełożonym i chociaż zamierzałem o wszystkim zameldować Waszej Ekscelencji - jak to właśnie robię - nie wolno mi kwestionować jego rozkazów czy decyzji. Pan Drayton wszedł do biblioteki. Kręciłem się w pobliżu, postanowiłem bowiem przynajmniej go obserwować i pilnować, aby przypadkiem nie wyniósł stamtąd żadnych książek. Tego byłoby już za wiele. A on wciąż siedział i siedział w bibliotece. Raz czy dwa przeszedłem mimo i widziałem, że był pochłonięty lekturą. Parę minut temu pan Łaska znowu zjawił się w holu. Zatrzymał się nagle, jakby zdziwiony. „Nie zamknąłeś jeszcze tych drzwi?” warknął do mnie. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, podbiegł do nich, zajrzał do środka i krzyknął: „Co ten człowiek tam robi? Czterdzieści Pięć, wejdź do biblioteki i natychmiast wyprowadź tego mężczyznę! Czy wiedziałeś, że tam był?”. Zanim zdołałem się odezwać, zagwizdał. Nadbiegli Dwadzieścia Siedem i Siedemdziesiąt Dziewięć. Później nadszedł jeszcze Sześćdziesiąt Trzy. Weszliśmy i pochwyciliśmy pana Draytona. Wyglądał na zdziwionego i zaczął mówić, że pan Łaska pozwolił mu przecież tu wejść. Pan Łaska powiedział, żeby się zamknął, jeżeli nie chce być

źle traktowany i mężczyzna zamilkł. Wtedy pan Łaska rozkazał, abyśmy przyprowadzili zatrzymanego tutaj. To wszystko, co mam do powiedzenia, Wasza Ekscelencjo. Jeżeli pozwoliłem sobie złożyć raport właśnie teraz...

- Nie bądź głupi - burknął Jego Ekscelencja. - Jesteś chyba jedynym uczciwym człowiekiem w policji i jedynym, którego nigdy nie przyłapałem na kłamstwie. Panie Łaska, co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

- To wszystko jest wymysłem Numeru Czterdzieści Pięć - wycedził Łaska. Przeszedłszy po kolei stadium gniewu, zdziwienia i strachu, był obecnie niebezpiecznie opanowany. - Niedawno go ukarałem. Przypuszczam, że jest to jego zemsta.

Pan Sędzia Najwyższy przeszył Łaskę pełnym nienawiści wzrokiem. Następne jego słowa wyraźnie świadczyły, że jeśli wszyscy urzędnicy byli „Panami Miasta”, to ich z kolei tyranem był Sędzia Najwyższy. Jego władza była absolutna, bez względu na to, czy zawdzięczał ją swemu złośliwemu charakterowi, czy też objął ją prawem dziedziczenia. Numer Czterdzieści Pięć miał rację nie zważając na gniew pana Łaski, tym samym zyskał bowiem przychylność Jego Ekscelencji.

- Panie Łasko - powiedział Sędzia opryskliwie - to ty jesteś kłamcą, a nie Numer Czterdzieści Pięć! Ostatnio ciągle przekraczałeś wszelkie granice, myśląc - być może - że nie mam oczu ani uszu, albo że na starość nie są one już tak sprawne. Zajmiemy się bliżej twoją osobą w odpowiedniejszym czasie i udowodnimy ci, że twoje mniemanie jest błędne. Przekonasz się, że ujawnianie tajemnic państwowych tylko po to, aby uknuć mało istotną intrygę, nie jest - jak ci się może wydawało - drobnym przewinieniem. Zatrzymajcie tego więźnia na świadka... a właściwie nie, nie zależy mi na nim. Żadna śmierć nie jest zbyt szybka dla tego, kto zbezczeszczył sferę świętej wiedzy. Wrzucić go do lochu!

Trochę blady, ale całkowicie opanowany, Drayton milczał. Nawet teraz, po usłyszeniu wyroku, nie próbował się bronić. Zachował nawet na tyle zimną krew, aby zdobyć się na dosyć śmiałą refleksję. Dwa razy w życiu był sądzony - dwa dni temu, w tym samym miejscu, przez pana Cnotę oraz dawno temu i daleko stąd, przez trybunał, którego wyrok był

zastanawiająco podobny w duchu, chociaż jego fatalne skutki nie były tak natychmiastowe. Doszedł do wniosku, że z tych dwóch sądów Urząd Penna był łaskawszy. Skazani przez niego nie musieli znosić długoletniego więzienia ani cierpieć goryczy niesprawiedliwej hańby.

Viola Trenmore, wsparta o opiekuńcze ramię brata, wyprostowała się nagle, przepchnęła się między policjantami i ujęła chłodną dłoń Draytona.

- Panie Sędzio Najwyższy - krzyknęła. - Czy mogę prosić o łaskę?

Drayton zwrócił się do niej.

- Violu - powiedział poważnie - wróc do brata, proszę. Nic nie możesz dla mnie zrobić.

- Czy myślisz, że pozwolimy ci tak umrzeć? - szepnęła.

Pan Sędzia Najwyższy spojrział na nią i jego obwisłe starcze usta rozchyliły się w obleśnym uśmiechu. Jego lubieżne oczy rozjaśnił blask.

- Czy jesteś tą młodą damą, która ma uzyskać tytuł Najśliczniejszej? Mój bratanek mówił mi o tobie. Wyrażał się bardzo pochlebnie, nadzwyczaj pochlebnie. Widzę, że jego opinia nie była nic a nic przesadzona. O ile wiem, egzamin na stanowisko Najśliczniejszej jest następny w kolejności. Zapewniam cię, że nie musisz się obawiać swej rywalki. Będziesz miała wielu przyjaciół, moje dziecko, a mnie możesz uważać za jednego z pierwszych.

Na te słowa Pani Zielonooka, stojąca obok Trenmore'a, straciła dech i mimo makijażu widać było, że bardzo zbladła. Arcykapłan nie skończył jeszcze mówić, gdy z jej oczu zaczęły strzelać błyskawice. Jej szczupłe policzki pokryły się ciemnym rumieńcem. Z niezwykłą bystrością ogarnęła sytuację. Odskoczyła od Trenmore'a, jakby stał się nagle obmierzły.

- Więc to tak! - parsknęła. - Planowaliście mnie zdradzić? Po tym wszystkim, co dla was zrobiłam, zamierzałeś umieścić tę chytrą kotkę, swoją siostrę, na moim miejscu? Zamierzaliście wrzucić mnie do tego samego lochu, z którego tak niedawno was wyratowałam! A ja myślałam, że jesteście uczciwi. Myślałam, że skoro jesteś taki duży i silny, jesteś prawdziwym

mężczyzną! Widzę, że jesteś taki jak wszyscy, taki jak Łaska czy Cnota, czy ktokolwiek inny!

Jej głos rozlegał się coraz głośniejsze, aż oczy wszystkich zgromadzonych skupiły się na niej.

Trenmore nie mógł wyrzucić ani słowa. Twarz mu oblała ciemny, pałający rumieniec wstydu. W tej chwili ujrzał w całkowicie innym świetle to, co w ustach Najzdolniejszego brzmiało słusznie i sprawiedliwie. Chociaż Najśliczniejsza planowała niezbyt przyjemną przyszłość dla Violi, jednak niewątpliwie oszczędziła jej wyboru pomiędzy śmiercią i hańbą, a jego i Draytona uratowała od niechybnej śmierci.

Jak potwornym siedliskiem grzechu stało się to stare miasto, że on, który zawsze tak się chlubił swą lojalnością, dał się wciągnąć w tę chytrą intrygę?

Nagle zdecydowanym ruchem podniósł głowę. Usuwając z drogi dwóch policjantów, podszedł do siostry i Draytona, i objął ich ramieniem.

- Wysoki Sądzie - zagrział - ta pani ma rację! Muszę ze wstydem przyznać, że groziło nam, iż staniemy się nie lepsi od urzędników Penna, niech niebiosy oceniają ich grzechy i morderstwa! Mało brakowało, a stalibyśmy się nie lepsi od pana, Wysoki Sędzio! Ale to już przeszłość. Nie chcemy waszych względów. Nie chcemy niczego od was, chcemy znów kroczyć prostą i uczciwą drogą. Jeżeli zdecydujecie się nas skazać, z godnością przyjmujemy wyrok śmierci i zginiemy w lochu, który tak umiłowaliście. Terence Trenmore przez ostatnie dwa dni postępował jak szaleniec, ale dzięki Bogu, znów jest przy zdrowych zmysłach, znów, jak zawsze, mówi to, co czuje i postępuje tak, jak to uważa za stosowne.

Viola głęboko odetchnęła i stanęła dumna między dwoma mężczyznami. Była zdecydowana walczyć o życie Draytona, a gdyby przegrała, zamierzała umrzeć razem z nim. Ale teraz wiedziała, że jeżeli mają zginąć, najlepiej będzie, gdy wszyscy troje pójdą do lochu - odważnie, z podniesionym czołem, unikając hańby i wstydu. Z jej oczu również spadły zasłony. Teraz wiedziała, że właśnie taki koniec był nieuchronny, że nigdy nie mogłaby stać i patrzeć na śmierć tej kobiety, choćby

nie wiem jak znieawidzonej, aby samej zająć później jej miejsce.

Twarz Arcykapłana zmieniła się, powrócił na nią odpychający, taki, jak zwykle na niej gościł wyraz. Najzdolniejszy stał posepny niczym chmura gradowa.

- Bratanku - powiedział pan Sędzia Najwyższy - twoja wspaniałomyślność i uprzejmość zostały odrzucone. Czy ciągle jeszcze chciałbyś mieć tę dziewczynę u swego boku?

- Tak! - zabrzmiała natychmiastowa odpowiedź.

- Naprawdę?

- Tak, Wasza Ekscelencjo. Proszę okazać mi łaskę i nakłonić pannę Trenmore, aby mówiła tylko w swoim imieniu, i by jej brata jeszcze nie skazywano. Kobieta, którą tolerowaliśmy wśród nas zbyt długo, znieważyla tak bardzo tego mężczyznę, że nie dziwię się, iż czuje się głęboko dotknięty. Proszę, by ona - wskazał szczupłym palcem oburzoną Najśliczniejszą - została usunięta i pozbawiona możliwości zatruwania wszystkiego swym jadem, a ta dziewczyna i jej brat dostali czas do namysłu, by przemyśleli jeszcze raz swą samobójczą decyzję. Proszę nawet, abys drugiemu cudzoziemcowi - Draytonowi - odroczył wykonanie wyroku i umożliwił pożegnanie ze swymi przyjaciółmi. Nie wierzę, by chciał, aby tak młoda i śliczna dziewczyna podzieliła jego los. Jeżeli jest prawdziwym mężczyzną, ubłaga swych przyjaciół, by przyjęli bogactwo i wysokie zaszczyty, którymi może ich obdarzyć Urząd Penna. Wasza Ekscelencjo, czy mogę mieć nadzieję, że moja błagalna prośba zostanie wysłuchana?

Arcykapłan pochylił głowę. Było jasne, że Najzdolniejszy ma na swojego wuja i Urząd Penna daleko większy wpływ, niż wskazywało na to jego oficjalne stanowisko.

- Żądasz bardzo wiele, mój chłopcze, ale zawsze tak postępowałaś. Ostatecznie spełnienie twojej prośby nie przyniesie nikomu szkody. Dziewczyna jest zbyt ładna, aby zostać oblubienicą starego boga wojny. Jeżeli jednak - tu jego głos przybrał ton niecierpliwy, tak charakterystyczny dla ludzi starszych - jutro rano ciągle będą odrzucali twoje wspaniałomyślne warunki, wtedy nie chcę być już więcej tym niepokojony. Jeżeli odmówią ci - umrą, a ta zielonooka kocica

razem z nimi. Mam dosyć tej malowanej lali. A teraz wyprowadźcie ich wszystkich. Cudzoziemców zamknijcie razem i niech się raz na zawsze zdecydują. Jutro o dziesiątej rano zaakceptują twój projekt lub umrą. Jest mi obojętne, co postanowią. Wykonanie wyroku na tamtym skazanym - Bertramie - też odraczam do tego czasu. Wyprowadzić więźniów! Panie Litość, ponieważ nie ma już więcej kandydatów, możesz pominąć obowiązującą procedurę. Chcę zjeść obiad. Jestem już stary, Najzdolniejszy, i całe to podniecenie źle wpływa na moje serce. Gdybyś kiedykolwiek miał wzgląd na kogoś innego prócz siebie...

Jego opryskliwe gderanie przestało dobiegać uszu trójki skazanych, gdy cały orszak przeszedł do Zielonej Sali i czerwone drzwi zamknęły się za ostatnim ze strażników.

## Rozdział XVII. Ostatnia szansa.

Kiedy Sędzia Najwyższy rozkazał, by niedoszli kandydaci na Stopnie Najwyższe zostali „zamknięci wszyscy razem”, policjanci najwidoczniej zrozumieli, że powinni znaleźć się razem z Bertramem. Odprowadzili więc trójkę skazańców do pustego pokoju o metalowych ścianach, w którym oczekiwał już swego losu krągły dżentelmen. Więźniowie nie byli zbyt zaskoczeni. Zdumiało ich jednak to, że towarzysz niedoli nie był sam. Siedział na podłodze, plecami oparty o ścianę, i pochłonięty był rozmową z drobną osóbką, która zajmowała jedyne krzesło, znajdujące się w celi. Co więcej, sprawiali wrażenie pary pozostającej w bardzo zażyłych stosunkach. Dziewczyna groziła ostrzegawczo palcem Bertramowi, jakby czyniła mu wymówki natury jak najbardziej osobistej.

Całe umeblowanie pomieszczenia stanowiło krzesło. Nie było nawet sienników ze zgniłą słomą, bez których trudno wyobrazić sobie prawdziwy średniowieczny loch. Pokój przypominał zwykłą celę w areszcie; być może więźniowie Świątyni szli na śmierć zbyt szybko, aby mogło im być potrzebne miejsce do spania.

Ubiór towarzyski Bertrama mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Głowę dziewczyny przykrywał ogromny, zielono-różowy kapelusz, a spod jedwabnego, ciemnoliliowego swetra wystawała poplamiona koronkowa bluzka i zmięta spódnica z niebieskiego płótna. Na nogach miała złocistożółte pończochy i zdarte buty, które kiedyś były bardzo eleganckimi pantofelkami z zielonej, kozłowej skóry. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za przybyszami, zwróciła na nich swoje duże, badawcze oczy, których wielkość podkreślała dodatkowo szczupłość jej twarzy. Cerę miała równie delikatną jak Viola. Na żółtym guziku przy ciemnoliliowej klapie widniał numer 23000.

Początkowe zaskoczenie na twarzy Bertrama ustąpiło szybko miejsca wyrazowi prawdziwej troski.

- Powiedz no, szefie - zapytał Trenmore'a - co tu właściwie jest grane? Czyżby was też załatwili? A może przyszlście pożegnać się ze swym starym kumplem?



- Pożegnamy się dzisiaj tak, że już nigdy nikomu nie będziemy musieli mówić do widzenia - odpowiedział ponuro Trenmore.

- Czy jest z wami aż tak źle?

- Niestety, tak. Powiedz nam lepiej, kim jest ta młoda dama?

- To moja przyjaciółka - odpowiedział złodziej. Ujął drobną dłoń dziewczyny i przedstawił ją swym towarzyszom. - Panno Spływaj, oto trójka moich znajomych, o których ci już wcześniej opowiadałem: Panna Trenmore, pan Trenmore i pan Drayton. Proszę państwa, pozwólcie przedstawić sobie najinteligentniejsze, najzyczliwsze i najpiękniejsze stworzenie w tej parszywej miejscinie. Nosi numer 23000, ale to nie jest odpowiednie imię dla dziewczyny, więc nazwałem ją panną Spływaj.

Z jego rozpromienionej twarzy przebijała tak wielka duma, był tak pewien, że wszyscy posiadający oczy i choć odrobinę rozumu przyjmą serdecznie jego znajomą, że Viola, która początkowo cofnęła się nieco, pierwsza wyciągnęła rękę.

- Bardzo nam miło panią poznać, panno Spływaj - powiedziała poważnie. - Szkoda tylko, że spotkaliśmy się w takim miejscu.

Terry poszedł za przykładem siostry, podobnie Drayton.

- Wszyscy przyjaciele pana Bertrama - powiedział Terry - są nadzwyczaj interesującymi postaciami. Cieszymy się, że mamy możliwość poznać tak czarującą osobę jak pani, panno Spływaj!

- Nawzajem - odpowiedział numer 23000, przyglądając im się z rodzajem dziecięcej powagi. - Bert, odkąd go poznałam, ciągle o was mówi. O, rany! Wasze położenie nie jest najlepsze, prawda?

- Obawiam się, że nie mogłoby być już gorsze - westchnęła Viola. - Przynajmniej jeśli chodzi o naszą czwórkę.

- Mnie też możecie zaliczyć - oświadczyła dziewczyna. - Skazali mnie tylko za to, że przyszłam z Bertem do Świątyni. Tylko za to!

- Nic na to nie mogłem poradzić - bronił się Bertram. - Nie miałem zamiaru brać udziału w tej zabawie, ale pan

Trenmore powiedział, że muszę. Proszę potwierdzić, że nie chciałem stawać do zawodów. Ona nie wierzy w ani jedno moje słowo.

Irlandczyk, trapiiony wyrzutami sumienia, pospieszył z zapewnieniem, że ponosi całą winę za klęskę Bertrama.

- Sprawiał wrażenie, jakby się rozmyślił i nie chciał uczestniczyć w tej grze, ale ja go do tego zmusiłem. I właściwie do tej pory nie wiem, co potem zaszło.

- Och, nie zrobiłem nic takiego, żeby zasłużyć sobie na wtrącenie do lochu - powiedział włamywacz z niesmakiem. - Zwędziłem metalową odznakę, którą jeden z tych ludzi miał przy łańcuszku od zegarka, ale zamierzałem zaraz mu ją oddać. Ta ich „waga” to dziecinny sposób na sprawdzanie zręczności. Chciałem im pokazać, jak wygląda prawdziwa zręczność. Więc podwędziłem ten „order” temu, którego nazywają panem Cnotą. Miałem zamiar im to wytłumaczyć, ale nie dali mi dojść do słowa. Obskoczyli mnie i powiedzieli, że zrobiłem święto... święto-coś tam. To wszystko.

- Czekali tylko na pretekst, żeby cię wpakować - skomentowała trafnie panna Spływaj. - Ani przez chwilę nie dopuszczali myśli, że naprawdę mógłbyś objąć to stanowisko. Prędzej czy później coś by wymyślili. Słuchajcie, usiadźmy na podłodze i rozważmy naszą sytuację.

Terence i Viola chętnie opowiedzieli wszystko, co zaszło od chwili opuszczenia Zielonej Sali przez Draytona aż do jego powrotu w charakterze więźnia pana Łaski. Ich relacja o okrutnym rozprawieniu się ze zgromadzonymi w Świątyni ludźmi i o głębokiej nienawiści oraz zażartych walkach pomiędzy urzędnikami i Stopniami Najwyższymi - którzy jednoczyli się tylko przeciw wspólnemu wrogowi - Numerom - była porywająca i jednocześnie wstrząsająca. Z ust Bertrama i Draytona nie raz wyrwały się okrzyki zgrozy, ale panna Spływaj siedziała ze znudzoną miną kogoś, kto słyszy dobrze znaną i nudną historię.

- Moim zdaniem - zauważyła na końcu - zwykli ludzie, tacy jak wy czy my - wskazała na siebie i Bertrama - nie powinni się zadawać z tym gangiem krętaczy. Zawsze spiskują jeden przeciw drugiemu i walczą między sobą. Powtarzam wam, że

uczciwy człowiek czy zwykły Numer nie ma wśród tych łobuzów żadnych szans. Jak już mówiłam Benowi...

- Proszę mi wybaczyć - przerwał Drayton zaciekawiony - ale gdzie spotkałaś pana Bertrama?

Dziewczyna tak się zapłoniła, że Drayton natychmiast pożałował swojego pytania. Bertram, zauważywszy dwuznaczny uśmiech prawnika, najeżył się.

- Słuchajcie - powiedział - chciałbym, żebyście wiedzieli, że panna Spływaj jest najsympatyczniejszą i najuczciwszą istotą pod słońcem. Wczoraj wieczorem byłem w kinie i spotkałem ją i jej ojca. Zacząłem rozmowę ze staruszką. Po filmie zaprosił mnie na kolację do swego domu. Chętnie przyjąłem zaproszenie, bo hotelowe jedzenie mi nie służy. Rozmawialiśmy, graliśmy w karty i ani się obejrzałem, jak zrobiło się bardzo późno. Moi gościnni gospodarze pozwolili mi przespać się w wolnym pokoju. To wszystko. W tym mieście naprawdę jeszcze można spotkać prostych, uczciwych ludzi, takich, jakich kiedyś żyło wielu, nawet jeżeli teraz noszą numery zamiast nazwisk. Zrozumieliście?

Zrozumieli. Drayton przeprosił spojrzeniem za swoje nieuzasadnione podejrzenie.

Z dalszej opowieści Bertrama wynikało, że pochwalił się swoim przygodnym znajomym kontaktami, nawiązanymi ze Stopniami Najwyższymi. Panna Spływaj z całego serca odradzała jakiegokolwiek próby zajęcia miejsca szefa policji, bez względu na zadziergnięte przez Bertrama stosunki. Obecnie urzędujący Najbystrzejszy, podobnie jak dyrektor muzyczny i większość innych Stopni Najwyższego, był dalekim krewnym Sług Penna. Ujawniła mu wiele faktów, dotyczących tej demokratycznej instytucji, jaką były Stopnie Najwyższe. Opowiedziała, jak wszyscy urzędnicy, poza Najzdolniejszym, korzystając z wpływów, jakie mogli zdobyć przez powiązania rodzinne oraz dzięki zwykłej protekcji, utrzymywali swoje stanowiska.

- Urzędy są dziedziczne, przechodzą z ojca na syna - wyjaśniała dziewczyna. - Ale pan Sędzia Najwyższy nie ma dzieci, jego najbliższym krewnym jest Najzdolniejszy. Jako bratanek starego sędziego, automatycznie został urzędnikiem.

Przyjął stanowisko superlativusa, ponieważ następca Sędziego Najwyższego nie może być wybrany spośród aktualnie urzędujących. Po śmierci starego Najzdolniejszy zajmie jego miejsce i będzie rządził miastem. Ale zanim to nastąpi, chciał poślubić Najśliczniejszą, ponieważ zawsze dąży do tego, aby odgrywać decydującą rolę, a mąż Najśliczniejszej rządzi miastem niezależnie od urzędników. Podejrzewam, że rzuciłby ją zaraz po śmierci Sędziego Najwyższego. Widzicie, moja siostra jest sprzątaczką i szoruje podłogi tutaj, w Świątyni. To świetna robota. Oczywiście, nic jej za to nie płaca, ale może dobrze zjeść, a jeśli chodzi o ubrania, to tutejsze damy dają jej mnóstwo ciuchów. Właśnie od mojej siostrzyczki mam to odświętne ubranie. Poza tym - wierzcie mi - w takiej pracy można się dużo dowiedzieć. Urzędnicy zwracają taką samą uwagę na sprzątaczkę, jak na krzesło czy maszynę. Dzięki temu opowiedziała mi masę rzeczy. Urzędnicy Penna! Słuchajcie, gdyby ten duży posąg Penna mógł ujrzeć to, co się dzieje u jego stóp, zeskokczyłby na kopułę i zniszczyłby wszystko, łącznie z dzwonem!

Drayton, przysłuchujący się z większym zainteresowaniem niż pozostali, przerwał ten potok słów.

- Proszę mi powiedzieć, panno Spływaj, czy pani lub ktoś z pani znajomych wie, kim naprawdę jest, a raczej był, William Penn?

- Nigdy nie słyszałam o takim facecie. Natomiast Penn jest Ojcem Wszystkiego. Rządzi niebem i piekłem, tak jak Urzędnicy rządzą nami. Teraz już w to nie wierzę. Myślę, że nie istnieje nic poza Filadelfią, a wraz ze śmiercią kończy się wszystko.

- Pomijając religię - powiedział Drayton - sam dowiedziałem się dzisiaj bardzo wiele. Biblioteka Urzędu Penna jest prawdziwą kopalnią wiadomości. Jeżeli jej zbiory zostałyby udostępnione Numerom, to wierzę, że mają w sobie jeszcze dosyć siły, by obalić ten rząd fałszywych kapłanów i ich pochlebców i utworzyć własny. Chciałbym doczekać tej chwili i żałuję, że tak się nie stanie - westchnął. - Ani nie potrafimy ulżyć cierpieniom tego wieku, ani uchronić siebie od nieszczęścia.

- Opowiedz, co wyczytałeś, Bobby - powiedział Trenmore. - Bardzo mnie to wszystko intryguje i nie chciałbym umrzeć, nie zaspokoiwszy ciekawości.

- Opowiem to najkrócej, jak potrafię. Mimo ogromnych luk w opisie dziejów, ogólny bieg wydarzeń, jest dosyć jasny. Tak mnie to pochłoneło, że zapomniałem o wszystkim. Pamiętajcie, że to jest historia opisana tak, jak oni ją widzą. Wynika z niej, że po zakończeniu wojen światowych nastąpiło kilka lat spokoju. Potem Europą zawładnął komunizm. Rozpoczęła się walka klas, która doprowadziła do chaosu społecznego. Stany Zjednoczone postąpiły bardzo rozsądnie, nie chcąc się w to angażować, ale niestety na tym nie poprzestały. Nastąpiła znaczna militaryzacja kraju, a zawierucha w Europie spowodowała, że pacyfiści zaczęli szeroko głosić swoje hasła. Wiecie dobrze, jakie poronione pomysły mogą zrodzić się w głowach zagorzałych pacyfistów. Urzędujący w owym czasie prezydent był utopistą i człowiekiem niezwykle słabego charakteru. Znajdował się całkowicie pod wpływem niejakiego Andrew Powera. Nieco później opowiem wam o nim więcej. Nie wiem, na co liczył Kongres, ale całkowicie popierał tę marionetkę, a raczej człowieka, stojącego za jego fotelem. Zgodnie z zachowanymi przekazami, wszystkim wydawało się, że jedynie zupełne zerwanie stosunków z szalejącą Europą zagwarantuje im bezpieczeństwo. Postępowali zgodnie z tą teorią. Rozmyślnie przerwali cały ruch i łączność między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Następnie, z nieubłaganą logiką, zaniechali łączności z naszymi najbliższymi sąsiadami: Kanadą, Meksykiem, Ameryką Środkową i Południową.

- Jak to, panie Drayton? - wykrzyknęła Viola z niedowierzaniem. - Jak można było zrobić coś takiego?

- Nie wiem, ale tak się stało. Powtarzam wam to, co wyczytałem w książkach i gazetach z tamtych lat. Wygląda na to, że człowiek, o którym wspomniałem, ten Andrew Power, stojący w cieniu prezydenta, był niezwykle szaleńcem. Miał osobowość napoleońską, podniesioną do n-tej potęgi. Był wariatem, ale wariatem myślącym. Wychodząc od teorii i prac pacyfistów, opracował własną doktrynę. Według niego

przyczyną wszelkiego zła było to, że społeczeństwa, narody stały się zbyt wielkie i ociężałe. Posłużył się przykładem Szwajcarii, małej, a więc łatwej do rządzenia republiki, o sprawnej i dobrze wyposażonej armii, zamieszkaney przez zadowolonych z życia ludzi o wysokich dochodach. Stany Zjednoczone były republiką, ale nigdy nie osiągną takiego poziomu, bo są zbyt duże. Wszystkie wielkie mocarstwa - powiadał - są źle rządzone, charakteryzują się brakiem równowagi, wysokim bezrobociem i niskimi dochodami. Społeczeństwo idealne powinno liczyć nie więcej niż trzy - cztery miliony dusz, demokratycznie rządzonych. Powinno być zupełnie odizolowane od świata zewnętrznego, zajmować obszar, który limitowałby liczbę ludności. Każdy stan - argumentował - potencjalnie byłby republiką idealną, pod warunkiem pełnej izolacji, co wydawało się pozornie - ale jak się okazało tylko pozornie - niemożliwe do osiągnięcia.

- Ależ to było sto razy gorsze niż secesja Południa od Północy! - krzyknęła Viola z oczami szerokimi z niedowierzania.

- Powiedziałem wam - odpowiedział Drayton ze znużeniem - że ten człowiek był szalony. Myślę, że cały świat był szalony. W tym kraju komuniści również podnosili swój złowrogi wrzask. Jeden szalenięc pociągnął za sobą innych szaleńców. Wydawało im się, że każdym stanem z osobna byłoby łatwiej rządzić, co w obecnej sytuacji stawało się z każdym dniem trudniejsze. Jeżeli niektóre stany były zdemoralizowane, niechaj upadają same, nie pociągając za sobą innych. Należało ponownie podzielić ludzkość i ci maniacy beztriosko do tego dążyli. Były zamieszki i walki. Nieliczni normalni ludzie, którzy jeszcze pozostali, zawzięcie sprzeciwiali się całemu projektowi, ale Power - ten Andrew Power, który stał w cieniu prezydenta - miał za sobą większość. Myślę, że wielu sprytnych, bogatych ludzi zauważyło szansę ustanowienia drogą całkowicie legalną władzy absolutnej. Tak czy inaczej pomysł został wprowadzony w życie, każdy stan zaakceptował tyle ludności, ile był w stanie wyżywić.

- Ale przecież to oznaczało koniec cywilizacji, koniec wymiany!

- Och, dopuszczali wymianę towarów w ograniczonym zakresie, ale poza tym jakakolwiek łączność, wymiana idei albo przenoszenie się ludzi z jednego stanu do innego było surowo zabronione i karane.

- A co na to wszystko Europa? - wtrącił Trenmore.

- Nie wiem. Od momentu izolacji Pensylwanii kończy się w tej bibliotece historia powszechna. O ile wiem, narody Europy były się wtedy między sobą zajadłe, a może nadal walczą. W każdym razie to, co ci ludzie nazywają Filadelfią i okolicami, w rzeczywistości rozciąga się na całą Pensylwanię. Na początku utworzyli rodzaj komisji rządowej, ale „gang przedsiębiorców budowlanych” - Filadelfia, jak wiecie, była zawsze wyjątkowo...

Jednak nigdy nie powiedział im, na czym polegała wyjątkowość Filadelfii. Od strony wejścia dobiegł jakiś hałas. Ciężkie zasuwki szcęknęły i ktoś wszedł, przymykając za sobą drzwi. Był to Najzdolniejszy. Stał przez chwilę z założonymi rękami, patrząc na nich wyniośle.

Więźniowie powstali, zachowując jednak większe lub mniejsze opanowanie. Czy bratanek arcykapłana przyszedł ogłosić przyspieszenie egzekucji, czy też, by zaoferować im nowe warunki?

- Wystarczy już tego gapienia - szorstko powiedział Trenmore. - Czego chcesz?

- Być może odrobinę grzeczności i wdzięczności - warknął Najzdolniejszy. - Czy zdajecie sobie sprawę, w jak nieprzyjemnej sytuacji mnie postawiliście? Wszyscy w Świątyni śmieją się ze mnie za plecami, że popieram bandę żebraków, a w zamian za moje starania doznaję od nich jedynie zniewag.

- Myli się pan - wtrąciła cicho Viola. - Żadne z nas nigdy nie powiedziało słowa, które można by było wziąć za zniewagę.

- W tej tyradzie, którą skierował pani brat do mojego wuja, nie pominięto mojej osoby - chmurnie odparł mężczyzna.

Terry patrzył na niego, nie kryjąc niechęci.

- Doprowadził pan do tego, że zapomniałem o swym honorze i spiskowałem przeciw kobiecie. Nie winię pana tak, jak winię

siebie, ale to była od początku nieuczciwa gra. I dobrze pan o tym wie!

- Swojego czasu nie miałeś nic przeciwko tej grze - zadrwił Najzdolniejszy. To stwierdzenie, chociaż nieprzyjemne, było niestety prawdziwe. - Tym niemniej sprawy nie zaszły jeszcze tak daleko, by nie można było wszystkiego naprawić. Twoja śmierć nie uchroni Najśliczniejszej przed lochem. Mój wuj postanowił to nieodwołalnie. Popełniałeś błąd za błędem, a teraz jedyne, co mogę uczynić, to próbować ratować ciebie i twą siostrę. Panno Trenmore - spojrzał na dziewczynę zimnym i pełnym wyrachowania wzrokiem - kocham panią. Oferuję pani więcej, niż ktokolwiek w tym mieście może pani zaoferować. Pragnę mieć piękną i wykształconą żonę, a pani lepiej spełnia te wymagania niż jakakolwiek inna kobieta. Najśliczniejsza to w pewnym sensie tylko tytuł bez większego znaczenia. Jeżeli mnie pani poślubi, zostanie pani w przyszłości Sędzią Najwyższą!

- Jeśli tylko - odpowiedziała bardzo zimno Viola, na której słowa mężczyzny nie sprawiły większego wrażenia - nie będziesz uważał za stosowne pozbyć się mnie przed śmiercią twego wuja. Możesz to zrobić, prawda?

Na twarzy Najzdolniejszego malowało się zdumienie połączone z nietajonym podziwem.

- Wiedziałaś o tym - wykrzyknął ze śmiechem - i się nie zdradziłaś! Nie obawiaj się, moja droga. Bądź jedynie lojalna wobec mnie, a nigdy cię nie opuszczę. Jeszcze nie spotkałem kobiety, która mogłaby równać się z tobą pod względem urody czy inteligencji. Poza tym pamiętaj, że masz możliwość ocalić od śmierci swego brata!

Viola wodziła wzrokiem od Draytona do Terry'ego.

- Terry - wyszeptała w końcu - wybacz mi, ale ja... ja nie mogę. Och, Terry, co ja mówię! Dla ciebie zrobię wszystko! Tylko niech oni darują życie również panu Draytonowi!

- Nie zrobisz nic takiego - wrzasnął Irlandczyk. - Wolę cię ujrzeć martwą niż na ślubnym kobiercu razem z tym lisem!



- Proszę nie zważać na mnie, panno Violu - dodał Drayton. - Ratuj siebie, jeśli możesz i taka twoja wola. Ale nie chcę, na Boga, nie chcę, byś to robiła, aby ratować mnie!

Dziewczyna i prawnik spojrzeli sobie w oczy. Lekko zaróżowione policzki Violi przybrały żywszy odcień. Najzdolniejszy zauważył to i wyciągnął najbardziej naturalny dla urodzonego Sługi Penna wniosek.

- Ach, więc to tak? - powiedział, nie kryjąc wściekłości. - Czy to ze względu na tego mężczyznę odrzucasz moją propozycję? Chyba działałem zbyt pochopnie. Żona Sędziego najwyższego nie może mieć kochanków, żywych ani martwych!

Viola wydała cichy okrzyk. Delikatny rumieniec wstydu zastąpił rumieniec gniewu. Drayton poderwał się, ale Terry był szybszy. W chwilę później ciało Stopnia Najwyższego, rzucone na stalową ścianę celi osunęło się bezwładnie na podłogę.

Na odgłos upadku drzwi otworzyły się na oścież. Więźniowie ujrzeni na wprost siebie cztery wycelowane karabiny. Najzdolniejszy nie przyszedł tu sam i strażnicy sprawiali wrażenie gotowych bezzwłocznie dokonać egzekucji. Ale gdy po krótkich oględzinach zorientowali się, że ich przełożony nie odniósł poważniejszych obrażeń, był jedynie ogłuszony, postanowili pozostawić wymierzenie kary swemu panu. Nie szcędząc pogroźek odeszli, niosąc nieprzytomnego Najzdolniejszego ze sobą.

- To załatwia sprawę - powiedział Drayton. - Nikt nigdy nie będzie miał już wątpliwości co do uczuć, jakimi ich darzysz, Terry!

- Żałuję tylko, że go nie zabiłem - burknął Irlandczyk.

Była siódma wieczorem i zaczynali się zastanawiać, czy Urząd Penna skąpił nawet chleba i wody skazanym więźniom, kiedy zasuwy znowu szczęknęły.

- Wreszcie nasza kolacja - zauważył Terry z zadowoleniem.

Mylił się jednak. W drzwiach nie ukazał się dozorca z jedzeniem, ale sam szef policji, uśmiechnięty i jak zwykle

czujny. Światło w korytarzu rzucało refleksy na tuzin łuf. Poznawszy usposobienie Trenmore'a, woleli zachować środki ostrożności.

- Przybyłem z niezbyt przyjemną misją - zaczął Najbystrzejszy. Zachowywał się spokojnie i grzecznie, ale był przygotowany na wszelkie desperackie odruchy ze strony więźniów. - O ile wiem, mieliście zostać oddani we władanie Ojcu Wszechmocnemu jutro rano. Jego Ekscelencja polecił jednak, by ten termin przyspieszyć. Czy pójdziecie ze mną nie stawiając oporu? Jeżeli tak, polecę uwolnić was z więzów.

## Rozdział XVIII. Miecz i Dzwon.

Drayton otrząsnął się z pierwszego szoku, ale gdy usłyszał Trenmore'a akceptującego warunki komendanta, ogarnęła go głęboka rozpacz.

- Pójdziemy grzecznie, szefie, aż do samych drzwi waszej rzeźni. Ręczę słowem Terence'a Trenmore'a za każdego z nas - i powiódł po przyjaciółach wzrokiem, nakazującym bezwzględne posłuszeństwo.

Jako pierwszy opuścił celę, nie ujmując nawet wyciągniętej dłoni Violi. Dziewczyna trzymała się dzielnie, mimo że świadoma była swej bezradności.

Drayton podszedł do niej i w obliczu tak bliskiej śmierci zrobił coś, na co nigdy by sobie nie pozwolił w innych okolicznościach. Wciąż pamiętał wyraz jej oczu na chwilę przed tym, jak Terry rzucił się na Najzdolniejszego. Obejmując ramieniem siostrzyczkę Trenmore'a, przytulił ją do siebie. - Violu - powiedział cicho i z wielką czułością - kocham cię tak bardzo, że nawet umrzeć z tobą to dla mnie szczęście!

A ona odpowiedziała:

- Jesteś całym mym światem, Bobby! Jeżeli konieczna była śmierć, abyśmy zdali sobie sprawę z naszego wielkiego uczucia, to chwala jej za to, bo nasza miłość będzie trwała wiecznie!

- Obawiam się, moja mała - powiedział Bertram do młodej damy, którą sam obdarzył przydomkiem „Spływaj” - że i na nas przyszła pora. Miałem wobec ciebie jak najlepsze zamiary, dziecino, i jest mi teraz niezmiernie przykro!

- To nie twoja wina - odpowiedziała panna „Spływaj” o poważnych, dziecinnych oczach. - Myślę, że mam prawo umrzeć z takim dobrym i uczciwym facetem jak ty!

Szef policji wtrącił ironicznie:

- Jego Ekszelencja z pewnością wzruszyłby się, gdyby wiedział jaki romantyczny nastrój tu panuje, ale mój czas jest cenny. Ustawcie się dwójkami - o, tak. Możecie kontynuować wasze ekliwne pożegnania podczas drogi. Mam nadzieję, że

jakoś to zniosę! Dwadzieścia Dziewięć, zgaś światło, zanim zamkniesz drzwi celi!

Na samym przodzie, między dwoma uzbrojonymi strażnikami, maszerował Terence Trenmore z twarzą ciemną i ponurą. Jego niebieskie oczy były na wpół przesłonięte powiekami. Kiedy w wąskim przejściu strażnicy otarli się o niego, drgnął, jakby śmiertelnie przerażony. Policjanci zaśmiali się, a jeden z nich mruknął:

- Patrz, Czterdzieści Dziewięć, im większe ambicje, tym dotkliwszy upadek, prawda?

Przeszli wzdłuż dwóch korytarzy, doszli do schodów, wspięli się na piętro i dotarli do holu z czerwonego marmuru w południowej części Świątyni, gdzie mieściły się biura. Minęli otwarte drzwi do ciemnej „sali rozpraw” pana Cnoty i w końcu zatrzymali się przed południowym wejściem do Sali Sprawiedliwości.

Najbystrzejszy, który był teraz na czele, położył rękę na klamce, by otworzyć drzwi. W tym momencie Trenmore, stojący między swoimi strażnikami, odezwał się po raz pierwszy od chwili opuszczenia celi.

- Szefie, zanim wejdziemy, chciałbym powiedzieć ci coś na osobności.

Komendant uśmiechając się, potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie mam czasu cię słuchać, mój panie - i pchnął drzwi.

- W takim razie powiem to głośno - warknął Trenmore. - Możesz słuchać lub nie, jak chcesz. Dałem słowo, że pójdę, nie stawiając oporu, do samych drzwi waszej katowni. Oto stoję przed tymi drzwiami - i od tego momentu moje słowo przestaje obowiązywać.

Mimo swej postury Trenmore skoczył z prędkością tygrysa goniącego zdobycz i zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę, co się dzieje, dopadł komendanta. Jedną ręką chwycił go na wysokości piersi, a drugą wyciągnął mu z kabury dosyć okazały rewolwer. Przyłożył lufę do głowy komendanta.

- Teraz strzelajcie, wy przeklęte szumowiny świata! - ryknął Trenmore. - Ale jeżeli ktokolwiek dotknie cyngla, rozwałę łeb temu draniowi i pierwszy zginie!

Dwunastu zdumionych i skonsternowanych strażników stało z na wpeł uniesionymi karabinami, wytrzeszczając oczy. Po chwili dwóch z nich skierowało broń w stronę Draytona i Bertrama. Jednak pozostali więźniowie, nie mniej zaskoczeni niż strażnicy, zachowywali się spokojnie.

Szef policji stał również spokojnie, tylko uśmiech zniknął z jego twarzy. Był bezbronny i czuł za uchem zimną lufę własnej broni.

- Mimo wszystko macie odrobinę zdrowego rozsądku - zauważył Trenmore z aprobatą. - A teraz komendant i ja przejdziemy się trochę. Tylko ostrzegam was - nie przeszkadzajcie i nie próbujcie skrzywdzić któregokolwiek z moich przyjaciół!

Zaczął przesuwac się bokiem przy ścianie, trzymając przed sobą policjanta jak żywą tarczę. Po chwili dotarli do czerwonego korytarza i zaczęli się oddalać. Strażnicy rzucili się za nimi. Jeden z funkcjonariuszy, wiedziony nagłą myślą, pobiegł w kierunku złotych drzwi.

- Twój przyjaciel poszedł po pomoc - powiedział Trenmore do szefa lekkim tonem. - To bystry chłopak i radzę ci go awansować. Zaprzedałbyś duszę diabłu, byle tylko ktoś przyszedł ci na ratunek, prawda, mój dzielny policjancie? Prawda? Odpowiadaj, ty łobuzie!

- Ttak! - wysapał szef.

Niemal stracił oddech, potykał się i powłóczył nogami, wycofując się korytarzem razem ze swym bezlitosnym porywaczem. Za nimi krok w krok posuwali się strażnicy z karabinami do połowy uniesionymi, a między nimi szli więźniowie.

Jeszcze minuta i Trenmore dotarł do końca czerwonej ściany. Dalej były krótkie schody. Terry skręcił za róg. Przyspieszając nieco kroku, strażnicy podążyli za nim. Ujrzeni go w połowie piętra, ciągle wlokącego za sobą opierającego się komendanta. Dotarł do podestu na górze, gdzie znajdowało

się wejście z ciężkimi drzwiami z brązu. Skrzydła drzwi były otwarte i zabezpieczone przy ścianach przed zamknięciem. Trenmore poszukał nogą dźwigni na podłodze, znalazł ją i odblokował. Uwolnione skrzydło drgnęło i zaczęło się zamykać. Stojąc z boku i przesuając nogę do tyłu, Terry zahaczył stopą drzwi i pociągnął gwałtownie. Dobrze naoliwione zawiasy nie stawiały oporu. Ani na moment nie odwracając się tyłem do strażników, przesunął ramię za skrzydło drzwi i pchnął je. Z drugą połową drzwi postąpił w ten sam sposób, zostawiając sobie jedynie wąską szczelinę pośrodku.

Potem, bez ostrzeżenia i z niezwykłą zwinnością, opuścił pistolet, uniósł komendanta za kołnierz do góry, wymierzył mu jeden mocny cios i cisnął go głową naprzód w kierunku policjantów.

Siła bezwładności pędzącego ciała zwała z nóg dwóch stojących na przodzie funkcjonariuszy. Rozległy się krzyki i odgłos przypadkowego wystrzału. Jeden strażnik strzelił w stronę szczytu schodów, ale nikogo tam już nie było. Kula trafiła w nos niewinnego amorka na płaskorzeźbie z brązu i przebiła zamknięte drzwi, zaryglowane od środka.

Trenmore, stojąc na balkonie Groźby Penna, pogratulował sobie w duchu, że wcześniej zauważył to wejście i tak dziwnie umiejscowione rygle. Ludzie krzyczeli i walili w drzwi, ale Trenmore tylko zachichotał.

- Musielibyście mieć dynamit - mruknął wesoło. - Myślę, że te drzwi zostały wstawione tutaj właśnie w tym celu, jakiemu teraz służą.

Chociaż ciężkie drzwi trzęsły się i dudniły od uderzeń oblegających, był tak spokojny jakby znajdował się sam w Świątyni. Nawet nie spojrzał w dół na Salę Sprawiedliwości, uważnie natomiast przyglądał się dłoni z brązu, w której osadzony był wielki miecz.

- Mieczu, jesteś przeznaczony dla ludzkiej ręki, a nie dla tego uchwytu z zimnego metalu! - szepnął.

Wzdłuż stawów Ręki Penna biegły cienkie linie, o zielonych od śniedzi krawędziach. Wskazywały na istnienie skazy, pęknięcia w wiekowym brązie.

Trenmore zakończył oględziny i z gorączkowym zapalem rzucił się do pracy. Ściągnął z siebie marynarkę, wyjął z kieszeni olbrzymią chustkę do nosa, owinał nią prawą dłoń i uchwycił ostrze miecza. Lewą ręką ujął gałkę na rękojeści i wolno, natężając stopniowo siły, spróbował obrócić miecz. Ostrze ani drgnęło. Biała koszula obciskała napięte mięśnie ramion Irlandczyka. Twarz przybrała ciemnoczerwoną barwę. Na czole, pokrytym wielkimi kroplami potu, wystąpiły purpurowe żyły. Nie szarpał miecza, jedynie go skręcał - a efekt jego wysiłku był niezwykły.

W pewnej chwili rozległ się głośny trzask, niczym wystrzał pistoletu. Wewnątrz ściany coś z brzękiem upadło i miecz ustąpił tak nagle, że Trenmore stracił równowagę i upadł na podłogę. Podniósł się spokojnie, założył marynarkę i pochylił nad osławioną bronią. Nie tylko ręka z brązu pękła na dwie części, uwalniając uchwyt, ale cały przegub odpadł od ściany, ukazując pustą, czarną dziurę.

Trenmore'a nie interesował mechanizm tak bezwzględnie przez niego zniszczony. Ważny był jedynie błyszczący miecz, który właśnie uwolnił. Chwycił rękojeść obiema dłońmi i uniósł do góry. Żółte światło przenikające przez kopułę przesunęło się jak płomień wzdłuż długiego ostrza. Chociaż miecz ważył tyle, że dwóch mężczyzn ledwo by go uniosło, Irlandczyk zarzucił go sobie na ramię prawie bez wysiłku.

- Ależ jesteś ciężki, mój skarbie - mruknął. - Nawet Terence Trenmore nie mógłby tobą za dużo wywijać. Ale myślę, że to, w co trafię, nigdy ci ciosu nie odda.

Dopiero wtedy, z mieczem na ramieniu, obrócił się i spojrzał w dół przez balustradę. Zrozumiał, czemu od pewnego czasu ustało łomotanie do drzwi. Pośrodku sali, z twarzami skierowanymi do góry i z uniesionymi strzelbami, czekali wszyscy strażnicy, którym się tak zgrabnie wymknął. Na widok Trenmore'a rozległy się okrzyki i pojedyncze salwy. Irlandczyk cofnął się, wprawdzie nie draśnięty, lecz nieco przestraszony.

- Niech to wszyscy diabli! - sapnął. - Ale ze mnie głupiec, że o tym nie pomyślałem. No i co, mój mieczu bitewny, czy powiesz mi, co mam teraz zrobić?

Ale miecz milczał.

Trenmore'owi nic nie zagrażało, bo balkon był poza zasięgiem kul, wystrzelonych z jakiegokolwiek miejsca na dole, a balustrada wykonana była ze zbyt grubej stali, by mogły ją przebić pociski.

- Nie mogą użyć karabinów maszynowych - zreflektował się Trenmore - bo trafiliby w dzwon, a nie wydaje mi się, by tego chcieli. Ale gdyby mieli trochę oleju w głowie, a właśnie tyle chyba mają, posłaliby na górę snajperów, a ci trafiliby mnie jak nic. Zanim na to wpadną, mój piękny mieczu, ruszajmy do dzieła!

Zarzuciwszy miecz na ramię przeskoczył przez balustradę i znalazł się na wąskim drewnianym pomoście, pozostawionym przez elektryków. Deski ugięły się i zachybotwały niebezpiecznie pod podwójnym ciężarem - Trenmore'a i wielkiego miecza. Irlandczyk przebiegł jednak tak pewnym krokiem, jakby przemierzał kamienną groblę. Po krótkiej chwili dotarł do rusztowania, okalającego dzwon. Gdy biegł, rozległa się kolejna salwa, ale uszkodziła jedynie złożone płaskorzeźby wokół balkonu.

- Marni z was strzelcy - burknął Trenmore przez zaciśnięte zęby. - Jednak teraz macie wspaniały cel. Pytanie tylko, czy odważycie się do niego mierzyć?

Strażnicy w dole rozproszyli się. Kilku z nich wycelowało w Trenmore'a stojącego przy dzwonie, ale ostry rozkaz spowodował, że opuścili broń. Polecenie wydał nie kto inny, jak sam komendant. Szedł teraz do miejsca, z którego mógł dobrze widzieć Trenmore'a i zarazem być przez niego widzianym. Jeżeli nawet w wyniku upadku odniósł jakieś obrażenia, nie okazywał tego.

- Dzięki Bogu, że nie złamałeś sobie karku, szefie - zawołał wesoło Irlandczyk. - Tak się o pana martwiłem, że ledwo mogłem się skupić na swojej robocie, ale mam za to wspaniałą zabawkę!

Uniósł miecz i zaczął nim wymachiwać tak, żeby wszyscy to widzieli.

- Gdzie... skąd to wzięłeś? - krzyknął Najbystrzejszy.



- Z Ręki Penna - rozległa się beztroska odpowiedź Irlandczyka. - Zapewniam cię, że Penn - chociaż był kwakrem i dobrodusznym starszym panem - nigdy by nie odmówił broni facetowi w potrzebie!

I zaczął tak szybko kręcić mieczem, że nad jego głową utworzyło się błyszczące, ogniste koło. - Będzie wiele hałasu, kiedy trafi w dzwon, prawda, mój policjanciku?

- Nie wolno ci... nie ośmielisz się! - zawołał komendant.

Opuściła go resztką opanowania i wydawało się, że w pełni podziela wiarę Numerów w przesąd, związany ze starą Groźbą Penna.

Trenmore pomyślał, że już wystarczająco dużo uwagi poświęcił policji. Swoją sieć zarzucał na większe ryby. Dlaczego jego przynęta jeszcze nie chwyciła? Dzwon, rusztowanie i wszystko wokół zachybotało się niepokojąco, ale Trenmore ostrożnie posunął się jeszcze o krok czy dwa.

Pod sobą ujrzał podium i loch, znów otwarty i świecący w mlecznobiałej posadzce jak czerwone ślepie. W pobliżu, pod strażą, stała czwórka jego przyjaciół, obserwując niespokojnym wzrokiem dzwon.

Drayton i Viola powitali pojawienie się Terry'ego okrzykiem i zachęcającym machaniem rąk. W odpowiedzi Terry uniósł miecz i pozdrowił ich serdecznie, po czym spojrzał na podium.

Na tronie siedziała niedołączna, zniechęcona postać pana Sędziego Najwyższego. Obecni byli również wszyscy Urzędnicy, wszyscy którzy wcześniej byli świadkami zawodów, łącznie z panem Łaską, sprawiającym wrażenie zmartwionego, ale jednocześnie zaciekawionego. Najzdolniejszy stał za swym wujem.

Trenmore odezwał się wielkim głosem, jakim zapewne przemawia Anioł Przeznaczenia.

- Hej, wy tam na dole! - krzyknął. - Słuchajcie moich słów! Chcę was ostrzec!

W tym momencie z tyłu rozległ się ogłuszający huk. Oglądając się przez ramię, Trenmore zobaczył zielonkawą chmurę spowijającą balkon. Opadała wolno, ukazując rozwalone eksplozją drzwi. Fala prześladowców wylała się

przez powstały w ten sposób otwór. Jednak przy balustradzie zatrzymali się, spoglądając na Trenmore'a.

- Mieczu bitewny - mruknął cicho Irlandczyk - czuję, że nie chcesz, by ta hołota przeszła po naszym moście.

Podejrzewasz, że się właśnie do tego szykują, prawda, mój skarbie?

Najbystrzejszy przedarł się między swoimi ludźmi do samej balustrady. Odbezpieczył rewolwer i wycelował w Trenmore'a.

- Poddaj się, człowieku, albo zginiesz! - powiedział krótko.

- Mówisz, poddać się, tak? A czemu mnie nie zabijesz? Czyż nie jestem skazańcem, drogi komendancie?

- Jego Ekscelencja polecił mi, abym zawiesił wykonanie wyroku, jeśli się poddasz. Narobiłeś już dosyć szkód.

Trenmore jednak odpowiedział:

- Strzelaj! Stawiam swoje życie przeciw twoim umiejętnościom strzeleckim, że wcześniej uderzę w dzwon, niż ty zdołasz mnie zabić! - i ponownie uniósł miecz.

Przerażony policjant zbladł i opuścił broń.

- Jesteś szaleńcem! - krzyknął. - Jeśli uderzysz w dzwon, ty i twoi przyjaciele zginiecie razem z nami wszystkimi!

- Raz kozie śmierć! Jeżeli to prawda, co mówią, przynajmniej oczyścimy ziemię z najgorszych szumowin. Nie, nie, mój drogi, nie przyjdę do ciebie, nie poddam się. Jeżeli strzelisz, to tak jakbyś sam uderzył w dzwon, bo albo w niego trafisz, albo zmusisz mnie, bym to uczynił. Nie mam już więcej czasu na wymianę grzeczności. Pozwól, że zabezpieczę sobie tyły i będę kontynuował swoje dzieło.

Uderzył mieczem w prowizoryczny most, który się załamał z trzaskiem. Część pomostu od strony Trenmore'a spadła na posadzkę, pociągając za sobą fragment rusztowania.

Trenmore ledwo uchronił się przed upadkiem. Zgrabnie odzyskując równowagę, pomachał ręką rozjuszonemu komendantowi i doszedł do miejsca, gdzie dzwon częściowo osłaniał go przed policjantami na balkonie, i stanął twarzą w twarz ze swymi największymi wrogami, siedzącymi na podium.

- Proszę mi wybaczyć tę małą przerwę krzyknął. - A teraz powiedz mi, ty stary łajdaku na tronie, mam przewagę czy nie?

## Rozdział XIX. Trenmore uderza.

Na pytanie Trenmore'a, pogardliwie i bez śladu strachu, odpowiedział Najzdolniejszy.

- Ty głupcze - krzyknął - uderzaj w dzwon, jeśli chcesz. Czy myślisz, że się boimy? Czekamy, aż cię sprowadzą na dół i wtedy umrzesz razem z pozostałymi zbrodniarzami!

- A więc tak traktujecie swój Dzwon? - spytał Trenmore ze śmiechem, ale serce w nim zamarło. Blefował na wielką skalę, lecz jeśli Groźba Penna była jedynie wymysłem Urzędników, mógł równie dobrze skoczyć i skończyć z tym wszystkim. Jednak dewiza Irlandczyka brzmiała: Walcz do końca, bez względu na okoliczności. Dodał więc wyzywająco: - W takim razie uderzam w Dzwon i kończę całą sprawę!

Akurat tam, gdzie teraz stał, Czerwony Dzwon nie był osłonięty rusztowaniem. Irlandczyk uniósł miecz do wielkiego ciosu. W Sali był jednak przynajmniej jeden człowiek, którego wiara w Groźbę Penna była równa wierze Numerów. Tym człowiekiem był pan Sędzia Najwyższy, Najwyższy Urzędnik Penna.

Gdy miecz błysnął w górze, starzec zeskoczył z tronu. W przypiływie energii, z uniesionymi rękami, podobnymi do szponów, potykając się, doszedł na skraj podium.

- Nie, nie, nie! - krzyknął. - Nie uderzaj! Na litość boską, nie uderzaj w dzwon, nie uderzaj...

Słowa zamarły na jego ustach. Odrzucił głowę do tyłu, a żółtymi szponami chwycił za serce - nogi ugięły się pod nim. Najzdolniejszy ledwo uratował swego wuja od upadku z podium na chodnik. Trzymając bezwładną postać w ramionach, dotknął ręką piersi starca. Następnie położył go na platformie i zwrócił się do Urzędników:

- Panowie, pan Sędzia Najwyższy udał się w objęcia Penna!

Wszyscy powstali i uroczyście zdjęli kapelusze, następnie w absolutnej ciszy ponownie usiedli. Po oddaniu należnej zmarłemu czci, można było kontynuować sprawę.

Najzdolniejszy odwrócił się i pogroził Trenmore'owi pięścią.

- To ty do tego doprowadziłeś! - krzyknął. - I ty za to zapłacisz! Panowie - zwrócił się do swych towarzyszy - czy znacie jakieś przyczyny... czy czujecie jakikolwiek strach przed tym czy tamtym światem... który powoduje, że obawiacie się uderzenia w dzwon?

Wszyscy się uśmiechnęli, niektórzy zaśmiali się nawet na głos. Pan Litość wstał z miejsca.

- Panie Sędzio Najwyższy - powiedział - proszę mi wybaczyć, jeśli wyprzedzam twoje zaprzysiężenie na to stanowisko, ale sytuacja jest niezwykła. Wasza Ekscelencjo, jestem pewien, że mówię w imieniu wszystkich. Oświadczam, że dżentelmen na górze może uderzać w dzwon całą noc, jeśli mu to ulży. Przypisuje nam swoją własną wielką wiarę w zabobony.

- Słyszysz? - krzyknął Najzdolniejszy do Irlandczyka. - Uderzaj, jeśli chcesz! Po każdym uderzeniu ujrzysz jednego ze swych przyjaciół wtrąconego do lochu!

Trenmore zawahał się i poczuł się nagle dosyć głupio. Ta groźba udaremniała jego zemstę. Jeśli uderzy w dzwon, wrzucą najpierw Violę. Krzepki strażnik zaciągnął ją już na sam skraj lochu. Tuzin mężczyzn trzymał pozostałych więźniów. Jeżeli nie uderzy, też zostaną wtrąceni. To był koniec.

Po egzaltacji, która podtrzymywała do tej pory Trenmore'a, nastąpiło ściskające serce znużenie. Pozwolił wolno opaść mieczowi, że jego czubek spoczął na brzegu dzwonu.

Najzdolniejszy uśmiechnął się szyderczo i zrobił pół obrotu. Zamierzał zasiąść na tronie, by odtąd wydawać rozkazy z miejsca, którego tak długo pożądał. Wtedy od grupki na dole dobiegł szczery, dźwięczny głos.

- Terry... Terry! Na miłość boską, nie poddawaj się! Ten człowiek się myli! Tylko starzec znał prawdę! Wszyscy się mylą! Uderz w dzwon i po chwili w całym mieście nie będzie żywej duszy! Zabij nas i pomścij za jednym uderzeniem!

- Zatkajcie mu gębę! - przerwał z furją Najzdolniejszy. - Kontynuujcie egzekucję!

Ale teraz zaczęli interweniować również Urzędnicy. Może przypomnieli sobie, że mimo całej dumy są tylko

śmiertelnikami, a może byli po prostu ciekawi. Kilku z nich wstało i otwarcie zaprotestowało.

- Nie! Wstrzymaj się jeszcze, Najzdo... przepraszam, chciałem powiedzieć Wasza Ekscelencjo. Posłuchajmy, co ma nam do zakomunikowania ten człowiek.

- Zaczekajcie! - To mówił pan Odwaga, zastępca byłego arcykapłana. Był to dostoyny mężczyzna o zimnych, stalowych oczach i rysach wskazujących na zdecydowany charakter. - Proszę pamiętać, że do czasu zaprzysiężenia nowego Sędziego Najwyższego rządu sprawuje Rada Dwunastu. Pozwólcie mówić temu człowiekowi!

- Pozwólcie mu mówić! - Chór brzmiał zbyt jednomyślnie, aby nawet Najzdolniejszy mógł go zignorować. Patrząc gniewnie, dumnie podszedł do tronu.

- Bardzo dobrze, panowie - wysapał. - Róbcie, jak chcecie, ale nic dobrego z tego nie wyniknie. Sprowadźcie tutaj tego więźnia.

W duszy Trenmore'a zrodziła się nowa nadzieja. Ciekawe, pomyślał, czy chłopak wie naprawdę o jakimś sekrecie, związanym z tym czerwonym dzwonem? A jeżeli tylko blefuje? W takim razie życzę mu powodzenia i dużej wyobraźni!

Dwóch niebiesko odzianych policjantów wprowadziło Draytona na podium. Kiedy stanął przed tronem, Najzdolniejszy niecierpliwie machnął ręką.

- Nie mam zamiaru przesłuchiwać tego człowieka. Panowie, ponieważ wy zaczęliście tę sprawę, czy moglibyście ją zakończyć?

- Dobrze - niewzruszony pan Odwaga zwrócił się do Draytona. - Młodzieńcze, co wiesz o Groźbie Penna, czego my, jego urzędnicy, dotąd nie wiemy?

- To długa historia - odpowiedział Drayton odważnie. Mówił głośno, tak by Trenmore też go słyszał. - Aby moja opowieść była zrozumiała, muszę cofnąć się aż do czasów, gdy zaczęła się izolacja Filadelfii od reszty Stanów Zjednoczonych. Czy cokolwiek o tym wiecie?

Pochylając się na swym tronie, Najzdolniejszy szepnął coś do ucha panu Odwadze. Ten przytaknął.

- Prosimy ograniczyć się do samego dzwonu - powiedział surowo. - Nie interesuje nas historia Filadelfii.

- Spróbuję, ale wówczas mnie nie zrozumiecie. A więc w tych odległych czasach była pewna grupa ludzi, którzy praktycznie, choć nieoficjalnie sprawowali kontrolę nad miastem. Nazywano ich „łapówkarzami”, „gangiem przedsiębiorców budowlanych” lub po prostu „gangiem”. Były to wtedy najwyższe i najzaszczytniejsze tytuły, tak jak teraz Urzędnicy i Stopnie Najwyższe.

W tym miejscu Trenmore prawie upuścił miecz, nie mogąc opanować rozbawienia.

- Ci łapówkarze - ciągnął Drayton - uzyskali władzę nad człowiekiem, który dokonał pewnego odkrycia. Był to profesor fizyki na tutejszym uniwersytecie. Wiecie, a raczej nie wiecie, że cała materia posiada budowę atomową. Elementy atomów drgają, a ich wibracja może zostać zakłócona przez różnego rodzaju fale. Nie jestem fizykiem i nie potrafię wam tego wyjaśnić w sposób naukowy. Jednak - jeżeli dobrze zrozumiałem - uczony ten odkrył stop metali, który odpowiednio uderzony, wydawał fale akustyczne o takiej samej długości jak fale wytwarzane przez drgające elektrony. W ten sposób...

- To jakieś bzdury - przerwał niecierpliwie Najzdolniejszy. - To jest stek nonsensów!

- Mów nam o dzwonie - poparł go pan Odwaga.

- Tak, o dzwonie, o dzwonie - rozległo się z ust kilku pozostałych Urzędników.

- Cały czas nie mówię o niczym innym - zaprotestował Drayton. - Ale zbyt wielu z was ignoranci, by pojąć najbardziej podstawową ideę tego zjawiska. Może zrozumiecie, gdy ujmę to inaczej. Człowiek ów odkrył tajemniczą siłę, dzięki której metal, w odpowiedzi na uderzenie, mógł zniszczyć nie tylko inny metal, ale również ludzkie ciało, ubranie, drewno, marmur, a nawet powietrze, którym oddychamy! I ci łapówkarze, których jesteście w prostej linii spadkobiercami, zmusili uczonego, aby wykorzystał swoje odkrycie dla ich dobra. Perfidnie posłużyli się starym Dzwonem Wolności. Pod ich presją profesor odlał z

tajemniczego metalu nowy, większy Dzwon Wolności. Dzwon był czerwony jak ogień. Potem oświadczyli, że Filadelfia musi mieć najwspanialszy ratusz na świecie i zbudowali tę kopułę. Zawiesili tu dzwon i umieścili miecz, postawili strażę przy wejściach, a za kolorowymi płytami ukryli karabiny maszynowe. Zmusili profesora, by za pomocą małego gongu osobiście zaprezentował swój wynalazek. W ostatniej chwili, w tajemnicy przed uczonym, usunęli zabezpieczenia, które miały mu gwarantować bezpieczeństwo. Zaprosili na pokaz czołowych obywateli miasta. Na oczach przerażonych ludzi profesor, gong użyty w eksperymencie i cała materia wokół niego rozplynęła się, rozpadła, zniknęła. Badacz stał właśnie tam, gdzie teraz ziele wasz loch. Kiedy uczony zniknął, w chodniku powstała wyrwa, jakby od wielkiej eksplozji. Po tym pokazie łapówkarze ogłosili się panami miasta, grożąc w przypadku buntu całkowitym zniszczeniem Filadelfii. Nazwali się Urzędnikami Penna. Zlikwidowali szkolnictwo jako niepotrzebne i zbyt drogie. Znieśli wszystkie poziomy nauczania poza podstawowym i, aby zjednać sobie społeczeństwo, przekształcili pozostałe szkoły w dyskoteki i bezpłatne kinoteatry. Ratusz przebudowali na luksusowy klub, w którym sami żyli i bawili się. Wystarczyło dwóch pokoleń, dwóch pokoleń nie uczonych i żelazną ręką rządzonych obywateli, by Penn stał się bogiem. Biedny, dobry, stary kwakier! Urzędnicy uczynili z niego boga pożądania, rozwiążności, pijaństwa i innych tego rodzaju występków. Urzędnicy byli jego kapłanami, a ratusz - Świątynią. Jak na urągowisko użyli nazw głównych cnót - łaski, litości, sprawiedliwości, miłości - na określenie swych stanowisk. Ale w rzeczywistości byli tyranami bez litości i rozpustnymi hulakami...

- Dosyć! - krzyknął wściekły, rozjuszony Najzdolniejszy i policjanci skutecznie przerwali krasomówczy popis Draytona, zatykając mu usta. Nie tylko Najzdolniejszy był rozgniewany. Drayton ujrzał ośmiu innych urzędników, którzy najchętniej rozdarliby go na strzępy.

- Panie Odwago - pobladły Najzdolniejszy zwrócił się do zastępcy swego wuja. - Czy jesteś zadowolony, czy też życzysz



sobie dalszych zniewag ze strony tego... tego kłamliwego psa, który oczernia imię Penna i jego Urząd?

- Miał pan rację - zgodził się Odwaga. - Nie przypuszczałem, że ludzki umysł jest w stanie wytworzyć taki stek kłamstw i bluźnierstw! Musimy jak najszybciej pozbyć się tej całej bandy świętokradców!

Teraz nadeszła godzina triumfu Najzdolniejszego. Drayton zdał sobie sprawę, że się zbyt zagalopował. Nie przekonał ich, a jedynie rozzłościł. Nie pozostało już nic prócz śmierci. Wyrwał się z rąk trzymającego go policjanta.

- Uderzaj, Terry! - krzyknął. - Mówiłem prawdę! Uderzaj!

Terence Trenmore z rozmachem uniósł Miecz Penna. Nie uwierzył w opowieść Draytona tak jak i Urzędnicy, lecz w ciągu ostatniej godziny w jego sercu narastała furia jak wrząca lawa. Musiał w coś uderzyć. Nie mógł dosięgnąć żadnego człowieka, ale miał Czerwony Dzwon!

Sceptycznie nastawieni Urzędnicy gapili się zafascynowani w unoszący się miecz. Natomiast policjanci i strażnicy lochu porzucili swych więźniów i podnieśli ogromny lament.

Miecz uniósł się w górę i opadł jak żółty płomień, po czym znowu się uniósł.

Dziwna vibracja wstrząsnęła powietrzem. Nie przypominała ani dźwięku dzwonu, ani gongu, ani żadnego przedmiotu wykonanego ludzką ręką. Było to coś więcej niż dźwięk, coś gorszego niż dźwięk. To było doznanie, omdlewające uczucie szamotania się duszy, opuszczającej targane bólem ciało.

Każda żywa istota, znajdująca się w wielkim holu, poza Trenmore'em, padła na ziemię i skręcała się w konwulsjach, a głos dzwonu odbijał się echem od kopuły.

Trenmore, stojący przy samym dzwonie, nie upadł. Może był zbyt blisko, aby ulec wpływowi fal, a może rusztowanie, które otaczało dzwon, zapobiegało pełnej vibracji i załamywało fale dźwiękowe wokół niego. Tak czy inaczej ciągle stał i spoglądał na wszystko przez szkarłatną chmurę gniewu. Chociaż po pierwszym uderzeniu mógł zmusić jeszcze Urzędników Penna do poddania się, nie dbał o to. Opanowała go żądza niszczenia. Znowu z całą siłą opuścił miecz.

Rusztowanie pod nim osuwało się, a gdy spojrział do góry, ujrzał budzące grozę zjawisko. Złota Kopia Sprawiedliwości rozpadała się i kurczyła. Stawała się przezroczysta, tak że po chwili mógł przez nią patrzeć, jakby była z cieniutkiej, złotej blaszki.

Ujrzał wysoką, białoszarą wieżę z iluminowaną tarczą zegara, a jeszcze wyżej - krąg białego światła u stóp Penna. Widział wielką statwę chwiejącą się i zataczającą, jakby była pijana, a Wieża pod nią traciła swe kształty niczym woskowa figurka w gorącym piecu.

Rozległ się ostrzegawczy trzask rusztowania. Z okrzykiem dzikiej radości Trenmore jeszcze raz uniósł miecz. Po raz trzeci i ostatni uderzył w krwistoczerwoną Groźbę Penna!

W tej samej chwili całe powietrze uleciało z jego płuc i przestał cokolwiek widzieć. Mięśnie rozluźniły się i stracił wszelką zdolność odczuwania, jedynie jego nieśmiertelna dusza wiedziała, że jego ciało leci w dół i że istniejący świat rozpadł się, przekształcił w pierwotny chaos!

## Rozdział XX. Powrót do domu.

Trenmore leciał, ale nie w próżni, która powstała, gdy Czerwony Dzwon obrócił wniwecz siebie, Świątynię i cały świat.

Irlandczyk uderzył nogami w jakąś twardą powierzchnię i gwałtowny wstrząs podrażnił każdą kość i każdy nerw w jego ciele. Wokół siebie ujrzał światło. Nie panując jeszcze nad swymi ruchami, zatoczył się na idącego obok mężczyznę.

Następne wydarzenie może być wyjaśnione jedynie przez fakt, że w Irlandczyku wciąż kipiała krew. Ostatnia katastrofa stanowczo nie zniszczyła w nim walecznego ducha. Pojął tylko jedno. Człowiek, na którego wpadł, nosił czarny surdut i cylinder - przekłete insygnia Urzędników Penna. Chwycił nieznanego mocno za bary i razem z nim przewalił się na chodnik. Podczas gdy Terry starał się dosięgnąć gardła swego przeciwnika, jego ofiara wydawała jeden za drugim okrzyki przerażenia. Na szczęście upadek nadwreżył siły Trenmore'a i jego sprawność była znacznie osłabiona. Dwaj policjanci rzucili się na walczącą parę i odciągnęli Terry'ego, zanim zdołał spowodować coś więcej, niż napędzić stracha napadniętemu.

Powłócząc nogami, Trenmore potrząsnął głową jak rozjuszony byk. Powstał tak gwałtownie, że strząsnął z siebie policjantów, jakby byli parą psiaków.

I gdyby nowa postać nie podbiegła i nie rzuciła się Trenmore'owi w ramiona, rozszalałaby krwawa bitwa w samym przybytku prawa i porządku. Osóbka była zbyt mała, by poskromić tak wielkiego przeciwnika, nawet jednak najbardziej szalony Irlandczyk nie może kontynuować walki, kiedy para szczupłych rąk obejmuje jego szyję, miękki policzek tuli się do piersi, a ukochany głos mówi cicho:

- Terry, rozejrzyj się! Terry, och, Terry, rozejrzyj się wokół!

Obejmując Violę ramieniem, Trenmore przesunął ręką po oczach i wreszcie spojrział wkoło. Z czterech stron wznosiły się szare, nieregularne mury wielkiego budynku o licznych oknach. Pod nogami miał chodnik z nierównego szarego betonu. Miejsce było jasno oświetlone białym światłem

elektrycznym. Tam, gdzie niedawno znajdowały się bramy Świątyni, widać było otwarte prześwity na ulice.

W górze nie było złotej kopuły, lecz rozgwieżdżone niebo, ku któremu wznosiła się wysoka wieża, niemal biała w promieniach reflektorów, umieszczonych u jej podnóża. Na szczycie wieży w skrócie perspektywicznym, ale mimo to możliwa do zidentyfikowania, widniała statua Williama Penna, nie waląca się, ale bardzo solidna i jak zwykle pełna majestatu. Trenmore usłyszał nosowy, cienki głos.

- Mówię wam, że muszę zdażyć na pociąg! - lamentował ktoś. - Aresztujcie tego lunatyka lub go wypuśćcie, jak chcecie, ale jeżeli przez was ucieknie mi pociąg, pożałujecie! Wszyscy zeznają, że nic nie zrobiłem. Po prostu spieszyłem przez dziedziniec ratusza do stacji Broad Street, gdy ten dzikus skoczył na mnie nagle od tyłu. Komendant Hunnigan jest moim szwagrem. Jeżeli przez was spóźnię się na ostatni pociąg, zostaniecie zdegradowani, przyrzekam wam to!

Spoglądając na mówiącego nowymi oczami, Trenmore zauważył, że jest to wysoki, chudy mężczyzna, który już odzyskał swój kapelusz i odnalazł małą, czarną walizeczkę. Kiedy wręczył swoją wizytówkę sierżantowi, funkcjonariusz szybko skapitulował.

- Najmocniej przepraszam, panie Flynn. Na pewno nie chciałem pana dotknąć. Chce pan złapać pociąg 10.05? Jeszcze pan zdaży!

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko pospiesznie ruszył w kierunku stacji Broad Street, aż rozwiały się poły jego surduta.

- To jest pan Charles Flynn, właściciel zakładu pogrzebowego. Mieszka w Media - wyjaśnił sierżant grupie czterech czy pięciu zebranych policjantów, przypatrujących się Trenmore'owi z mieszaniną zachwyty i strachu. - A pan pójdzie grzecznie z nami. Co pan chciał zrobić - dostarczyć pana Flynnna w charakterze nieboszczyka do jednego z jego własnych zakładów pogrzebowych?

Żart wywołał śmiech podwładnych. Trenmore stał cicho. Stracił całą ochotę do walki. Nawet najmniejszy z obecnych policjantów mógłby go teraz z łatwością odprowadzić na

posterunek, ale przytomność umysłu Violi znowu uratowała sytuację. Uwalniając się delikatnie z objęć brata, zwróciła się do sierżanta z godnością.

- Panie oficerze, ten pan jest moim bratem. Cierpi na epilepsję. Przed chwilą, gdy oddalił się ode mnie i od swojego... swojego opiekuna, akurat dostał ataku i upadł na tamtego dżentelmena. Jest chory. Powinien jechać do domu i położyć się do łóżka. Ten oto pan Drayton jest jego pielęgniarzem. Panie sierżancie, nie zaaresztuje pan chyba mojego brata?

Trenmore zauważył, że Drayton rzeczywiście zajął miejsce u jego drugiego boku. Między głowami policjantów ujrzał Arnolda Bertrama i... pannę „Spływaj”!

Czując się niezwykle głupio, zaczął się zastanawiać, czy to, co mówiła Viola, nie było rzeczywiście prawdą. Czy to możliwe, by był chory... szalony... a ta niesamowita wizja roku 2118 była tylko snem?

Na szczęście prośby Violi, do których obecnie przyłączył się Drayton, okazały się skuteczne. Nie szczedząc uprzejmych upomnień, że powinna „trzymać szalonego brata w domu, a przynajmniej bardziej ograniczać swobodę ruchów”, sierżant jedynie spisał ich dane personalne i odwołał akcję.

Robert Drayton i Trenmore'owie mogli w końcu swobodnie przejść przez południowe wyjście na Broad Street, co też spiesznie uczynili. Mówiąc szczerze, mieli już dosyć widoku filadelfijskiego ratusza, bez względu na epokę. Za nimi szedł Bertram ze swą towarzyszką.

Zegar wskazywał parę minut po dziesiątej i ulice nie były wcale zatłoczone. Tym niemniej, ponieważ stroje Draytona i Trenmore'ów były nieco sfatygowane, nasi bohaterowie poczuli ulgę, skręciwszy z jasno oświetlonej Broad w stosunkowo pustą i mroczną Sansom Street.

Zanim to zrobili, Drayton zatrzymał się na chwilę i obejrzał na olbrzymią bryłę szarego budynku na końcu Broad Street. Czy naprawdę, a miał taką nadzieję, powrócili do własnego, bezpiecznego wieku?

Wysoko w górze jak biały duch w świetle reflektorów, majaczyła gigantyczna postać starego kwakra z kamienną ręką, wyciągniętą w geście błogosławieństwa. Pod nim, przez tarczę żółto oświetlonego zegara, przepływała smuga mgły, zasłaniając cyfry. Jaka różnica była między tym, co obserwował w tej chwili, a tym, co widział - jak mu się wydawało - jeszcze tego ranka? Różnica była widoczna na pierwszy rzut oka.

Nad południową arkadą wciąż widniał emblemat. Rano był to złowieszczy Czerwony Dzwon ze skrzyżowanym mieczem, teraz wisiała tam tarcza w kolorach miasta, jasnożółtym i niebieskim, nad nią błyszczał olbrzymi napis „Witajcie” i litery „Ś.Z.P.R.”, a poniżej jeszcze jedno słowo

- „Prawda”. - „Światowe Zrzeszenie Pracowników Reklamy” - mruknął półgłosem - no tak, ich zjazd odbywał się, chciałem powiedzieć, właśnie się odbywa. Zgadza się, jesteśmy z powrotem w naszych czasach.

Szli jakiś czas milcząc, jak więźniowie zbyt nagle uwolnieni, by mogli uwierzyć w swoje szczęście. Nagle Trenmore zatrzymał się gwałtownie. Bertram i panna „Spływaj” zbliżyli się i wszyscy stanęli w przyjaznym cieniu markizy.

- Violu - wykrzyknął Trenmore - powiedz mi, proszę, i nie oszczędzaj mnie! Czy to, co mówiłaś policjantom, to rzeczywiście prawda?

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że jeżeli jestem szalony i przyśniło mi się...

- W takim razie wszystkim nam się to przyśniło - przerwał mu poważnie Drayton. - Nigdy w swym życiu nie byłem bardziej zdumiony, niż kiedy ujrzałem, jak ta okazała Świątynia nagle rozplywa się, znika i przekształca w stary, znajomy ratusz. Mieliśmy szczęście, że przechodziło akurat tylko parę osób. Musieliśmy pojawić się na dziedzińcu tak nagle, jak postaci w filmach trickowych. To cud, że nikt nic nie zauważył!

- A ja - dodał Bertram - już sobie zupełnie wystrzępiłem język, próbując wyjaśnić temu dzieciakowi, że cofnęła się w czasie o prawie dwieście lat. Poznałem to po tym napisie „Witamy Pracowników Reklamy” nad wejściem do ratusza. A pod nim widnieje słowo „Prawda”. Jezu, niektórych ludzi jest bardzo ciężko przekonać, by uwierzyli w prawdę!

- Panna „Spływaj”! - wykrzyknął Trenmore. Znowu przesunął dłonią po oczach, patrząc bezmyślnie na oszołomioną, lecz upartą młodą damę.

- Tak - odpowiedziała ostro - i pan też mnie nie oszuka! Coś się na pewno stało, ale to nie może być to, co mówi Bert. Przecież znam to miejsce, gdzie stoimy, jak swą własną kieszeń!

Stała tu z pewnością, w zielonym kapeluszu i jedwabnym swetrze. Żółty guzik, znak zniewolonych Numerów przyszłego wieku, świecił w jej klapie jak gwiazda. W jaki sposób - przyjmując, że to wszystko miało miejsce, że rzeczywiście spędzili czterdzieści osiem godzin w wieku, który jeszcze nie nadszedł, w jaki sposób dziewczyna przeżyła katastrofę, która pochłonęła jej ziomków? Urzednicy, Stopnie Najwyższe, policja, Numery i wszystko pozostałe rozproszyło się i zniknęło. Ale Numer 23000 dokonała skoku o dwieście lat, nie odnosząc żadnego szwanku. Czy było prawdą, że przyszłość, przeszłość i terażniejszość to jedno, jak czytał kiedyś w jakiejś książce, którą odrzucił w kącie po dziesięciu minutach lektury?

- Chodźmy do domu - krzyknął nagle Trenmore. - Czuję, że tracę rozum. Przespacerujmy się, bo to niedaleko i miło znaleźć się znowu w normalnym świecie. Przynajmniej - Terry poprawił się po chwili poważnego namysłu - w stosunkowo normalnym świecie. Tak, ruszajmy, przyjaciele, bo myślę, że potrzebujemy porządnego posiłku i długiego snu, aby zachować zdrowe zmysły!

## Rozdział XXI. Koniec Szarego Pyłu.

O godzinie 10.30 piątka zmęczonych i głodnych osób wspięła się po schodach domu nr 17 przy Walnut Street. Nacisnęli dzwonek, lecz nikt nie otwierał. Drayton zauważył, że drzwi nie były zamknięte na klamkę. Weszli do środka i zorientowali się, że w bibliotece coś się dzieje. Dobiegał stamtąd charkot dławionego człowieka, przerywany odgłosami ciosów, po których nastąpił trzask gwałtownie przewracanych mebli.

Trenmore był pierwszy przy drzwiach biblioteki. Otworzył je i wpadł do środka. Pokój wydawał się pusty, jednak hałas nie ustawał. Trenmore podbiegł do wielkiego biurka i ujrzał szamoczących się mężczyzn. Pochylił się i odciągnął swego służącego od ciała nieznanego przeciwnika. Zrobił to z miną człowieka, odrywającego swego ukochanego brytana od pokiereszowanej psiny sąsiada. Z twarzą smutną i pełną oburzenia Terry wodził wzrokiem od zawadiackiego Martina do leżącej na podłodze postaci.

- Powiedz mi, chłopcze - rozkazał - czy nie wstyd ci dusić człowieka, który mógłby być twoim dziadkiem? - Po chwili jednak zostawił Martina w spokoju i wykrzyknął: - Ależ to jest mój stary przyjaciel kolekcjoner!

- Panie Trenmore - zaczął tłumaczyć się podniecony Martin - ten pan przyszedł tu i...

- Nieważne, co zrobił, póki nie zobaczę, co z niego zostało, mój chłopcze. Wycofuję jednak swoje uwagi umoralniające. Czy żyje czy nie, stary łobuz dostał to, na co zasłużył.

Podczas gdy zbliżyli się pozostali zaciekawieni, przykleknął i przyłożył rękę do serca mężczyzny. Był to starszy, gładko ogolony, siwowłosy pan o ostrych, wyrazistych rysach. Czoło miał wysokie, usta cienkie i mimo omdlenia mocno zaciśnięte. Był dobrze ubrany, a złote binokle, cudem nie stłuczone leżały na podłodze w pobliżu.

- Nic mu nie będzie - ogłosił Trenmore. - Martin, daj mu kroplę likieru i za chwilę ten stary łajdak będzie nam mógł udzielić wyjaśnień.



Jego przypuszczenie okazało się słuszne. Pięć minut później siwowłosy kolekcjoner siedział w fotelu nieco zszokowany, ale poza tym w niezłej formie.

- A teraz - zwrócił się Trenmore do służącego - proszę cię, Martinie, abys powiedział, co tu zaszło, a potem przygotujesz nam coś do jedzenia, bo wszyscy umieramy z głodu.

- Tak jest, panie Trenmore, właśnie tak zamierzałem zrobić. Ten starszy pan wtargnął tu pół godziny temu. Pytał o pana. Powiedziałem mu, że wyszedł pan dziś rano...

- Dziś rano! - Ten okrzyk wyrwał się jednocześnie z ust trzech osób. Martin popatrzył zdumiony.

- Nieważne - pośpiesznie powiedział Terry. - I co dalej?

- Chciał wiedzieć, gdzie pan jest. Odrzekłem, że nie wiem, ponieważ nie powiedział mi pan, gdzie idzie. Potem zaczęliśmy rozmawiać i... przepraszam, proszę pana, ale... wymknęło mi się, że bardzo mnie dziwi, że pan tak nagle wyszedł. A potem nieznajomy zaczął mnie wypytywać, gdzie po raz ostatni widziałem pana i tym podobne rzeczy. Opowiedziałem mu o tym szarym proszku - zawiąłem go w gazetę i położyłem na stole, proszę pana, bo nie wiedziałem, co to jest i czy chce pan to zachować, czy wyrzucić. - Potem - przysięgam, nie wiem jak mu się to udało, ale zmusił mnie do pokazania tego pyłu. Przyniosłem go tu, wtedy on powiedział, że już nigdy pana nie zobaczę i zapytał, czy sprzedam mu tę substancję. Oczywiście odmówiłem. Niespodziewanie wycelował we mnie pistolet - oto on - a ja skoczyłem na niego i akurat wtedy pan wszedł. Nie miałem zamiaru skrzywdzić staruszka, ale rozzłościł mnie i...

- W porządku, Martin. Postąpiłeś słusznie, ale na drugi raz nie rób tego. Teraz pośpiesz się z tą kolacją. To, co byś za chwilę usłyszał, na pewno nadwerężyłoby twój biedny umysł, więc zabieraj się stąd.

Martin niechętnie oddalił się w kierunku kuchni. Reszta towarzystwa rozsiadła się wygodnie. Początkowo ofiara waleczności Martina próbowała uchylać się od wyjaśnień, jednak gdy Terry zagroził, że oddadzą go w ręce policji pod zarzutem włamania, mężczyzna posłuchał głosu rozsądku. Duże znaczenie miała obecność Bertrama, nieznajomy rozpoznał w nim bowiem jednego ze złodziei, których wynajął,

by wykradli Cerbera. Zdał sobie sprawę, że zeznania Bertrama i atak na Martina to pewne więzienie.

- À propos - wtrącił Drayton, podnosząc owiniętą w gazetę paczuszkę, zawierającą Pył Czyścica, i ważąc ją w rękę - czy zapytałeś Bertrama, Terry, może wie przypadkiem, co się stało z fiolką, w której był ten proszek?

Włamywacz drgnął i zaczerwienił się.

- Słuchajcie, przyznaję, że zrobiłem świństwo. Nie zamierzałem wcale zatrzymać buteleczki. Tamtego dnia zostawił ją pan, panie Trenmore, na stole w Belleclaire i ja... cóż, wziąłem ją. Dałem ją na pamiątkę tej oto pannie Spływaj. Nie miałem nic ładnego, co mógłbym jej podarować. Ale to jest uczciwa dziewczyna i nie powinienem był tego zrobić. Mała, czy masz ten flakonik, który ci dałem na sole kąpielowe?

- Oczywiście. - Numer 23000 natychmiast wyciągnęła go z kieszeni swetra. - Czyżby nie była twoja. Bert?

Bertram stwierdził, że nie. Patrząc na niego wzrokiem pełnym wyrzutu, wyciągnęła fiolkę z Cerberem w stronę Trenmore'a. Irlandczyk sięgnął po flakonik i wziął go z jej ręki. W mgnieniu oka przestrzeń przed nim opustoszała. Panna „Spływaj” zniknęła gwałtowniej niż on podczas swojej pierwszej przygody z pyłem.

Z okrzykiem przerażenia Terence podniósł się i cisnął Cerbera przez pokój. Jego uczucie podzielali wszyscy obecni poza starym kolekcjonerem, który uniósł szczupłą dłoń w geście protestu.

- Ależ nie... proszę, nie podniecajcie się tak! Panie Trenmore, moje nerwy nie są w stanie znieść takich rzeczy, Nic złego się nie stało, jeśli tylko to małe, piękne cacko nie stukło się. Dopiero wtedy byłaby szkoda. Proszę mi powiedzieć, czy ta krzykliwie ubrana młoda dama przysłała tuz... stamtąd, gdzie przebywaliście od dzisiejszego ranka?

- Tak!

- A więc po prostu wróciła tam - oświadczył zbieracz i z powrotem usadowił się wygodnie w swym fotelu.

Bertram stał przez chwilę oniemiały i sparaliżowany gwałtownym zniknięciem swojego ukochanego „dzieciaka”, ale

wnet dał upust rozżaleniu i oburzeniu. Doskoczył do Draytona i wyrwał mu paczuszkę.

- Co u licha robisz? - wykrzyknął prawnik.

- Zostawcie mnie samego! - wysapał złodziej, cofając się. - Chcę jedną dawkę tego proszku, nic więcej. Idę za panną Spływaj, i to zaraz!

- Nigdzie nie pójdziesz!

Trenmore rzucił się na niego i odzyskał niebezpieczny pakunek.

- Ty biedny mały maniaku - posiedział. - Czy myślisz, że uderzyłem w Czerwony Dzwon w Świątyni na darmo? Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że miejsce, w którym byliśmy, nigdzie już nie istnieje, bez względu na to, gdzie kiedyś było?

Przez chwilę Bertram stał z nieszczęśliwą miną, zastanawiając się nad tym zagadkowym stwierdzeniem. Następnie usiadł powoli na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

- Najsprytniejszy dzieciak! - mruczał zrozpaczony. - Najlepszy dzieciak... a teraz jest niczym! Do diabła - przepraszam panienko, ale nie mogę się z tym pogodzić! Nie interesuje mnie już, co się teraz ze mną stanie!

Wszyscy szczerze mu współczuli. Ponieważ jednak nie odkryto jeszcze lekarstwa na utratę ukochanej, która rozplynęła się w powietrzu, a Bertram przyjmował ich wyrazy współczucia ze zniecierpliwieniem, ponownie zwrócili swoją uwagę na siwowłosego kolekcjonera.

Trenmore rozpoczął od pytania o jego nazwisko.

Starszy jegomość przez chwilę grzebał w kieszeni.

- Widzę, że zostawiłem swoje pudełko z wizytówkami - powiedział w końcu. - Nazywam się Phineas Dodd Scarboro. Z zawodu jestem okulista. Chciałbym opowiedzieć państwu dzieje tego proszku i jego właściwości. Aby jednak moja historia była zrozumiała, muszę najpierw wysłuchać relacji z państwa przeżyć z nim związanych.

W prośbie tej nie było nic niezwykłego. Zaczynając od momentu otwarcia fiolki, przedstawili swoją dziwną przygodę. Przed końcem opowieści Martin poprosił na kolację. Kolekcjoner udał się razem z nimi do jadalni. Jedynie

Bertram odmówił, tłumacząc, że nie ma apetytu i woli zostać tu, gdzie jest. Zostawili go więc samego, siedzącego na krześle, a jego zgarbiona postać była uosobieniem nieutulonego żalu. Trenmore na wszelki wypadek zabrał paczkę z proszkiem.

- I tak - zakończył Trenmore swą opowieść przy kawie - znowu wróciliśmy do naszej epoki i bardzo się z tego cieszymy. Wolę zмагаć się z kłopotami naszych czasów, niż żyć w roku 2118!

Phineas Scarboro prychnął pogardliwie, słysząc ostatnią uwagę Terry'ego.

- Bzdury! - wykrzyknął niecierpliwie. - Gdybyś odpowiednio użył tego proszku, mógłbyś trafić do miejsca, gdzie wibracja jest tak gwałtowna, że rok trwa tam tyle, co tutaj jeden dzień. To jest jednak jedyna sztuczka, jaką można uczynić z czasem. Traktowanie czasu jako wymiaru, przez który można podróżować, to czysty nonsens. Czas nie jest wymiarem. Jest następstwem lub raczej względnym następstwem drgań.

Trenmore uniósł rękę do góry.

- Człowieku, człowieku, mów jaśniej, bo inaczej jeszcze mniej będziemy rozumieli niż dotychczas!

- Słońce weszło i zaszło przynajmniej dwa razy, gdy tam byliśmy - powiedział Drayton.

- Jeżeli to nie był rok 2118, więc co to było i dokąd zawędrowaliśmy? - spytała Viola.

Scarboro złożył ręce i przez moment obserwował ich bez słowa.

- Może najlepiej będzie - powiedział w końcu - gdy zacznę od tego, od czego rozpoczęła się wasza przygoda... od Pyłu Czyścica. Na pierwszym roku studiów w Harvardzie poznałem młodego człowieka, który w bardzo szczególny sposób wpłynął na moje życie. Nazywał się Andrew Power. Wyglądacie na zdumionych. Z tym nazwiskiem zetknął się pan, panie Drayton, w bibliotece Świątyni. Nosił je twórca idei izolacji stanów, prawda? Pojawienie się tego nazwiska jest jedną z nie wyjaśnionych zagadek, które często występowały w moich własnych eksperymentach.

A więc Andrew Power był niezwykle uzdolnionym młodzieńcem. Właściwie był twórcą nauki tak nowatorskiej, że dla niejednego członka wydziału stał się persona non grata. W tamtych czasach naukowcy byli przekonani, że nauka osiągnęła swoje ostateczne zwycięstwo. Kto ośmielał się wskazywać nowe, nie zbadane jeszcze aspekty życia, uznawany był za więcej niż heretyka. Nie znalazłszy zrozumienia u swych nauczycieli, Power zapoznał ze swymi teoriami mnie i Thaddeusa B. Crane'a, który mieszkał wtedy ze mną w jednym pokoju. Zawiązała się między nami wielka przyjaźń, tak charakterystyczna dla wieku młodzieńczego. Niejedną noc spędziliśmy na dyskusjach, spieraliśmy się do białego rana o sprawy, których istnienia Thaddeus i ja nigdy byśmy się nawet nie domyślili, gdyby nie Andrew Power. Interesował się zwłaszcza okultyzmem, który rozpatrywał z punktu widzenia czystego materializmu. Nawet ogólne przedstawienie jego teorii wymagałoby więcej czasu, niż państwo byliby skłonni poświęcić na słuchanie. Wystarczy powiedzieć, iż głęboko interesował się religiami Wschodu - nawiasem mówiąc urodził się w Indiach i studiował u jednego z tamtejszych największych uczonych. Twierdził, że ich mistycyzm oparty jest na naukowo dających się udowodnić przesłankach.

Trenmore mimo woli ziewnął. Czy ten człowiek nigdy nie przystąpi do sprawy Pyłu?

- Wierzył, sam o tym często mówił - kontynuował Scarboro - że możliwe jest „zredukowanie przeżyć psychicznych do pierwiastka materialnego”. Uśmiechacie się - powiedział kolekcjoner, chociaż wcale się nie uśmiechali - ale Andrew Power, którego w głębi serca uważaliśmy za szalonego teoretyka, udowodnił, że jest w większym stopniu praktykiem niż Crane i ja, bo my tylko dyskutowaliśmy. Wydział sprzeciwiał się wszelkim eksperymentom, wykraczającym poza oficjalny program nauczania, jednak Power stworzył swoje małe, prywatne laboratorium.

Pewnej nocy przyszedł do nas rozpromieniony i podniecony. W rękę trzymał szklaną probówkę, do połowy wypełnioną tą szarą, pylistą substancją. „Chłopaki - powiedział - w końcu

mi się udało. Uzyskałem to!” Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, o czym mówił, ale nie daliśmy tego po sobie poznać. Sprowokowaliśmy go do wyjaśnień. Powiedział, że ten proszek jest bardziej czarodziejską substancją niż legendarny kamień filozoficzny, który mógł najwyżej przemienić jeden pierwiastek w inny. Uzyskany przez niego proszek zmieniał drgania elektronów - nazywał je korpuskulami, ale obecnie używamy terminu elektron - w żywym organizmie i we wszystkich substancjach, znajdujących się w promieniu siły jego oddziaływania. Drgania podlegały takiej modyfikacji, że materia zaczynała funkcjonować w zupełnie innym miejscu przestrzeni niż to, które znamy od urodzenia. Ten inny świat, czy raczej inne światy, znajdują się na naszej planecie. Stary aksjomat, że w tym samym miejscu nie mogą jednocześnie istnieć dwa organizmy, według Powera przestał być aksjomatem. Dwa ciała, a nawet setki ciał mogły dzięki interwibracjom przebywać dokładnie w tym samym miejscu. I tu leżało wyjaśnienie każdej materializacji, każdego cudu, każdego nadnaturalnego zjawiska, które miały miejsce od stworzenia świata. Media, jasnowidzowie, prorocy, jogowie - wszyscy oni przeżywali chwile, gdy przypadkowo dostrzegali na mgnienie oka te ukryte światy. Do czego dążył Power i co osiągnął - to było fizyczne przeniesienie się w tamte regiony.

Nie trzeba mówić, że wyśmialiśmy go. Rozzłościł Powera do tego stopnia, że postanowił zademonstrować działanie Pyłu. Potem z jego notatek dowiedzieliśmy się, że wcześniej przeniósł do tych tajemnych światów jedynie jakiegoś pechowego kota czy temu podobne stworzenie i nie przeprowadzał jeszcze doświadczenia na sobie. Doprowadzony naszym śmiechem do ostateczności, wziął około dziesięciu gramów proszku, położył go na język i... zniknął. Od tego dnia nikt nie widział Andrew Powera, nawet ja, chociaż wiele razy powtarzałem jego eksperyment.

Ja z Crane'em uniknęliśmy aresztowania tylko dlatego, że nikt nie widział naszego przyjaciela wchodzącego tamtej nocy do naszego pokoju. Zrobiono wiele hałasu wokół jego tajemniczego zniknięcia, podejrzewając morderstwo. Przez wiele dni przeszukiwano całą okolicę. Thaddeus i ja

przestraszeni milczeliśmy. Pierwszego dnia, kiedy uzyskaliśmy dostęp do jego laboratorium, przeczytaliśmy znajdujące się tam notatki, mając nadzieję, że będziemy mogli odwrócić ten nieszczęsny eksperyment, który Power przeprowadził na sobie. Potem laboratorium zapieczętowano, a wszystkie rzeczy odesłano wujowi w Delhi, jedynemu żyjącemu krewnemu. Ale wśród nich nie było już wzoru proszku. Thaddeus Crane zniszczył go na moich oczach i pomimo mych gwałtownych protestów!

Zniszczyłby również proszek, ale przekonałem go, że naszym moralnym obowiązkiem jest zachowanie go na wypadek powrotu Andrew Powera. Zawsze się trochę go bał. W obliczu takiej ewentualności ujrzał nagle swą nieprzemysłaną decyzję zniszczenia wzoru w innym świetle. Podzieliliśmy więc proszek między siebie, obiecując sobie nawzajem, że go przechowamy na wypadek, gdyby Power kiedykolwiek wrócił.

Ale Crane miał już dosyć całej tej historii. Nigdy potem nie powracał do sprawy wynalazku, przez który ludzkość utraciła tak wielki i odważny umysł. Podejrzewam, że Crane wierzył w głębi duszy, że to diabeł wziął, co jego. Stał się bardzo religijny, został fanatycznym członkiem Kościoła i umarł w przekonaniu, że dostał łaski bożej.

Ale ja byłem inny. Notatki Powera doprowadziły mnie do kilku własnych teorii. Przez piętnaście lat, chociaż wykonywałem zawód zgodnie z posiadanym wykształceniem, jednocześnie studiowałem i eksperymentowałem. W końcu udało mi się również rozwiązać problem, ale nie proszku, którego tajemnica zniknęła razem z jego twórcą, lecz odzyskiwania oryginalnego rytmu wibracji po jego zakłóceniu przez Pył, to znaczy sposobu powrotu do naszego własnego świata.

Jestem dumny, że odważyłem się zrobić doświadczenie na sobie. Ja również wędrowałem przez szeroką równinę Ulitii. Ja również przechodziłem przez księżycową bramę do miejsc i ludzi dziwniejszych, niż kiedykolwiek mogą wam się przyśnić. Myśl o tych wędrówkach stała się moją obsesją. Byłem jak narkoman, który nie może ani jeść, ani spać póki się nie

przekona, że posiadał możliwość odwiedzenia swych zamków ze snu - ożywienia swych cudownych i nęcących hurys.

Ale nadszedł czas, gdy moja część Pyłu w końcu się wyczerpała. Oczywiście poszedłem do Crane'a. Chyba napomknąłem wam, że był zabobonnym głupcem. Kupił tę fiolkę, Cerbera, wysypał domniemaną zdobycz Dantego z Czyścica i zastąpił ją substancją Powera. Podejrzewam, że w opinii Crane'a nazwa Pył ze Skał Czyścica lepiej pasowała do tego proszku niż do jakiegokolwiek ziemskiego pyłu, który przedtem zawierała fiolka.

Przekonałem się, że Crane nie zmienił zdania o całej tej sprawie. Błagałem, prosiłem, groziłem, oferowałem mu wszystko, co było w mej mocy, ale on nie dał mi proszku. Po jego śmierci byłem wściekły, kiedy dowiedziałem się o sprzedaży fiolki zwykłemu zbieraczowi ciekawostek. Resztę historii znacie. Czy ciągle jeszcze mnie ganicie?

Nauka współczesna zbliża się do granic tych tajemniczych światów, które ja już tak dobrze poznałem. Wkrótce nie będzie mogła dłużej ignorować rzeczywistego, materialnego istnienia „płaszczyzny astralnej”, jak została błędnie nazwana przez badaczy, dostrzegających ją jedynie jako zjawisko psychiczne.

A przecież ja sam przeżyłem takie przygody, w jakie jedynie wy moglibyście uwierzyć! Tam, ciągle zmieniając się, ciągle formując, rodzą się załączki wydarzeń, uwarunkowań, wynalazków, idei, które później „wkraczają” i modyfikują ten bardziej stabilny świat, w którym się urodziliśmy. Inspiracja poety, filozofa czy wynalazcy nie jest niczym innym, jak momentem szybszej wibracji z tamtego świata, która nakłada się na ich własną wibrację.

I tamte światy mają swoje potwory a nawet diabły. Duch może się czasem dostroić i wtedy w naszym świecie rodzi się prorok. Lecz niech uważa! Patrzy na dziwne światy, ani lepsze, ani gorsze, lecz żyjące swoim własnym życiem i prowadzące nigdy nie kończąca się, na poły bezcelową, na poły celową działalność. Znam je jak żaden inny człowiek poza samym Andrew Powerem. Wiele razy go tam szukałem. Wiele razy natrafiałem na jego nazwisko w tak fantastycznych okolicznościach, w jakich i wy się na nie natknęliście.



Widziałem cień jego myśli, odzwierciedlony w dotykalnych fantasmagoriach, które mnie otaczały. Albo ukrywał się przede mną rozmyślnie, albo nie żyje i tylko jego umysł ostał się jako niewidzialna siła. Ale jeśli ciągle żyje i kiedyś spotkamy się, może zrobić tę substancję, której ja nie potrafię wyprodukować; pokażę mu drogę powrotu do naszego własnego świata; a potem drzwi będą otwarte dla każdego!

Pomyślcie o odkryciach, które zostaną przyspieszone, cudach, które mogą być rozpracowane dzięki wiedzy nabytej za tym progiem! Czasem byłem gotów popełnić samobójstwo z czystej złości na siebie, kiedy pomyślałem, jakie wspaniałe możliwości straciłem w pogoni za zwykłymi, nie przynoszącymi żadnych korzyści przygodami! Wy sami powróciliście przynajmniej z jedną ideą - ideą niszczących materię fal dźwiękowych. Gdyby tam dotarł Andrew Power lub ja sam, przeszukalibyśmy te archiwa, aż znaleźlibyśmy wzór metalu, z którego odlano Czerwony Dzwon. Przynieśliibyśmy go tutaj zamiast czystej i nieużytecznej idei!

- I byłoby to niezwykle dobrodziejstwo dla naszego świata - nie wytrzymał Trenmore. - Równie chętnie dałbym dziecku zapalki i zaprosił do zabawy w fabryce prochu, jak pozwoliłbym ludziom z naszego świata odwiedzać tamten świat, z którego przyszliśmy. Naturalnie jeżeli wszystko, co mówisz, jest prawdą. Pył ten wrzucę do rzeki, tak by nikt nigdy już nie poszedł tą drogą. Nie należy, panie Scarboro, zbyt głęboko ingerować w tajemnice Wszechmocnego!

Błysk w oczach Scarboro zapowiadał wkroczenie na wojenną ścieżkę.

Drayton musiał interweniować.

- Zanim omówimy ostateczny los proszku, panie Scarboro, czy mógłby nam pan wyjaśnić kilka aspektów naszej przygody? Po pierwsze, powiedział pan, że Andrew Power „położył proszek na języku i zniknął”. Jestem pewien, że nikt z nas nawet nie próbował smakować tej substancji.

- Powiedziałem - poprawił Scarboro - że musi ona wnikać w organizm żyjącej istoty. Jest równie skuteczna, gdy dostanie się przez płuca. Wy właśnie wykorzystaliście ten sposób. Jeżeli chodzi o to, z czym zetknęliście się potem,

Ulitia jest miejscem, czy raczej stanem, który jest jedynym niezmiennym preludium do każdej przygody, którą przeżyłem. Jej fantasmagoria jest nieomal stała w swej naturze, jak to, co zwykle nazywamy „rzeczywistością”. Ale o charakterze jej mieszkańców czy o prawach, które rządzą zjawiskami tam zachodzącymi, niewiele mogę wam powiedzieć.

Ludzkość, żyjąc tyle tysięcy lat w prawdziwym świecie, staje z zakłopotaną miną przed jego wielkimi tajemnicami. Jak mogę więc ja, mając tylko jedno życie, którego tylko małą część spędziłem w tym drugim świecie, wytłumaczyć istnienie Ulitii? Po prostu tam jest. Każdy z nas ją widział. Widzieliśmy jej rozgwieżdżone niebo, które jest takie, jak nasze; jej słońce, które różni się od naszego słońca; jej księżyc, który jest tajemniczą bramą. Podczas gdy w naszym świecie słońce zaszło tylko raz, wy spędziliście trzy dni i dwie noce w Ulitii i w następnym, wewnętrznym świecie. Ziemska astronomia różni się od ich astronomii bez względu na to, jak bardzo ich niebo przypomina nasze z wyglądu. I wszyscy rozmawialiśmy z jej upiornymi, widmowymi mieszkańcami. Duchy? Demony? Elfy? Nie wiem. Jest pewne, że lepiej znają nasze natury niż my ich. W Ulitii rozpoznają naszą obecność. Zgodnie z własną fantazją skracają lub wydłużają nasz pobyt u siebie. Ale - tak jak stało się z wami wszystkimi - każdy w końcu stamtąd wychodzi.

To, co znajduje się za księżycową bramą, jest zmienne. Tamte światy są prawdziwe. Ich materia jest stała - kiedy trwa - ale jej formy się zmieniają. „Wzgórza są cieniami i zmieniają swoje kształty z jednego w inny i nic nie jest stałe. Jak mgła ulatniają się stałe lądy; zmieniają się jak chmury i jak chmury odpływają!” Napisano to na naszej ziemi, ale jak trafnie oddaje tamte wewnętrzne, tajemne światy!

Dla kogoś, kto zna uwarunkowania, kto ma możliwość pójścia i powrotu według własnej woli, ich niebezpieczeństwa są niegroźne, ich cuda i rozkosze - niewyczerpane, lecz „biada obcemu w Pustej Krainie!” Wy mieliście wyjątkowe szczęście. Gdy wielki Czerwony Dzwon zniszczył astralne wibracje, zostaliście przywrócenii do swojego dawnego świata, co się zdarza raz na milion przypadków. Odległość, którą

przebyliście w przestrzeni, nawet kierunek były takie same. Chodząc po Ulitii właściwie chodziliście po Filadelfii. Kiedy przeszliście przez księżycową bramę, weszliście w środek innej przestrzeni i wędrowaliście przez nieprawdziwe miasto tak, jakby było realne. I ponieważ wasza Świątynia zajmowała to samo miejsce, co prawdziwy ratusz, dlatego tam ostatecznie się znaleźliście.

Dziewczyna, która powróciła z wami, trafiła tu, ponieważ miała chwilowy kontakt z rzeczą z tego świata - z Cerberem. Kiedy kontakt z tym szczególnym przedmiotem ustał - zniknęła. Mówię „ona”, ale ona jest niczym - przywidzeniem - zmaterializowaną zjawą senną. Wszystkie te fantasmagorie, które spotkaliście, których dotykaliście, które mogłyby was zabić, gdyby Czerwony Dzwon nie był również jedną z nich - to zmienne formy świata, który może być stworzony i przetworzony w ciągu jednego dnia.

Proroctwo o prawdziwej przyszłości tego miasta i narodu? Być może. Bardziej prawdopodobne, że jakaś siła, która rządzi tam, dla swej własnej sardonicznej uciechy, stworzyła z płynnej astralnej materii spaczony i szyderczy obraz prawdziwego miasta. Tak, istnieją tam siły, podobnie jak tu, o których naturze możemy tylko snuć domysły. Materia nie formuje się czy ożywa sama, zarówno w tym świecie jak i w tamtym.

Jeśli chodzi o ogólny moralny wydzźwięk waszej Filadelfii w roku 2118 - wybaczcie mi, ale wydaje się być ona wyraźnym odbiciem moralności waszego własnego miasta. Przecież spotkaliście się ze zdradą i przebiegłością, a wniosek nie trudno wyciągnąć!

Na tak niepotrzebną i niespodziewaną zniewagę Drayton zaczerwienił się, Viola uniosła się z godnością, a Trenmore wstał od stołu tak gwałtownie, aż przewrócił krzesło.

- Ty stary nicponiu...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Stał w nich Martin, sapiąc i mówiąc coś bezładnie.

- O co chodzi tym razem? - zapytał jego pracodawca.

- Czy o... pana Bertrama, Martinie? - spytała Viola blednąc. Przemknęła jej przez głowę wizja niepokieszonego włamywacza, leżącego w kałuży krwi, zabitego własną ręką z wielkiego żalu po utracie widmowej ukochanej.

- T-tak, proszę pani. Przynajmniej tak mi się wydaje. Czy pan Bertram to ten, który nie chciał jeść kolacji?

W tym momencie obawy Violi udzieliły się bratu i Draytonowi. Bez chwili zwłoki cała trójka przemknęła obok Martina i pobiegła do biblioteki. Krzesło stało puste i nigdzie w pokoju nie było widać Bertrama.

Trenmore zwrócił się do Martina.

- Gdzie on w takim razie jest?

- Nie wiem, proszę pana. Nie mam nic przeciwko pańskiemu gościowi, panie Trenmore, wiem jedynie, że jakiś czas temu poszedł na górę. Przed chwilą udałem się do pana pokoju, aby wyjąć piżamę i... i sejf jest otwarty, proszę pana, a...

Ale Trenmore nie czekał dłużej. Pognał na górę, pokonując po trzy stopnie na raz. Opowieść Martina okazała się prawdziwa. Jedwabna kotara była odsłonięta, stalowe drzwiczki w ścianie szeroko otwarte, a podłoga tak zaśmiecona, jak w sypialni na trzecim piętrze, gdy Drayton ocknął się w tym tak często nawiedzanym przez włamywaczy domu.

- Pieniądze - jęknął Martin, załamując ręce. - Wszystkie pieniądze, które pan wczoraj włożył do kasy, zniknęły!

Trenmore prędko przeszukał skórzane futerały, teczki na dokumenty i temu podobne przedmioty, które były wokół rozrzucone. Wstał z westchnieniem ulgi.

- Przynajmniej nie wziął nic innego. Było tu tylko parę setek, niewielka strata. Ale te moje błyskotki nie byłoby łatwo zastąpić.

- Nie wierzę, że to zrobił Bertram - wtrąciła Viola, ze szczerą lojalnością młodej osoby wobec kogoś, kto, jeżeli nawet nie był przyjacielem, przynajmniej był towarzyszem. - Nie mógł obrabować cię, Terry, po tym wszystkim, co razem przeszliśmy!

- A co to jest? - Drayton podniósł z serwantki złożoną kartkę papieru. - To jest zaadresowane do ciebie, Terry!

Irlandczyk wziął kartkę, pospiesznie ją rozłożył i zaczął czytać.

*Drogi panie Trenmore!*

*Słyszałem, co powiedział pan Scarboro. Moja dziecina była niczym. Więc ja też jestem niczym. Miałem zamiar zostać uczciwym człowiekiem, ale jakie to ma teraz znaczenie. Potrzebuję tych pieniędzy bardziej, niż pan. Żegnam.*

*B.*

Ku zdumieniu wszystkich obecnych, twarz Trenmore'a nagle rozpogodziła się i z okrzykiem radości ruszył w stronę drzwi.

- Wydźwięk moralny, tak? Poczekajcie, aż pokażę to temu staremu nicponiowi na dole. Ciekawe, kogo będzie winił za wydźwięk moralny, gdy przeczyta ten list? To dziwne, że ani przez chwilę nie pomyślałem o Bertramie, małym złodzieju i oszuście!

Wymachując triumfująco pismem, zbiegł na dół po schodach. Viola wybuchnęła prawie histerycznym śmiechem i Draytonowi nie pozostało nic innego, jak śmiać się razem z nią.

- Nurtuje mnie ten wywód Scarboro o moralności - powiedział w końcu. - Zejdźmy na dół i posłuchajmy, jak będą odpierać nawzajem swoje argumenty.

Jednak w jadalni czekała na nich jeszcze jedna niespodzianka. Stał tam Terry, prawdziwe uosobienie smutku, ale nie było Scarboro.

- Stary łotr wymknął się - powiedział oburzony - kiedy zajmowaliśmy się tym drugim nicponiem! A co gorsze, zabrał Pył! No cóż, nie będę ścigać żadnego z nich, nawet gdyby w nagrodę obiecywano mi królestwo.

Wszyscy troje, zamyśleni, przeszli do biblioteki. Drayton podniósł kryształową fiolkę, którą w złości cisnął Trenmore.

Jedna ze srebrnych głów Cerbera wyszczerbiła się, co spowodowało jeszcze dzikszy jego wyraz. Poza tym buteleczka nie była uszkodzona. Podał ją Trenmore'owi, ale przyjaciel lekceważąco machnął ręką.

- Nie chcę jej - powiedział ponuro. - Wiesz co, Bobby, myślę, że podaruję ją tobie i Violi w prezencie ślubnym... jeżeli nie boisz się, że przyniesie wam pecha.

- W prezencie ślubnym! - zająknął się Drayton. - Widzisz, Terry, ja... Violu najdroższa, zbyt cię kocham, by się z tobą ożenić! Nie wiesz o tarapatach, w jakie popadłem, a co gorsza, o podłości, do jakiej jestem zdolny. Na krawędzi śmierci i w tych dziwnych okolicznościach nie wydawało mi się to takie ważne; ale powróciliśmy do normalnego świata i... i na Boga! Myślę, że dla mnie tamten świat był odpowiedniejszy!

Viola podeszła do niego i kładąc mu obie ręce na ramionach spojrzała w oczy.

- Bobby - powiedziała - wiem, co masz na myśli. Mój brat opowiedział mi o twych smutnych przeżyciach, kiedy staliśmy, czekając na rozpoczęcie egzaminów w Zielonej Sali Świątyni. Powiedział mi wszystko. Czy myślisz, że kocham cię mniej dlatego, że cierpiełeś?

- Nie rozumiesz! - powiedział ochryple. Siłą powstrzymywał się od wzięcia jej w ramiona. Spojrzał na Trenmore'a, ale ten dyskretny dżentelmen podszedł do okna i wpatrywał się z uwagą w ciemność nocy. Drayton chrząknął. - Mogłabyś równie dobrze poślubić... tego złodzieja... Bertrama! - wydusił.

- Poślubić Bertrama! - Uśmiechnęła się łagodnie i przytuliła zarumienioną twarz do jego piersi. - Ależ oczywiście, że poślubiłabym Bertrama, gdybym kochała go tak, jak kocham ciebie, najdroższy Bobby!

Żadna próba przekonania go o jego moralnej nieskazitelności nie mogłaby odnieść mniejszego efektu. Jednak to ostatnie naiwne zapewnienie znaczyło zbyt wiele dla Draytona. Przytulił ją do siebie.

Trenmore, spoglądając przez ramię uśmiechnął się i pospiesznie powrócił do studiowania pustego chodnika przed domem.

- Tak - mruknał - lepiej przyjmować nasz świat takim, jaki jest, Bobby, mój chłopcze! Zobaczymy, co się da zrobić w Cincinnati. Te kanale, które cię zniszczyły, mają złoto. Ale ja sam jestem jak złoto. Dajmy im szansę zmierzenia się z Irlandczykiem, a może - kto wie - dla nich też pod Kopułą Sprawiedliwości wisi Czerwony Dzwon. Zbadamy dobrze teren, pomyślimy i uderzymy - celnie! Tak, że będą chcieli zaszyć się w mysiej dziurze i na zawsze tam pozostać!

Ciesząc się z góry na tę olimpijską walkę, którą już czuł w powietrzu, Trenmore zabrał się natychmiast do najtrudniejszej części zadania: zaczął wyęźać swój celtycki rozum i całą elokwencję, aby przekonać Roberta Draytona, by pozwolił mu podjąć się tej sprawy.

### *Nota o autorze*

Francis Stevens to pseudonim literacki Gertrude Barrows Bennett (18.IX.1884-1948). W 1909 roku poślubiła Anglika Stewarta Bennetta, a następnie oboje zamieszkali w Filadelfii. Niespodziewana śmierć męża zmusiła ją do podjęcia pracy sekretarki, by utrzymać siebie i córkę. Kilka lat później, po śmierci ojca, musiała się również zaopiekować chorą matką. Spędzała więc w domu wiele czasu, a w wolnych chwilach uczyła się i pisała.

W latach 1917-1923 opublikowała w tzw. magazynach groszowych kilkanaście utworów fantastycznych przyjętych entuzjastycznie przez czytelników. Podobieństwo stylu i obrazowości opisów sprawiło, że wielu z nich uznało, iż Francis Stevens to pseudonim Abrahama Merritta. Najwięcej elementów SF zawiera powieść *Prządka czasu* (1919, 1952), w której szary pył ze srebrnego flakonika przenosi wdychających do totalitarnej Filadelfii roku 2118. Pozostałe powieści FS to: *Cytadela strachu* (1918, 1970; *lost race fiction*), *Claimed* (1920, 1966; demoniczna istota o naturze elementala odzyskuje starożytny artefakt) oraz nie wydane w formie książkowej: „*The Labyrinth*” (1918), „*Avalon*” (1919), „*Serapion*” (1920) oraz „*Sunfire*” (1923). Dwie powieści FS zaginęły w archiwach firmy Street & Smith (zostały zakupione dla krótko żyjącego magazynu *The Thrill Book*).

FS przestała pisać w 1920 roku. Po śmierci matki ponownie pracowała jako sekretarka. Na początku lat trzydziestych przeniósł się do Kalifornii. List wysłany do niej przez córkę w 1939 roku, wrócił do nadawcy. Odnalezione świadectwo śmierci wyznacza datę jej śmierci na 1948 rok.

Oprac. MSN